

NINIEJSZY TEKST STANOWI FRAGMENT KSIĄŻKI:

**Zygmunt Gloger**

***PISMA ROZPROSZONE***

**TOM II**  
1877–1889

**Redakcja naukowa edycji**  
Jarosław Ławski i Jan Leończuk

**Wstęp**  
Anna Janicka i Dorota Rembiszewska

**Opracowanie tekstów i przypisy**  
Łukasz Zabielski, Sebastian Kochaniec,  
Michał Siedlecki, Grzegorz Kowalski

**Noty i słownik czasopism**  
Anna Janicka

**Indeksy opracowali**  
Mona Al-Kaber i Michał Siedlecki

Całość 3-tomowej edycji można znaleźć na stronie  
<http://www.ksiaznicapodlaska.pl/statics/gloger.html>

Publikacja powstała w ramach grantu NPRH pn. *Naukowa edycja krytyczna „Pism rozproszonych” Zygmunta Glogera w trzech tomach*. Czas trwania projektu: lata 2013–2017

Książnica Podlaska im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku  
Katedra Badań Filologicznych „Wschód – Zachód” Uniwersytetu w Białymstoku  
Wydział Filologiczny Uniwersytetu w Białymstoku

**KSIĄŻNICA**  
**PODLASKA**



**NARODOWY PROGRAM  
ROZWOJU HUMANISTYKI**

Białystok 2015

## XV. „Echo”

### 1

LISTY Z PODLASIA [I],  
„Echo” 1878, nr 47, s. 5;  
artykuł ukazał się jako I część cyklu *Listy z Podlasia*,  
publikowanego przez Z. Glogera w „Echu”;  
podpis na końcu tekstu: „Hreczkosiej”.

W chwili, gdy myślałem o czym mam pisać do was w pierwszym liście z Podlasia, rzuciłem okiem na przywieziony z poczty numer 22 „Echa” i znalazłem w nim wiadomość niepozorną, a jednak bardzo ważną. Chcę tu mówić o fakcie podanym z powiatu krasnostawskiego<sup>1</sup>, iż pan E. T., rządcą dóbr Żdzanne<sup>2</sup>, urządził na wsi sklep, w którym sprzedają się przedmioty, jakich zwłaszcza lud wiejski potrzebuje, na przykład sól, śledzie, mydło, żelazo, świece, nafta itd., a próba udała się dobrze, bo w ciągu pierwszego miesiąca włościanie nabyli półtorej beczki śledzi, 35 głów cukru, 140 pudów soli, 50 funtów<sup>3</sup> mydła, 8 beczek nafty, wiele żelaza itd.<sup>4</sup>

Otóż i przedmiot do pisania ważny, obszerny, a jest nim nie pojedynczy wypadek założenia sklepu w Żdzannem, ale cała kwestia kramarstwa miasteczkowego i wiejskiego, kwestia ważniejsza dziś niż dawniej z powodu wzrastających potrzeb uwłaszczonego kmiecia, kwestia zresztą, którą już przed lat kilku poruszaliśmy w pismach codziennych<sup>5</sup>.

Kraj nasz pod względem handlu kramarskiego na prowincji przedstawia jedyny w świecie obraz kastowości. Kwarta i łokieć w miasteczku i wiosce zostaje wyłącznie w ręku ludności pochodzenia żydowskiego, a jak mało kto widział, żeby Izraelita kosił, orał lub bronował, tak równie nieliczni są kramarze-chrześcijanie. Krajowcy tak przywykli do tego stosunku, że ich on wcale nie razi; ale uderza w oczy ekonomistów, cudzoziemców i ludzi bystrzejszego poglądu. Nie można bowiem uważać tego ani za ekonomiczny podział pracy, gdyż gra tu rolę wyznanie, ani za owoc tradycji, gdyż handel kramarski był niegdyś całkowicie w ręku mieszczan-chrześcijan. Położenie to już nie od dziś zwraca na siebie uwagę badaczy gospodarstwa społecznego, wyznać jednak trzeba, iż nie zwraca uwagi naszego ogółu i nie pobudza go do myślenia, a tym bardziej do pracy nad poprawą błędów społecznego ustroju.

Nie będziemy tu wcale ani składać winę na ludność starozakonną, ani dowodzić, że dawniejsze przejście handlu kramarskiego z rąk chrześcijan do Żydów przyczyniło się i w jakim stopniu do upadku miast i miasteczek. Należy to do historii. My zaś bierzemy tylko fakt obecny, iż ludność starozakonna w celu wyżywienia swego licznego pogłowia i proletariatu przy jak najmniejszym udziale ręcznej pracy wzięła w monopol cały handel kramarski na prowincji i wyzyskuje go znamienicie. Krocie starozakonnych żyją z drobnego kramarskiego handlu po miasteczkach, wioskach, karczmach, przy dworach i chatach. Oczywiście cel bytu całej niemal kasty został przez nią osiągnięty jednostronnie, bez związku z dobrobytem istotnym tejże ludności, dobrobytem miast, wzrostem handlu, przemysłu i ekonomicznymi celami gospodarstwa społecznego. Nie obwiniamy tu nikogo, uważając za niedojrzałą, szkolarską niedorzeczność robienie w lada artykule namiętych stroniczych wycieczek z bryłą błota w dłoni, zwłaszcza na pole historyczne. Radzimy tylko o naprawie złego, które widzimy dziś. Nie lękamy się też wcale, aby posądził nas kto o stronny pogląd. Jeżeli bowiem wiek XIX przyniósł w naszym kraju nowe i nader zyskowne źródła bytu

dla Żydów, a pierwiej im nieznanie, jak na przykład kupczenie i arendowanie<sup>6</sup> ziemi, handel lasami i zbożem, to czyż mogą oni sami mieć nam za złe, jeżeli będziemy zachęcali chrześcijan do udziału w kramarstwie, zachęcali w duchu ekonomicznym, tak dla pozyskania nowych dróg zarobku, jak rozbitcia nieekonomicznego monopolu. Tysiące chrześcijan uskarża się na brak pola do pracy, brak posad i miejsc. To pole przyzwoitego zarobkowania jest kwestią bardzo obszerną, a w zakres jego wchodzi właśnie handel kramarski, który na przykład w Królestwie samym przedstawia około dwieście miasteczek i półtora tysiąca wsi kościelnych nieposiadających ani jednego sklepu, ani jednego kramika należącego do chrześcijan. Wyjątki bowiem takie, jak pan E. S. w Żdźannem, pan A. K. w Tykocinie, pani R. w Czyżewie<sup>7</sup> i inni, którzy założyli sklepy w małych miasteczkach lub miastach, są tak nieliczne i odosobnione, że żadnej rubryki stanowiąc nie mogą w ogólnych stosunkach naszego kraju.

Nie zachęcamy tu wcale ludzi posiadających specjalne zawody chleb im dające, aby takowe porzucali lub zaniedbywali biorąc się do drobnego handlu po wsiach i miasteczkach. Zwracamy się tylko do wielkiej liczby osób narzekających na brak pola zarobkowania. Mamy zaś na myśli przede wszystkim żony rzemieślników i niższych urzędników po miasteczkach i żony oficjalistów<sup>8</sup> po wsiach, które obok obowiązków rodzinnych mogłyby się łatwo zająć utrzymaniem mniejszych lub większych kramików i sklepów i w ten sposób przyjść w pomoc do utrzymania rodziny i wychowania dzieci. Dają się słyszeć narzekania, iż młodzież tak rzemieślnicza, jak biurowa, nie żeni się, na czym cierpi moralność; słyszymy także skargi na obywateli ziemskich, że nie chcą trzymać żonatych oficjalistów, co zmusza znaczną ich część do bezżeństwa, na czym równie szwankuje ustrój społeczny. Tak jest istotnie, a jest dlatego, że żony rzemieślników, niższych urzędników i oficjalistów na prowincji wyjątkowo tylko przynoszą pomoc mężom w dostarczeniu środków materialnych do utrzymania rodziny, a tym samym czynią o tyle wymagania ich znacznie większymi. Ze względu na świętość ogniska domowego i wielkość obowiązków matki, potępiamy zarobkowanie kobiet poza obrębem domu i rodziny; tym bardziej więc zachęcamy do pożytecznych zajęć, które niewiasta pod cieniem własnej strzechy skutecznie może, a do tych zajęć należy właśnie rozprzedaż codziennych artykułów życia i przedmiotów potrzeby domowej. Pod względem pracy kobiet jako matek przynoszącym swym mężom materialną pomoc w środkach do utrzymania bytu rodziny, daje nam świetny przykład Francja. Szkoda tylko, że dobry ton wojażerów – którzy zwiedzamy brzegi Sekwany<sup>9</sup> – nie pozwala wnikać w życie domowych ognisk ludzi, którzy od rana do wieczora pracują, a tym bardziej po powrocie do kraju opowiadać naszym rzemieślnikom i oficjalistom, jak ważne ekonomicznie zadanie spełniają żony rzemieślników, oficjalistów i niższych urzędników we Francji.

Wzrastający dobrobyt naszych włościan i potrzeby ich życia rozszerzają z dniem każdym pole i znaczenie kramarskiego handlu na prowincji. Nasz ogół chrześcijański, który nie pracował nigdy nad wyrobieniem w sobie instynktu przemysłowego, nie dostrzegł tego wcale i nie bierze się do nowych dróg zarobkowania, ale praktyczni i w wysokim stopniu obdarzeni tym instynktem Żydzi, zrozumieli wybornie zmieniające się położenie rzeczy, czego im zresztą za złe mieć nie można. Tysiące też rodzin i młodych stad izraelskich osiedla się po wioskach i tam w ciasnych izdebkach lub przy karczmach sprzedaje: sól, naftę, świece, śledzie, mydło, cukier, herbatę, igły, nici, tasiemki, a nawet niekiedy pierniki, cukierki, pachnidła, wstążki, perkaliki itd. A że ludność chrześcijańska nie bierze się wcale do podobnego handlu po wsiach i miasteczkach, więc wyradza się sam z siebie monopol, który pozwala na sprzedaż wszystkiego w najgorszym gatunku przy złej mierze i wadze, po cenach niekiedy dowolnie ustanawianych. Co zaś najgorsza, że lichwa<sup>10</sup> idzie wszędzie w ślad za pokątnym kramarstwem. Znamy wsie kościelne i sąd gminny lub urząd wójta posiadające, w których już po kilkanaście rodzin izraelskich żyje z drobnego handlu. Nie możemy mieć im tego za złe, ale czemuż w tychże wsiach spotykamy rodziny oficjalistów, rzemieślników, po miasteczkach zaś spadłych z etatu niższych urzędników i wdowy utyskujące na niedostatek i brak pracy, a nie biorących się praktycznie do podobnego handlu.

Tylko zła wiara mogłaby nas podejrzewać o stronnie<sup>11</sup> i zgubne życzenia dla krajowców w starozakonnego wyznania. Takie rzeczy nie wychodzą spod strzechy wiejskiej. Pragniemy zarówno dobrobytu dla wszystkich krajowców bez różnicy stanu i wyznania, ale tym samym chcemy upadku wszelkich monopolów i kastowości. Chcemy dla wszystkich równouprawnienia w zarobku i pracy społecznej, a więc jeżeli Żydzi współzawodniczą dziś z chrześcijanami w nabywaniu i dzierżawieniu ziemi, to nie możemy przed

ludnością chrześcijańską zasłaniać drogi do prowincjonalnego handlu i kramarstwa. Owszem, chcemy upadku kastowych wyobrażeń zamiany kastowej solidarności na solidarność społeczną. Chcemy, aby część frymarczącej<sup>12</sup> a próżniaczej i z lichwy żyjącej ludności starozakonnej po miasteczkach i wioskach wzięła się do roli, rzemiosł i pożytecznych obowiązków. Chcemy, aby lud rolniczy nie był jak jest dzisiaj kozłem ofiarnym drobnego handlu i dlatego pragniemy, aby przez udział i konkurencję chrześcijan uniemożliwić wszelki monopol kramarski. Chcemy, żeby chrześcijanie tak uwierzyli, jak wierzą starozakonni, iż chleb *jest*, tylko trzeba go umieć wyszukać i zdobyć.

Zakres handlu i przemysłu wiejskiego jest szerszy, niż się to pozornie zdaje. Jeżeli zwracaliśmy mowę powyżej do żon rzemieślników i oficjalistów, nie idzie zatem, żebyśmy murem chińskim oddzielić chcieli zacne nasze gosposie, mieszkanki dworów i dworków dziedzicznych lub dzierżawionych. Oto zdarzyło nam się widzieć w Prusiech właścicielki folwarków intratnych, które miały większą szafę z szufladami, a w szafie tej różne wiktuały, które kupowali sąsiedzi koloniści; mąż zaś, choć rolnik i człek zamożny, sprowadzał na sprzedaż żelazo, kosy, pługi i niektóre inne przedmioty, po jakie kmieć nasz jeździ na jarmark, gdzie czas i pieniądź marnotrawi. Czy tego rodzaju drobne przedsiębiorstwo dla obywatelki jest dość korzystne i pożądane, wcale nie będziemy tego dowodzili. Owszem, zdaniem naszym, panie, które posiadają ogrody, sady, pola, wody lub lasy mogą daleko użyteczniej czas zająć dopilnowaniem produkcji takiej, jak: nabiał, drób, owoce, warzywo, wędliny, konserwaty itd. Chodzi tylko o ułatwienie zbytu produkcji podobnej, o to ułatwienie, od którego zależy całkowicie byt przemysłowego gospodarstwa. Ułatwienie to należy przede wszystkim sobie stworzyć przez założenie sklepów stowarzyszonych lub pojedynczych gospodyń w miastach powiatowych, gubernialnych lub fabrycznych. Pisaliśmy o tym podobno najpierw w „Gazecie Warszawskiej” (w roku 1875)<sup>13</sup>, w „Gazecie Handlowej” i „Rolniczej” (rok 1876)<sup>14</sup>, wreszcie obok innych w „Gospodyni Wiejskiej” (w numerze 18 z roku ubiegłego)<sup>15</sup>. Że ułatwienie zbytu jest dźwignią każdej produkcji, tego dowodzić nie potrzeba. Ani bowiem gorąca zachęta dziennikarska, ani specjalne dzieła, ani najszczerze chęci, praca i umiejętność gospodyń, nie osiągną celu tam, gdzie w sprzedaży zachodzą rozliczne trudności. A że tak dziś jest, o tym wiedzą dobrze nasze gospodynie wiejskie. W małych miasteczkach nie ma kupców na warzywo, nowal<sup>16</sup> i konserwy, bo ludność ich jest uboga i ma własne ogródki. Żydz drób i jaja skapują u włościanek za lichy pieniądź lub drobny towar albo dostają w procencie za kredyt i pożyczone pieniądze. Nabiał, stosując się do zabobonnych przepisów, kupują oni tylko od pachciarzów<sup>17</sup> swego wyznania. Przedsiębiorczych ogrodników, którzy dzierżawiliby ogrody i kupczyli produktem na szerszą skalę, nie mamy, a wysyłanie sług z nowaliami, drobiem lub nabiałem do miast zwykle tylko naraża na straty. Sklepy stowarzyszonych gospodyń wiejskich w miastach mogłyby, obok miejscowej sprzedaży, być pośrednikami między prowincją a Warszawą, wielkimi miastami cesarstwa i nawet zagranicą, gdy już na przykład dziś Galicja dostarcza jaj, a rzeka Noteć raków do Paryża, gdy znad Gopła wiozą szparagi do Berlina, a w Królestwie Polskim przy Kolei Warszawsko-Petersburskiej<sup>18</sup> drobni handlarze wykupują owoce i kurczęta do Petersburga. W Poznańskim dobrze idzie sklepom pojedynczych gospodyń i gospodarstw, na przykład: pani Zakrzewskiej z Kokorzyna, pani Unruh z Melpina, pani Mycielskiej z Kobyłopolu itd.<sup>19</sup>

<sup>1</sup> Powiat krasnostawski – w II. poł. XIX wieku należał do guberni lubelskiej w Królestwie Polskim.

<sup>2</sup> Żdżanne – w II poł. XIX w. dobra w guberni lubelskiej, współcześnie wieś w woj. lubelskim.

<sup>3</sup> Pud, funt i inne miary – zob. *Wykaz miar, wag i walut* na początku niniejszego tomu.

<sup>4</sup> Gloger zaczerpnął tę wiadomość z notatki pomieszczonej w 22 numerze „Echa” z 1878 roku na str. 4 w rubryce „Drobne echa”. W pierwodruku niniejszego artykułu Glogera inicjały rządcy Żdżannego to: „E. T.” – w pierwszym akapicie – oraz „E. S.” w dalszej części tekstu. Z porównania z 22 numerem „Echa” wynika, że inicjały „E. S.” są poprawne, zaś „E. T.” to najpewniej błąd drukarski. Pozostajemy wobec tego przy pisowni „E. S.”.

<sup>5</sup> Zob. artykuły Glogera: *Sklepy stowarzyszonych gospodyń wiejskich*, „Gazeta Rolnicza” 1876, nr 14, s. 105 [I tom *Pism rozproszonych*, XI, 7]; *Z Tykocińskiego*, 31 grudnia 1875, „Gazeta Handlowa” 1876, nr 4, s. 2 [I tom *Pism rozproszonych*, VII, 85].

<sup>6</sup> Arendowanie – dzierżawa.

<sup>7</sup> Czyżew (dawniej Czyżewo) – w XIX wieku grupa wsi położonych nad rzeką Brok, w guberni łomżyńskiej, powiecie ostrowskim, obecnie miasto w województwie podlaskim, powiecie wysokomazowieckim.

<sup>8</sup> Oficjalista – urzędnik publiczny, jak również osoba zatrudniona do zarządzania prywatnym majątkiem.

<sup>9</sup> Tak w pierwodruku. Powinno być prawdopodobnie: „którzy zwiedzają brzegi Sekwany”. Sekwana – rzeka we Francji, przepływa między innymi przez Paryż (ma 776 km długości).

<sup>10</sup> Lichwa – pożyczanie pieniędzy na bardzo wysoki procent.

<sup>11</sup> Stronne – stronnicze.

<sup>12</sup> Frymarczyć – spekulować, kupczyć, sztucznie zawyżać ceny.

<sup>13</sup> Zob. Ziemiannin [Z. Gloger], *Z Podlasia, w styczniu 1875*, „Gazeta Warszawska” 1875, nr 34, s. 3 [I tom *Pism rozproszonych*, IX, 37].

<sup>14</sup> Zob. *Z Tykocińskiego*, 31 grudnia 1875, „Gazeta Handlowa” 1876, nr 4, dz. cyt.; *Sklepy stowarzyszonych gospodyń wiejskich*, „Gazeta Rolnicza” 1876, nr 14, dz. cyt.

<sup>15</sup> Zob. Z. Gloger, *Ułatwienie zbytu produkcji gospodarstwa domowego*, „Gospodyni Wiejska” 1877, nr 18, s. 989-990 w niniejszym tomie.

<sup>16</sup> Nowalie, nowalijki – młode warzywa pojawiające się jako pierwsze po zimie.

<sup>17</sup> Pachciarz – osoba dzierżawiąca od kogoś pomieszczenia gospodarcze, trzodę hodowlaną, młyn, karcznię, sad etc. Dobra te w czasach Glogera często oddawano na wsi w dzierżawę Żydom.

<sup>18</sup> Kolej Warszawsko-Petersburska – dawna linia kolejowa łącząca Warszawę z Petersburgiem. Była to długa linia kolejowa na ziemiach ówczesnego Królestwa Polskiego (po Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej). Została otwarta w roku 1862.

<sup>19</sup> Kokorzyn, Melpin – wieś leżąca w II poł. XIX w. na terenie Wielkiego Księstwa Poznańskiego (prowincja Królestwa Prus); współcześnie woj. wielkopolskie. Kobyłopole – właśc. Kobyłepole albo Kobyłe Pole – dawniej wieś pod Poznaniem, współcześnie jego wschodnia część. Od połowy XIX w. Melpin należał do rodziny Unrugów (dawniej von Unruh; herb własny), której głównym przedstawicielem był wówczas Wiktor Edward Unrug (1831–1914); być może Gloger ma na myśli jego żonę, Emilię Florentynę z d. Bojanowską Unrug (1839–1904). Zakrzewska, Mycielska – nie udało się zidentyfikować tych osób.

## 2

LISTY Z PODLASIA [II],  
„Echo” 1878, nr 82, s. 4-5;  
artykuł ukazał się jako II część cyklu *Listy z Podlasia*,  
publikowanego przez Z. Glogera w „Echu”;  
podpis na końcu tekstu: „Hreczkosiej”<sup>1</sup>.

Otóż gdy mamy „post” – o czymże stosowniej pisać, jeżeli nie o „rybach”. *Hreczkosiej*, który do was te listy pisuje, mieszka w części Podlasia przytykającej do Narwi<sup>2</sup>. Rodzinnej zatem rzece naprzód słów kilka tu poświęca.

Zbytecznym byłoby dowodzić, że wszystkie znaczniejsze rzeki jako znamienitsze zjawiska w świecie fizycznym, jako stare drogi ludów, arterie handlu i linie strategiczne, a stąd poniekąd czynniki dziejów, zasługują na szczegółowe monografie: przyrodnicze, obrazowe i historyczne. Próby podobne mamy już w piśmiennictwie polskim, ale o Narwi pisano może najmniej. Mieszkańcy jej brzegów nie sądzą, aby ich rodzinna rzeka była godna naukowych badań i spisów, a w dalszych stronach (na przykład pod Karpatami) wielu bierze za jedno Narew z Narwą wpadającą do Odnogi Fińskiej<sup>3</sup>.

Natura brzegów Narwi, czyli „po-narwia”, dzieli się na dwa dość odrębne krajobrazy: Narew litewsko-podlaską i mazowiecką. Od źródeł swoich położonych na pograniczu dawnego nowogródzkiego i brzesko-litewskiego województwa aż do połączenia się w Łomżyńskim z Biebrzą Narew płynie wolno, trochę przez Litwę, a dłużej przez Podlasie w szerokiej bagnistej nizinie, obfitej w błotne łąki, a przetrniętej mnóstwem odnóg i zatok zarosłych bujną trzciną, sitowiem i wodnym zieleciem. Narew zaś mazowiecka od Biebrzy do połączenia z Wisłą płynie jednym korytem, bieg maszybszy, a brzegi dostępne, bogate w pastewniki lub górzyste. Na takich wzgórzach leży Wizna<sup>4</sup>, Łomża<sup>5</sup>, Pułtusk<sup>6</sup>, Serock<sup>7</sup> itd.

Narew należy do rzek dość rybnych, a posiadając na Podlasiu tysiące odnóg i zatok, byłaby rybnią niezmiernie, gdyby pod jakikolwiek nadzór przepisów, takich na przykład, jak francuskie, wzięte było rybołówstwo, którym trudnią się wszyscy mieszkańcy nadbrzeżnych wiosek, włościanie i zagonowa szlachta. Każdy z nich ma swoje czółno z jednej kłody drzewa zrobione, a do łowienia posiada przeszło 20 różnych narzędzi i sposobów. Rybołówstwo trwa nie tylko w dzień, ale i w nocy, prawie bez przerwy rok cały, a wszyscy sprzysięgają się tu, młodzi i starzy, nawet niekiedy kobiety, na biedne mieszkanki tajemniczych, wodnych a dziwnie przezroczystych toni. Na większe sztuki czyhają nie tylko *niewody*, *haki* (*drożki i kłucze*), *włoki*, *waty i ość*<sup>8</sup>, ale i strzelba myśliwska nieraz. Rybak posługuje się i trucizną, a zaledwie wyległe rybki giną już milionami chwytane w kosze, przetaki<sup>9</sup>, *ktomle*<sup>10</sup> i płachty przez mężczyzn, dzieci i kobiety. Raz na rynku w miasteczku nadnarwiańskim kupiłem umyślnie funt tak zwanej *drobnicy*, czyli *stynek* za 8 groszy, a przeliczywszy, znalazłem w nim przeszło 100 świeżo złowionej młodziży kilku gatunków. Na dłoni mojej konały szczupaki trochę większe od piórka stalowego, kupione za 1/20 część grosza, które pozostawione w rzece przez lat kilka, doszłyby do wartości większej przeszło tysiąc razy.

Jeden człowiek niebaczny spożyć może na wieczerzę przeszło 100 takich rybek, z których niejedna za lat kilka wystarczyłaby dla całej jego rodziny. Wszystko to jednak niczym, gdy powiemy, że lud tutejszy łowi także chętnie złożoną przez ryby ikrę i nieraz w jednym garnku gotuje około 10 000 załążków rybich.

Wszystko to zapewne dzieje się od czasów starożytnych, ale dopiero przy wzroście zaludnienia i ułatwienia komunikacji dla handlu rybami rybołówstwo wpływa na istotny dobrobyt nadbrzeżnych mieszkańców, lecz, prowadzone niszczyliście, jest zarazem przyczyną stopniowego wyrybienia<sup>11</sup> Narwi. Toż samo co do raków szczególnie jest widoczne w okolicy ujścia Supraśli<sup>12</sup> do Narwi, gdzie włościanie wsi Złotoryi<sup>13</sup> znaczne ciągnęli korzyści z poławiającej się tam większej niż gdzie indziej ich ilości. Ale po zbudowaniu Kolei Petersbursko-Warszawskiej<sup>14</sup>, gdy z Warszawy zaczęli przybywać kupcy, a cena miejscowa kopy<sup>15</sup> raków podniosła się z 10 groszy na 40, wszystko rzuciło się do połowu, a liczba raków dostarczanych w ciągu lata wzrosła do kilku tysięcy kop<sup>16</sup>. Ponieważ jednak rybacy nie mają zwyczaju puszczać do wody złowionych ani niedorośłych raków, ani matek obciążonych jajeczkami, więc wyniszczenie rodu raczego tak szybko stało się widocznym, że dziś wstolicy raków rak dorosły należy do osobliwości!

Dowodzi to wszystko, jak szkodliwy jest brak gospodarstwa, ładu i miary w użytkowaniu ze świata dziko żyjących zwierząt. Dowodzi to, jakie mamy skarby przyrody, a raczej jakie mieć moglibyśmy, gdybyśmy mieli więcej oświaty i wyrobili w sobie instynkt gospodarczy. Co do przepisów rządowych o polowaniu, te mamy dość szczegółowe, lubo nie pod wszystkimi względami odpowiednie (jak o tym zostawiamy sobie pogawędkę na przyszłość). Co do takich przepisów o rybołówstwie, te mamy bardzo niedostateczne, a przynajmniej rybacka ludność nad Narwią nic nie wie nawet, że istnieją jakie przepisy, biorące w karby niszczyliście rybołówstwo w naszym kraju. To bowiem, cośmy mówili o Narwi, stosuje się do bardzo wielu rzek. Tymczasem szczupaki, okonie, leszcze itd. wołają o równouprawnienie z zającami, od których nie widzą powodu uważać się za ród mniej szlachetny. Odwołują się do towarzystw opieki nad zwierzętami, prosząc o zakaz wyławiania ikry i pełnych nadziei młodych pokoleń rybich. Przypominają braterstwo z człowiekiem, którego ten usiłuje dowieść względem małpy, zająca, tchórza, lisa, wilka, ośla itd., i twierdzą, że jeżeli zwierzęta te mają ród więcej arystokratyczny od człowieka jako starszy, to i mieszkańcy wodni należą do rodów zapewne dawniejszych jeszcze.

Ale najbardziej niszczącym wynalazkiem rybackim są tak zwane *jazy*<sup>17</sup>. Jaz jest to płot, a raczej grobla z pali, gałęzi, ziemi i kamieni na poprzek rzeki grodzona, z otworami w rodzaju okien, dla przepływu wody, w których to oknach zastawiają rybacy więcierze, czyli *żaki*<sup>18</sup>. Gdy bowiem ryba wędruje gromadnie na jesieni z wodą, a na wiosnę pod wodę, to znaczna jej część wpaść musi do zasadzki, pragnąc przedostać się przez *jazy*. Starzy rybacy powiadali mi, że najmędrszą ze wszystkich jest biała pospolita w Narwi ryba, zwana *jaziem*<sup>19</sup>. Gdy bowiem stado jaziów ma przebyć *jazy*, wtedy jaź największy, w charakterze wodza płynący na czele, podsuwa się na płasko pod siatkę i powróciwszy do zwykłego położenia póty unosi ją na sobie, dopóki całe towarzystwo nie przepłynie po bokach przez utworzone w ten sposób wolne miejsce. Ale bywają chwile, w których jaź traci instynkt rozumu. Oto gdy w czasie zalotów dostanie się do więcierza powabna sztuka płci pięknej, wtedy kilkadziesiąt adonisów<sup>20</sup> napętnia więcierz i jeżeli go nie rozerwie, to zostaje zdobyczą chciwego rybaka, który nieraz zaledwie ma siłę wydobyć łup na małe, chwiejne czółno. Jazy bu-

dowane są tylko na górnej, a mianowicie podlaskiej, Narwi i znajduje się ich tam na przestrzeni osiemnastomilowej około 500. Wobec tego wydaje się rzeczą niepodobną, aby biedna ryba w swojej wędrówce uniknąć mogła tylu zasadzek. O ile zaś jazy wpływają na wytepienie ryby, mamy dowód tego, gdy po latach zalewnych, w czasie których jazy mniej są dla ryb niebezpieczne, pojawia się zwykle znacznie większa obfitość połowu.

Wielką także szkodę wyrządzają jazy rozległym łąkom nadnarwiańskim. Gdy bowiem Narew ma tu spadek bardzo mały, to woda wiosenna, mając utrudniony w głównym korycie odpływ, zwykle do drugiej połowy maja zatapia wszystkie łąki, co szkodliwie opóźnia roślinność i powoduje brak gatunków traw słodkich, które na łąkach lądowych znajdujemy, a zarazem nie pozwala myśleć o sztucznym poprawieniu urodzaju siana. Jazy rybackie zatem są istotnym barbarzyństwem i za takie uważane już były od wieków. Na sejmach na przykład w XVI stuleciu, przez wzgląd na spławność rzek, energicznie zakazywano budowy jazów, a zbudowane polecano burzyć. Statut Herburta<sup>21</sup> dozwala je zakładać w pewnych razach, pod warunkiem, aby miały szerokie wrota dla dogodnego przepływu statków. W diariuszu sejmu z roku 1565<sup>22</sup> czytamy: „Prosiemy *ex nunc*”<sup>23</sup>, aby już egzekucya temu była, a jazy wszystkie na tych rzekach, które są *navigabiles*, od tego miejsca, gdzie która rzeka poczęła być *navigabilis*<sup>24</sup>, aby były zrzucone wedle konstytucyi. A iż w konstytucyi warszawskiej nie opisano, dokąd o winę by pozywać miano, przeto prosiemy, aby do Grodu<sup>25</sup> pozywano”<sup>26</sup> (za budowanie jazów). Nakazywała to wszystko wysoka owoczesna pieczołowitość o handel krajowy. Lubo na przepisach policyjnych przeciw jazom nie zbywało i w ostatnich czasach, wprawdzie także nie ze względu szkodliwego rybołówstwa, ale spławu rzek. Zdarzały się bowiem wypadki rozbicia berlinek<sup>27</sup> na jazach, jak to na przykład miało miejsce przed kilkunastu laty pod wsią Nieciecami<sup>28</sup> na Narwi, przy czym zatono 800 korców pszenicy. Szkoda tylko, że przepisy a rzeczywistość to dwa odrębne u nas światy.

Kończąc te słów kilka o rybach żyjących w dzikim stanie natury, z żalem wspomnieć musimy o upadku hodowli ryb w stawach. Dlatego mówimy o *upadku*, że, aczkolwiek mamy dziś w kraju kilka wzorowych i korzystnych gospodarstw rybnych, jakich dawniej nie znano, to w zamian widzimy w zaniedbaniu tysiące stawów, które przez ojców naszych wykopane, dostarczały smacznego produktu na kuchnię. Przyczyny tego zaniedbania mogły być w swoim czasie do pewnego stopnia uwzględnione, ale dziś, gdy ceny ryb są tak wysokie, a drogi żelazne ułatwiły handel rybą, zaniedbanie tej gałęzi produkcji gospodarstw wiejskich nie znajduje usprawiedliwienia. Wobec tego nie od rzeczy będzie wspomnieć o ostatnim wyrazie postępu w najkorzystniejszej hodowli tak zwanych *łososio-pstrągów*<sup>29</sup>. Mam tu na myśli piskyculturę<sup>30</sup> pana Michała Girdwojnia<sup>31</sup>, którą byłem zachwycony na ostatniej wystawie w Szawlach<sup>32</sup>.

Głównym przedmiotem wystawy rybniczej uczonego ziomka było ciekawe sztuczne wylęganie, hodowla, gatunki i wszelkie zjawiska życia rodziny ryb łososiowatych (*Salmonoidei*)<sup>33</sup>, ze stanowiska naukowych doświadczeń wytłumaczone za pomocą całego muzeum. Pan Girdwojń na żądanie hrabiego Zubowa<sup>34</sup> urządził na folwarku Aleksandria<sup>35</sup> cały zakład hodowli z wylęgarnią, która ma produkować rocznie około 20 000 sztuk zarybku, a urządzona jest na wzór pierwszorzędných francuskich i niemieckich zakładów tego rodzaju. Główny przyrząd do wylęgania składa się z pięciu czworobocznych, drewnianych, zabitych cynkową blachą wanienek, ustawionych w rodzaju stopni jedna poniżej drugiej. Woda po rynnie przepływa ze źródła lub zbiornika do wanienki pierwszej, która wyłożona gąbką ma przeznaczenie cedzidla, czyli filtru. Tak oczyszczona uchodzi do wanienki drugiej, z której przez kilkanaście cienkich, poziomych rurek spada (wzbogacając się tym sposobem w powietrze) do wanienki trzeciej, a pierwszej z wylęgowych, których liczba zależy od wielkości zakładu. W każdej z tych wanienek umieszcza się po kilka tysięcy ziarenek ikry *łososio-pstrągów*, która powinna być zanurzona na cał głąboko w wodzie przebiegającej wszystkie wanienki.

Cały zatem przyrząd jest naśladowaniem strumyków górskich, w których ryby *Salmonoidei* składają swoją ikrę. Nauka zbadawszy tajemnice przyrody i liczne warunki bytu ryby, stwarza strumyk podobny przy każdym źródle czystej wody na płaszczyznach, zabezpiecza płód rybi przed niszczącymi okolicznościami dzikiej natury i otoczywszy pomyślnymi warunkami, przynosi człowiekowi wyśmienitą i tak obfitą produkcję, jakiej sama przyroda dostarczyć nie może.

W Niemczech i Francji istnieje dosyć podobnych zakładów. My oglądaliśmy w naturze tylko jeden w dobrach księcia Sapichy<sup>36</sup> w Galicji pod Krasiczynem<sup>37</sup>. Ikra łososiowatych przewieziona być może z zakładów zarodowych tysiące mil w pudełkach mchem wysłanych, a i zarybek zaraz po wylęgnięciu także przewożonym być może do sadzawek w naczyniu blaszanym zaopatrzonym w kulę gutaperkową<sup>38</sup> do nasycaenia wody powietrzem. Ikra, o której mówimy, aby się wylęgła, pozostawać musi sześć tygodni w wodzie przepływającej przez przyrząd wylęgowy, a mającej temperaturę zwykłej wody zdrojowej, to jest 4–6 stopni Réaumura<sup>39</sup>. W przyrządzie pana Girdwojnia, przedstawionym na wystawie szawelskiej, który nie zajmuje więcej miejsca, jak zwykły fortepian i zbudowany być może za kilkanaście rubli w domu, wylęga się naraz około 9 000 sztuk zarybku.

Uczony nasz przyrodnik, badacz chowu patologii ryb, przedstawił obrazowym sposobem za pomocą preparatów spirytusowych stopniowy rozwój: 1) łosia prawdziwego (*Trutta salar*), 2) pstrąga strumienowego (*Trutta ferio*), 3) pstrąga jeziornego z Genewy (*Trutta lacustris*), 4) pstrąga jeziornego z Lucerny, 5) pstrąga okazałego (*Salmo salvelinus*), 6) łosia dunajskiego (*Salmo hucho*), 7) głębiela (*Coregonus fera*)<sup>40</sup> i 8) mieszańca, czyli łosio-pstrąga<sup>41</sup>. Obok rodziny *Salmonoidei* p. Girdwojń przedstawił także kolekcję zarybku innych jeszcze rodzajów, na przykład najbardziej poszukiwanego przez gastronomów gatunku węgorza francuskiego<sup>42</sup>, którego okazy w najmłodszym okresie życia pierwszy nasz ziomek przywiózł z Francji i piscykulturom w Niemczech i Czechach pokazał.

<sup>1</sup> Artykuł ten stanowi zmienioną nieco wersję tekstu, wysłanego wcześniej przez Glogera do „Gazety Warszawskiej” – por. Ziemianin, *Z Mazowieckiego, 7 maja 1874 roku*, „Gazeta Warszawska” 1874, nr 112, s. 3 [I tom *Pism rozproszonych*, IX, 12].

<sup>2</sup> Narawa – rzeka przepływająca przez północno-wschodnią Polskę (484 km długości). Prawy dopływ Wisły. Niedaleko rzeki leży wieś Jeżewo, w której swe gospodarstwo prowadził Gloger.

<sup>3</sup> Narwa (dawniej także: Narowa, Narow) – rzeka (77 km długości) łącząca jezioro Pejpus z Zatoką Fińską (w dawniejszym nazewnictwie: „Odnoga Fińska”), w II połowie XIX wieku przepływała przez gubernie petersburską oraz estlandzką Imperium Rosyjskiego, współcześnie oddziela Estonię od Rosji.

<sup>4</sup> Wizna – wieś położona w województwie podlaskim, w powiecie łomżyńskim, w gminie Wizna. Była miastem królewskim Korony Królestwa Polskiego, w czasach Glogera w guberni łomżyńskiej Królestwa Polskiego.

<sup>5</sup> Łomża – w czasach Glogera miasto gubernialne w Królestwie Polskim, współcześnie w woj. podlaskim.

<sup>6</sup> Pułtusk – w II poł. XIX wieku miasto w guberni łomżyńskiej, współcześnie w woj. mazowieckim.

<sup>7</sup> Serock – w czasach Glogera osada miejska na prawym brzegu Narwi, naprzeciw ujścia rzeki Bugu; powiat pułtuski, gmina Zegrze (gub. łomżyńska); współcześnie leży w województwie mazowieckim.

<sup>8</sup> Niewody, haki (drożki i klucze), włóki, waty i ości – narzędzia służące do kłusowniczego połowu ryb.

<sup>9</sup> Przetak – rodzaj dużego okrągłego sita.

<sup>10</sup> Kłomla – sieć rybacka.

<sup>11</sup> Wyrybienia – spadku stopnia zarybienia, liczebności ryb.

<sup>12</sup> Supraśl – zwana dawniej Sprzaślą, rzeka we wschodniej Polsce (94 km długości). Stanowi prawy dopływ Narwi.

<sup>13</sup> Złotoria, zapisywana dawniej często: Złotoryja – w XIX wieku była to wieś w powiecie mazowieckim guberni łomżyńskiej; obecnie wieś położona w województwie podlaskim, powiecie białostockim, gminie Choroszcz.

<sup>14</sup> Kolej Warszawsko-Petersburska – dawna linia kolejowa łącząca Warszawę z Petersburgiem. Była to druga linia kolejowa na ziemiach ówczesnego Królestwa Polskiego (po Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej). Została otwarta w 1862 roku.

<sup>15</sup> Zob. *Wykaz miar, wag i walut*.

<sup>16</sup> Zob. *Wykaz miar, wag i walut*.

<sup>17</sup> Jaz – rodzaj ruchomego, plecionego płotu zastawianego w rzece, jeziorze itp. w celu zatrzymania i połowu ryb.

<sup>18</sup> Żak, więcierz – rodzaj siatki rybackiej, rozpiętej na obręczach, ustawianej w wodzie stojącej lub wolno płynącej.

<sup>19</sup> Jaź (*Leuciscus idus*) – ryba słodkowodna z rodziny karpowatych (*Cyprinidae*).

<sup>20</sup> Adonis – w mitologii greckiej kochanek Afrodyty; metaforycznie: mężczyźni dbający o urodę, piękny i zalecający się do kobiet. Tu: żartobliwie o samcach jazia poszukujących partnerek do rozrodu.

<sup>21</sup> Jan Herburt (1524–1577) – historyk, prawnik, kasztelan sanocki, starosta przemyski; autor dzieł o tematyce dyplomatycznej. Gloger wymienia *Statuta Regni Poloniae in ordinem alphabeti digesta* (1563).

<sup>22</sup> Sejm w roku 1565 – sejm, który odbył się w Piotrkowie Trybunalskim, zwołany przez Zygmunta Augusta, dotyczył w szczególności ruchu egzekucyjnego (egzekucji praw i dóbr; czyli ruchu politycznego średniej szlachty w XVI wieku). Zob. *Dyaryusz Sejmu Piotrkowskiego R. P. 1565*, wyd. Wł. Krasiński, Wł. Chomętowski, Warszawa 1868.

<sup>23</sup> W oryginale: *ex nunc* – pomyłka drukarska; *ex nunc* – łac. „od teraz”.

<sup>24</sup> *Navigabiles, navigabilis* – łac. „żeglowne”, „żeglowna”.



<sup>25</sup> „Do Grodu pozywano” – czyli: do sądu grodzkiego, sądu szlacheckiego w I Rzeczypospolitej; był sądem I instancji i jego wyroki były wydawane w imieniu monarchy.

<sup>26</sup> Pisownia zgodna z oryginałem.

<sup>27</sup> Berlinka – duża łódź o płaskim dnie.

<sup>28</sup> Nieciece – w XIX wieku wieś szlachecka nad Narwią, w powiecie mazowieckim, gmina Stelmachowo; współ-cześnie [pod nazwą Niecice] w województwie podlaskim, gminie Tykocin.

<sup>29</sup> „Łosiosio-pstrąg” – pisząc „łosiosio-pstrąg”, Gloger ma być może na myśli krzyżówkę troci wędrownej (*Salmo trutta m. trutta*) z pstrągiem. Troć należy do rodziny łososiowatych, a w środowisku naturalnym trocie i pstrągi krzyżują się niekiedy ze sobą.

<sup>30</sup> Piskykultura: od *Pisces* (łac.) – ryby. Chodzi o hodowlę i połów ryb.

<sup>31</sup> Michał Girdwojń (Gidwojń) (1841–1924) – przyrodnik, matematyk, ichtolog, entomolog, projektant gospodarstw zajmujących się hodowlą ryb, autor *Anatomii pszczoły* (wyd. Paryż: J. K. Żupański, 1875).

<sup>32</sup> Szawle – w XIX wieku miasto powiatowe guberni kowieńskiej Imperium Rosyjskiego położone nad rzeką Rudawką, przy trakcie pocztowym między Taurogami a Rygą. Współcześnie miasto na Litwie, stolica okręgu szawelskiego, ośrodek przemysłowy, kulturalny i naukowy. Urządza tam regularnie wystawy rolniczo-przemysłowe, które Gloger – jako stały ich gość – opisywał wielokrotnie. Zob. Z. Gloger, *Szawle na Żmudzi, 15 września 1876 roku*, „Biblioteka Warszawska” 1876, t. IV, s. 166-170 [I tom *Pism rozproszonych*, II, 21].

<sup>33</sup> *Salmonoida* – poprawna naukowa nazwa rodzajowa łososiowatych to: *Salmonidae*.

<sup>34</sup> Hrabia Płaton Zubow (dat życia nie udało się ustalić – II połowa XIX wieku) – właściciel dóbr Szawle na Żmudzi, założyciel i opiekun 4-klasowej prywatnej szkoły żeńskiej w Szawlach, właściciel gospodarstwa rolnego sprofilowanego przede wszystkim na hodowlę bydła; główny organizator corocznych wystaw rolniczych w Szawlach; jest to prawdopodobnie potomek hrabiego Platona Zubowa (1767–1822) – polityka rosyjskiego, ostatniego faworyta carycy Katarzyny II, właściciela między innymi majątków w Płungianach i Szawlach.

<sup>35</sup> Aleksandria (folwark) – dobra w guberni kowieńskiej Imperium Rosyjskiego, współcześnie terytorium Litwy.

<sup>36</sup> Adam Stanisław Sapicha (1828–1903) – ziemianin, polityk galicyjski, zaangażowany w uwiecznione sukcesem starania o autonomię Galicji.

<sup>37</sup> Krasieczyn – miasteczko w dawnym powiecie przemyskim w Królestwie Galicji i Lodomerii (pod zwierzchnictwem Austro-Węgier), współcześnie woj. podkarpackie.

<sup>38</sup> Gutaperka – substancja pochodzenia naturalnego, pozyskiwana z roślin (na przykład gutaperkowca) podobna do kauczuku, lecz mniej elastyczna.

<sup>39</sup> Zob. *Wykaz miar, wag i walut*.

<sup>40</sup> Chodzi prawdopodobnie o „głębiel”, czyli sięć pospolitą, zaliczaną do rodziny ryb łososiowatych, której łacińska nazwa to *Coregonus lavaretus*. *Coregonus fera*, wymieniana przez Glogera, to z kolei inny gatunek ryby należącej także do łososiowatych, występującej niegdyś w Jeziorze Genewskim, obecnie wymarła.

<sup>41</sup> Zob. publikację Michała Girdwojnia: *Nieco o przyrodzie łosioja pospolitego, Trutta Salar Lin., i sposobach jego cechowania w Anglii*, Warszawa 1878; skrót „Lin.” oznacza klasyfikację gatunku wg metodologii Karola Linneusza.

<sup>42</sup> Węgorz francuski – nie udało się ustalić, o jaki gatunek chodzi tu Glogerowi.

## 3

## LISTY Z PODLASIA [III],

„Echo” 1878, nr 127, s. 4-5;

artykuł ukazał się jako III część cyklu *Listy z Podlasia*, publikowanego przez Z. Glogera w „Echu”;  
podpis na końcu tekstu: „Hreczkosiej”<sup>1</sup>.

Maj i czerwiec jest porą, w której wśród wielu kółek rodzinnych toczą się narady nad tym, pod jakim niebem przepędzić gorące lato, jakim szlakiem przewozić swoje tłumoki, i o które wody lub kąpiele prosić lekarza, by zalecił. Do narady tej, choć nie pytany ani proszony, ale sam zapraszał się już nieraz i dziś to czyni hreczkosiej z Podlasia.

Po zbudowaniu Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej<sup>2</sup>, pierwszej w Królestwie, niezwykle ruch panował z początku każdego lata w biurze paszportowym, w hotelach i na drogach. Zdrowi i chorzy młodzi i starzy, mężczyźni i kobiety, bogaci i hołusze<sup>3</sup>, panowie i studzy, pakowali manatki, oznajmiając uroczyście przy lada sposobności, że jadą za granicę! Nie było bowiem tonu i salonu bez powierzchownej, ma się rozumieć, znajomości Wiednia, Paryża i główniejszych na Zachodzie domów gry, próżniactwa, zbytku i rozpusty. Można było bezkarnie nie wiedzieć, skąd Wiała wypływa, nad jaką rzeką leży Wilno, nad jakim jeziorem Kruszwica<sup>4</sup>, a nawet, co gorsza, pewna świadomość swojszczyzny należała do rzekomej dystynkcji, równie, jak akcent scudzoziemczyły lub galicyzm<sup>5</sup>, wmięszany co chwila do rozmowy.

Jakoż z początkiem lata wyjeżdżały z kraju tysięczne walizy, pudła, pudełka i zadowolone postacie ludzi szyku lub ofiar szyku, dostępujących nieznanego prostaczkom zaszczytu oglądania zagranicy. Ku jesieni powracały pełne sprawunków tłumoki i puste kieszenie wędrowców. Niektórzy zostawali na dłużej, zwążywszy, że zima polska może ich zdrowiu zaszkodzić. Cały obraz tej epidemii włóczegostwa wybornie odmalował Korzeniowski w swojej *Podróżomanii*<sup>6</sup>.

Jakie były tego owoce – powszechnie wiadomo: wiatr w kieszeni, ciężar nowy na hipotecę<sup>7</sup>, zdrowie zrujnowane, tytuł grafa<sup>8</sup> w hotelu zagranicznym nabyty, zubożenie własnego kraju. Maluczcy wykształceniem przepędzaliśmy czas zagranicy na gapieniu się po ulicach, przesiadywaniu w restauracjach, kawiarniach i piwiarniach.

Zaledwie setny wędrowiec obejrzał jak należy i ocenić umiał zagraniczne arcydzieła sztuki, zaledwie tysięczny zbadał ciekawsze zakłady filantropijne, naukowe, przemysłowe, rolnicze gospodarstwa, a często żaden nie napisał o tym dobrego sprawozdania dla swych ziomków. Od lat kilkunastu rzeczy zmieniły się na lepsze, lubo na zmniejszenie tej epidemii podróżowania wpłynęła nie tyle zmian a pojęć, ile powszechna golizna. Cnota z musu.

Zapewne nikt nie posądzi hreczkosieja podlaskiego, a przynajmniej posądzić nie powinien, iż zacofaniec ten pragnie murem chińskim oddzielić społeczeństwo swoje od cywilizacji Zachodu, zamknąć każdego w parafii lub domu jak w ślimaczej skorupie, a pąpporty wydawać tylko wyjątkowo poważnym przemysłowcom, filozofom i turystom. Tak wcale nie jest. Chodzi mu tylko o połączenie przyjemności z pożytkiem, chodzi o to, aby korzyść moralną, która była dotąd rzadkim dodatkiem w częstych podróżach naszych, uczynić częstszą towarzyszką nieco rzadszych pielgrzymek, chodzi mu o to, aby w planach wycieczek nie odgrywał żadnej roli szyk lub zwyczaj, ale istotna potrzeba zdrowia, ducha i wzbogacenia umysłu.

Pożytek, jak widzimy, może być z wycieczek wieloraki. Pożytek zdrowia polega na leczeniu się wodą ze źródeł mineralnych, ruchu i oddychaniu powietrzem gór i lasów. Szczególnie dla mieszkańców miast wycieczki na wieś, w lasy i góry, należą do koniecznych warunków utrzymania czerstwego zdrowia. Ale w tym względzie mamy własne uroczyska i lesiste Karpaty, a jak dowodzą lekarze, to w różnych częściach kraju mamy wszystkie rodzaje wód mineralnych, jakie tylko posiada Europa. Wiele tych źródeł leży w przeducudnym położeniu i posiada najzdrowsze powietrze, a jeżeli brak im zagranicznego urządzenia i rozgłosu, to wina przede wszystkim nasza własna. Mamy znowu miejscowości bez źródeł mineralnych, ale zalecające się powietrzem i cudownym położeniem, jak Ojców<sup>9</sup> i całe podgórze galicyjskie<sup>10</sup>, kraina w Europie jedna z najpiękniejszych. Jakkolwiek zakłady lecznicze nasze nie mogą iść w porównanie z zagranicznymi, to przecie nie można zaprzeczyć, że jest postęp w ich urządzeniu, postęp nawet dość znaczny. Gdy przed laty trzydziestu kilku tylko Druskienniki<sup>11</sup> nadniemeńskie cieszyły się prawdziwym powodzeniem, ogniskowały w porze lata życie całej swojej prowincji i nawet posiadały pismo poświęcone zdrojom: „Ondyna”<sup>12</sup>, to dziś podobnych miejscowości mamy kilka, bądź mających zdroje, bądź takich, jak na przykład Zakopane<sup>13</sup>. Nawet ludzie dobrego tonu, wyróżniający się pośród ogółu kosmopolityzmem i niekiedy idiotyczną obojętnością dla rzeczy swojskich, nabierają dziś upodobania do wycieczek w słowiańskie góry i lasy. Dla przedsiębiorców chcących zadośćuczynić wygodzie publiczności otworzyło się zatem pomyślne pole dźwignięcia wszelkich naszych zakładów leczniczych, kąpielowych i dla pobytu letniego miłych. Kraj mógłby na tym wiele zyskać. Wszak prawdopodobnie ogólna suma wydana przez naszych podróżników w ostatnich trzydziestu latach na same zbytki za granicą, pokryłaby kilka wielkich materialnych katastrof, które w ciągu tego czasu dotknęły społeczeństwo. Suma ta na przykład dorównywałaby wartości gruntów, które przez uwłaszczenie włościan odpadły od posiadłości większych.

Pożytki duchowe i moralne, które z podróży zagranicę odnieść można, polegają, jak wiadomo, bądź na poznaniu wszelkich arcydzieł sztuki, bądź instytucji i zbiorów naukowych, zakładów filantropijnych urzędów krajowych, dodatnich stron życia społecznego cudzoziemców itp. Podróżujący w takim celu kształci swą wiedzę i poczucie piękna, a przyjemność łączy z korzyścią. Do podróży takiej można nie być człowiekiem uczonym, ale potrzeba mieć żądzę kształcenia się i prosty, zdrowy sąd o rzeczy, potrzeba wreszcie mieć jasne, zasadnicze pojęcia o obowiązkach jednostki względem swego społeczeństwa, jednostki, której tak moralność, jak majątek związany jest solidarnie z bytem społeczeństwa, którego bezpośrednią częścią ta jednostka stanowi. Bo gdy jednostka upada, upada w niej tym samym składowa częśćka narodu i odwrotnie. Bankructwo pewnej liczby jednostek jest bankructwem pewnej części narodu – praca jednostki przysparza zasób społeczny. Obowiązki społeczne niewypełnione przez jednostkę spadają na kark innych, które przeciążone w ten sposób, nie są w stanie ich dźwignąć.

Ale z podróży może być osiągnięty pożytek materialny. O ile podróżowanie dla szyku i dogodzenia namiętnościom zrujnowało wiele fortun ludzi dobrego, a nawet mniej dobrego tonu, o tyle dla ludzi praktycznych każdego zawodu, dla ziemian, techników i przemysłowców, każda wycieczka umiejętna przynieść może w następstwie doczesne korzyści. Każdy na przykład praktyczny Anglik lub Niemiec postawiony w naszym położeniu geograficznym znalazłby między Odrą, Bałtykiem i Karpatami, nie wychylając się na daleki Zachód, mnóstwo rzeczy godnych widzenia i z wycieczki kilkudziesięciomilowej odniósłby tysiąc korzyści. Wszak mamy o miedzę Szląsk, jeden z najciekawszych pod względem przemysłowym i rolniczym krajów, mamy nad Odrą, Wartą i Notecią istic wzorowe gospodarstwa, naturą położenia do naszych bardzo podobne i przynajmniej nieskończenie bliższe od gospodarstw angielskich lub francuskich.

Jednym słowem, każdy z nas, chory czy zdrowy, rolnik czy technik i przemysłowiec, turysta czy etnograf, znaleźć może różnorodne korzyści w kilkudziesięciomilowym promieniu od Warszawy i brzegów Wisły. Nawet kobiety, których wzniosłym zadaniem jest szczytne i ważne powołanie matki i mistrzyni młodzińskich pokoleń, powołanie kapłanki świętych cnót domowego ogniska, nawet te żony i córki nasze, ileż różnorodnych korzyści odnieść by mogły z podróży, gdyby chciały. Jakie to na przykład piękne listy o stowarzyszeniach kobiet za granicą napisała ze swej podróży i postrzeżeń pani Dzieduszycka w „Kronice Rodzinnej” przed kilku laty<sup>14</sup>.

Ze smutkiem jednak wyznać trzeba, że z tych tak tłumnie odbywanych na Zachód pielgrzymek rolnictwo nasze i przemysł wiejski nie odnoszą prawie żadnych korzyści. A przecież baczne zwiedzanie dobrych gospodarstw, jako praktycznych rezultatów doświadczenia połączonego z nauką, jest rzeczą konieczną w rolnictwie, którego cały gmach opiera się na połączeniu praktyki z nauką, na doświadczeniu zasilanym źródłem wiedzy. Czyż potrzeba tego dowodzić? Czy zaprzeczy kto, że przykład zmysłowy plastycznie rzecz przedstawia niż książka, że korzystać z owoców umiejętnego doświadczenia innych, jest to przeszkakiwać dziesiątkami lat własny zastój. Kto zbyt uprzedzony do teorii książkowych lub zbyt ślepo ufa wszystkiemu, co drukowane, najlepiej, gdy przypatrzy się w naturze zadziwiającym wynikiem umiejętnej pracy człowieka, zbada tę pracę, nauczy się, zanotuje i, po powrocie do domu, co możliwe i z miejscowymi warunkami zgodne, u siebie zaprowadzi. Wszak mamy znaczną liczbę pilnych ziemian, którzy wiecznie zaprzęgnięci do szlachetnej pracy, prawie nigdy domu nie opuszczają. A jednak mogliby nieraz przy dzisiejszych kolejach skromnym kosztem robić o mil kilkanaście lub kilkadziesiąt nader pożyteczne wycieczki.

Brak takich stosunków rolniczych między naszymi ziemianami niemałe wyrządza szkody rolnictwu krajowemu. Nasza serdeczność, szczerłość i dawna (dziś wprawdzie przyćmiona) w rzeczach sąsiedzkich uczynność wybornie pomagać winna do zbierania owoców w wycieczkach rolniczych. Cnoty te nakazuje sama logika i obowiązek obywatelski. Gdzie idzie o pożytek wspólny, tam etykietę i ceremonię zostawmy próżniakom i pyszałkom, bo z pracą i miłością, owymi wiekuistymi podwalinami społecznego bytu, zgadza się tylko skromna przyzwoitość.

Z potrzebą wycieczek rolniczych w celu zwiedzania pojedynczych gospodarstw łączy się bezpośrednio arena wystaw rolniczo przemysłowych, które przedstawiają już zbiorowy obraz rezultatów wszystkich lepszych gospodarstw w danym powiecie, guberni lub prowincji. Jeżeli przypatrzenie się pewnemu pojedynczemu gospodarstwu pozwala poznać i zbadać sam warsztat w chwili działania, to wystawa jest popisem

owoców zbiorowej działalności. Widzimy więc, że jedno dopełnia drugie i w parze iść powinno. Toteż wystawy prowincjonalne uważamy za wielce pożyteczne i głos prawdziwego uznania przesyłamy z Podlasia ziemianom żmujdzkim, którzy urządzili już dwie wystawy rolniczo-przemysłowe w Szawlach (rok 1875 i 1876), coroczną wystawę koni żmujdzkich na św. Jan w Rosieniach i dwie wystawy rolnicze w Retowie<sup>15</sup>. Ogółowi zaś rolników naszych przypominamy, że w roku bieżącym dnia 1 (13) października przypada trzecia z rzędu wystawa rolniczo-przemysłowa w Retowie, dobrach książąt Ogińskich<sup>16</sup>.

<sup>1</sup> Artykuł ten zawiera przekształcone fragmenty tekstu opublikowanego wcześniej w „Kłosach”: *Słwko o wycieczkach za granicę*, „Kłosy” 1876, tom XXII, nr 566; s. 279-281 [I tom *Pism rozproszonych*, XII, 1].

<sup>2</sup> Kolej Warszawsko-Wiedeńska – linia kolejowa łącząca Warszawę z Galicją. Pierwsza linia kolejowa na ziemiach Królestwa Polskiego, druga w Imperium Rosyjskim. Pierwszy odcinek wybudowano w 1845 roku.

<sup>3</sup> Hołysz – w dawnej polszczyźnie: człowiek ubogi, biedak.

<sup>4</sup> Kruszwica – miasto na Kujawach, położone na Pojezierzu Gnieźnieńskim. Jezioro, nad którym leży, to Gopło. W XIX wieku miasto leżało w pow. inowrocławskim rejencji bydgoskiej w Prowincji Poznańskiej Królestwa Prus.

<sup>5</sup> Galicyzm – wyraz lub zwrot zapożyczony z języka francuskiego.

<sup>6</sup> Zob. J. Korzeniowski, *Podróżomania. Komedja w 4 obrazach*, w: *tegoż, Dzieła Józefa Korzeniowskiego*, t. 11, Warszawa 1873.

<sup>7</sup> Ciężar na hipotecę – chodzi o zadłużoną hipotekę; niespłaconą pożyczkę wziętą pod zastaw nieruchomości.

<sup>8</sup> Graf – tytuł szlachecki odpowiadający polskiemu tytułowi hrabiego; nadawany niegdys w Niemczech, Austrii, Danii, Holandii, Belgii, Luksemburgu.

<sup>9</sup> Ojców – wieś w Małopolsce, na terenie Wyżyny Krakowsko-Częstochowskiej. W XX wieku uzyskała status uzdrowiska. W czasach Glogera znajdowała się w powiecie olkuskim guberni kieleckiej w Królestwie Polskim.

<sup>10</sup> Podgórze galicyjskie – Gloger ma tu na myśli niższe partie Karpat Zachodnich, część Wyżyny Małopolskiej, a w szczególności Wyżynę Krakowsko-Częstochowską, na terenie której znajduje się Ojców – tereny te tworzą obszar wyżynny w południowej Polsce, dawniej rozciągający się na terytorium Królestwa Galicji i Lodomerii w Austro-Węgrzech.

<sup>11</sup> Druskieniki – miasto położone obecnie na Litwie, nad Niemnem; w XIX wieku wieś leżąca w powiecie grodzieńskim guberni kowieńskiej w Imperium Rosyjskim. Znanie z leczniczych właściwości tamtejszych wód.

<sup>12</sup> „Ondyna Druskiennickich Źródeł” (podtytuł: „Pismo zbiorowe dla zdrowych i chorych w czasie czteromiesięcznego u wód mineralnych pobytu”) – czasopismo wydawane w Grodnie w latach 1844–1846, wznowione w latach 1929–1939, od 1937 wydawane w Druskiennikach. Redaktorem pisma był między innymi Ksawery Wolfgang. Pisywał do niego artykuły między innymi Józef Ignacy Kraszewski.

<sup>13</sup> Zakopane zaczęło się rozwijać pod wpływem turystyki w drugiej połowie XIX w, w 1886 r. zostało uznane za uzdrowisko. Głównym popularyzatorem jego walorów klimatycznych i krajobrazowych był Tytus Chałubiński (1820–1889), lekarz i miłośnik przyrody.

<sup>14</sup> Anastazja Dzieduszycka (1842–1890) – nauczycielka, autorka książek zawierających porady dla kobiet m.in. w kwestiach wychowywania dzieci, na przykład *Gawędy matki*, Lwów 1872; *Książka młodej kobiety*, Warszawa 1881. Gloger ma na myśli artykuł: *też*, *Słwko o Stowarzyszeniu Zarobkowym Kobiet w Pradze*, „Kronika Rodzinna” 1873, nr 20.

<sup>15</sup> Szawle – w XIX wieku miasto powiatowe guberni kowieńskiej Imperium Rosyjskiego położone nad rzeką Rudawką, przy trakcie pocztowym między Taurogami a Rygą. Współcześnie miasto na Litwie, stolica okręgu szawelskiego, ośrodek przemysłowy, kulturalny i naukowy. Retów – w XIX wieku miasto w powiecie rosieńskim guberni kowieńskiej; współcześnie terytorium Litwy. Rosienie – centrum powiatu rosieńskiego guberni kowieńskiej, współcześnie terytorium Litwy. Gloger często opisywał wystawy przemysłowo-rolnicze w swoich artykułach (zob. *tegoż, Wystawa rolnicza w Szawlach*, „Kłosy” 1875, nr 534-535 [I tom *Pism rozproszonych*, XII, 8]; *Wystawa szawelska*, „Gazeta Warszawska” 1876, nr 191 [I tom *Pism rozproszonych*, X, 93]). Zob. Z. Gloger, *Szawle na Żmudzi, 15 września 1876 roku*, „Biblioteka Warszawska” 1876, t. IV, s. 166-170 [I tom *Pism rozproszonych*, II, 21]; Z. Gloger, *Retów*, „Kłosy” 1879, nr 711, s. 657-660 w tym tomie.

<sup>16</sup> Ogińscy – ród książęcy pochodzenia ruskiego, którego często wspominanym przez Glogera przedstawicielem był Michał Mikołaj Ogiński (1849–1902) – hrabia, właściciel dóbr Pługiany na Żmudzi, które w 1873 roku odkupił od hrabiego Zubowa, a w których w 1879 roku wybudował zachowany do dziś pałac; żonaty z Marią ze Skórzewskich; zmarł bezpotomnie.

LISTY Z PODLASIA [IV],  
 „Echo” 1878, nr 155, s. 4-5;  
 artykuł ukazał się jako IV część cyklu *Listy z Podlasia*,  
 publikowanego przez Z. Glogera w „Echu”;  
 podpis na końcu tekstu: „Hreczkosiej”.

W druku artykuł ma nieprawidłową numerację – został oznaczony cyfrą rzymską II – jednak z chronologii wynika, że jest czwartym tekstem w cyklu i pod takim numerem został tu zamieszczony.

Gdy nad ubogim krajem naszym prawie co noc świeci gdzieś krwawa łuna pożaru, setki rodzin zostają bez dachu i mienia, a szlachetne serca krzątają się nad niesieniem pomocy niedoli, smutna zaś ta historia powtarza się co roku w porze letniej – proste poczucie obowiązków obywatelskich nakazuje i hreczkosiejowi podlaskiemu powiedzieć słówko w tej sprawie. Powie kto zapewne, iż będzie to umarłemu kadzidło stawać do rady po czasie, gdy już tyle miasteczek poszło w zgliszcza, gdy tyle czarnych kominów sterczy wśród cmentarnej ciszy tam, gdzie pierwiej gwar domowy panował, gdzie jeżeli nie kwitło szczęście, to przynajmniej roilo się życie. Na to odpowiemy tylko, iż w tej ważnej kwestii pisaliśmy już wiele razy lat ubiegłych (i w „Gazecie Warszawskiej” i w pismach innych)<sup>1</sup>, a i nadal pisać będziemy, spełniając ten drobny obowiązek, bez względu, czy kto wysłuchać raczy, czy słowa nasze zginą bez śladu w powodzi dziennikarskich artykułów. Z góry przygotowani jesteśmy na los grochu rzuconego na ścianę i niestety na omyłność przysłowia, które przynaję ogółowi naszemu zawsze mądrość po szkodzie.

Epidemiczna klęska pożarów, nawiedzająca kraj nasz w porze obecnej, od lat kilku lub kilkunastu, wywołuje zwykle w następstwie szereg artykułów i uwag, które po chwilowym przejściu niebezpieczeństwa idą w niepamięć. Naszym zdaniem, prasa ma obowiązek uprzedzając porę ogniową, rozpowszechniać praktyczne rady, ostrzegać ogół i kołatać do władz o odpowiednie środki ostrożności i przepisy. Ale prasa nasza traktuje prawie wszystko nazbyt powierzchownie lub teoretycznie, zbyt dorywczo i bez dokładnej znajomości kraju własnego, i stąd może<sup>2</sup> i nie dziwota, że słowa jej są posiewem na wiatr ziarna lekkiego, nieoczyszczonego z pośladu<sup>3</sup> i kostrzewy<sup>4</sup>.

Pierwszą radą, którą w ustach wszystkich napotkać można, jest zachęta do stawiania budynków z materiałów niepalnych. Że budowle murowane, pokryte dachówką lub blachą, odgrywają w tej kwestii ważną rolę i że, o ile można, takie tylko wznosić powinniśmy, nie ulega żadnej wątpliwości – ale wiedzieć trzeba, że w połowie Królestwa dla niedostatku kamieni wapiennych wapno jest bardzo drogie i budowla murowana kosztowna. Z drugiej strony, dach słomiany na wsi, z wyjątkiem swej zapalności, jest najpraktyczniejszym ze wszystkich dachów: jako lekki, dający chłód w lecie, a ciepło w zimie, dość trwały, tamujący śnieg i deszcz i najłatwiejszy do naprawy, a po trzydziestu latach swej służby zdalny jeszcze na nawóz. Wobec podobnych względów nie możemy na pierwszym planie postawić jakości budowli, ale musimy główną zwrócić uwagę na przyczynę pożarów i środki ratunkowe. Wszak liczba budowli murowanych na folwarkach i nawet po miasteczkach wzrasta z rokiem każdym, jak o tym w aktach ubezpieczeń ogniowych przekonać się można. Gdy przed pół wiekiem folwarczne budowle z muru były jeszcze rzadkością, to dziś są już miejscowości, gdzie rzadką jest budowla drewniana na folwarku. Fakt ten przemawia bardzo na korzyść pracy naszych ziemian. A jednak pomimo to, liczba pożarów i straty wyrządzone przez ogień wzrastają może w odwrotnym stosunku i w ostatnich latach doszły do rozmiaru ciężkich klęsk krajowych. Przychodzimy

więc powtórnie do wniosku, że aby złemu zaradzić, trzeba przede wszystkim poznać przyczynę złego i obmyślić środki ostrożności.

Rozmyślne podpalenia nie grają wcale tak rozległej roli, jaką im pospolicie przypisuje podejrzliwy ogół. Natomiast prawie całkowicie przyczyna klęski leży w nieostrożności przy rozpowszechnionym użytku wśród klas niższych, nieznanych im dawniej: świec, nafty, zapalek i papierosów. Gdy dawniej w chacie wieśniaka, uboższego mieszczanina, a nawet rzemieślnika i oficjalisty<sup>5</sup> nie posiadano ani świec, ani zapalek, ani nafty i papierosów, ogień przechowywany w każdym domu z dnia na dzień w popiele nie wychodził nigdy za obręb komina, służąc do ugotowania stawy i oświetlając wieczorem mieszkanie, do czego przysposabiano łuczywo z karp sosnowych<sup>6</sup>. Pożary były też bez porównania rzadsze, w każdej wsi było wiele chat po lat sto i więcej liczących – w każdym miasteczku spotkać było można dość liczne budynki drewniane, czarne, omszałe, dziesiątemu służące pokoleniu. Klęski pożarów zapisywano troskliwie w kronikach miejskich, bo należały one do wypadków rzadszych niż dzisiaj. Ale czasy zmienić się musiały – i nic dziwnego. Wszystkie na przykład pożary, które się zdarzyły podczas lat ostatnich w okolicy piszącego do was hreczkosieja, pożary, których przyczynę urzędownie wykryto lub nie wykryto, powstały z powodu nieostrożnego obejścia się, najczęściej czeladzi, ze świecą, naftą, zapalkami i papierosami, wśród tak palnych materiałów, jak siano, słoma, wióry itd.

Ponieważ użytek świec, nafty i zapalek w miejsce starożytnego łuczywa i krzesiwa przyniesiony został ludowi przez postęp przemysłu i rozwój potrzeb domowych, nie może więc tu być mowy o jakichkolwiek zakazach tych przedmiotów, ale tylko o koniecznych i odpowiednich przepisach ostrożności, które wydawane być powinny w miarę upowszechniania się wszelkich wynalazków, złe skutki w danym razie pociągających. I tak: odkąd świecę znaleźć można pod każdą strzechą słomianą, odtąd w każdej chacie znajdować się powinna pod zagrożeniem kary policyjnej latarka oszklona<sup>7</sup>. Wiadomo bowiem, że lud nasz nie przywykły do porządku i ostrożności, używa często świecy w stodołach i chlewach bez latarni, a nawet bez lichtarza metalowego. Rozpowszechniony dziś użytek nafty powinien tym bardziej obowiązywać do posiadania każdym domu lampki tak urządzonej, aby ją można było bezpiecznie powierzyć czeladzi tudzież obchodzić z nią i dopełniać robót w zabudowaniach gospodarskich. Zapalki powinny być zawsze u osób starszych pod kluczem zamknięte i przez kramarzów<sup>8</sup> pod karą policyjną dzieciom nie sprzedawane. Taniać ich bowiem sprawia, że każdy dziesięcioletni wyrostek, kryjący się z paleniem papierosów po poddaszach, śmietnikach i kątach, gdzie ogień nader łatwo zaprószony bywa, kupuje sobie za parę groszy i nosi w kieszeni zarzewie, które do wzniesienia stu klęsk pożarowych wystarczyć może. Użytek też tytoniu i papierosów, jako niemający żadnego związku z postępem i kulturą, może być najściślej określony. Powinien być więc najprzód mocno zabroniony wszystkim w obrębie gumna<sup>9</sup>, gdzie siano, słoma, zboże, barłogi, wióry i nawozy znajdują się i gdzie często uniesiona przez wiatr iskra staje się przyczyną nieszczęścia. Jeżeli w Rzeczypospolitej Szwajcarskiej<sup>10</sup> (nieposiadającej tak niebezpiecznie zabudowanych wsi i miasteczek jak polskie), istnieje chwalebny przepis, wzbraniający wszystkim małoletnim palenia tytoniu w obrębie zabudowań i wśród wsi, cóż dopiero mówić o kraju naszym, w którym dalekie od systemu kolonizacji wsie, miasteczka budowane są jakby naumyślnie przez ludzi pragnących solidarnie polegać każdej klęsce pożaru. Któż bowiem nie zna owych podlaskich, litewskich, a nawet mazowieckich stodoł, stykających sobą rzędem zwykle na długości całej wioski. Nie było to tak groźnym w czasach, gdy wieśniacy nie używali: świec, nafty, zapalek i tytoniu. Dziś jednak powinny nie tylko dla miasteczek, ale i wiosek istnieć przepisy wzbraniająca stawiania budowli drewnianych w zetknięciu z budowlami sąsiedzkimi i nakazujące osadzanie wszystkich budowli drzewami, które w porze letniej wybornie wstrzymują przenoszenie się ognia. Wsie nasze są niesłychanie ubogie w narzędzia ratunkowe, które zazwyczaj istnieją tylko wymalowane na blaszkach przybitych na domach dawniej ubezpieczonych. Stowarzyszenia nie wymagają od ubezpieczających się, aby posiadali narzędzia tego rodzaju w naturze. Są wprawdzie stare przepisy w tej mierze, ale przykryte grubą warstwą pyłu w otchłani „Dziennika Praw”<sup>11</sup>.

Nie potrzebujemy tu dowodzić, że oświata, dana w odpowiednim stopniu niższym warstwom narodu, najlepiej nauczyć by mogła ostrożności w obchodzeniu się z ogniem i podzielać więcej od wszystkich przepisów rządowych. Są to jednak rzeczy wrzekomo<sup>12</sup> bardzo dalekie. Tymczasem powinniśmy się starać o zawiązywanie straży ochotniczych po wszystkich miastach, miasteczkach i gminach wiejskich, powinni-

śmy się zaopatrywać w narzędzia ogniowe, i nie dawać złego i zaraźliwego przykładu palenia papierosów wobec czeladzi i gawiedzi wiejskiej. Władze sądowe powinny pociągać do odpowiedzialności i karać tych, co przez nieostrożność zażęgli pożar, którym dotąd uchodzi to najczęściej na sucho, co źle na ład<sup>13</sup> oddziaływa. Autorzy wreszcie piszący dla warstw niższych popularne książeczki powinni częstsze dawać im przestrogi, a w opowiadaniach pouczające przykłady złych skutków nieostrożności z ogniem.

<sup>1</sup> Zob. artykuły Glogera: *Z guberni grodzieńskiej*, „Gazeta Warszawska” 1875, nr 32, s. 2 [I tom *Pism rozproszonych*, IX, 35]; *Znad Narwi*, „Gazeta Warszawska” 1875, nr 150, s. 1 [I tom *Pism rozproszonych*, IX, 60]; *Z Grodzieńskiego, 30 grudnia*, „Gazeta Handlowa” 1874, nr 3, s. 2 [ostatni akapit: I tom *Pism rozproszonych*, VII, 65].

<sup>2</sup> W oryginale było: „u stąd może i nie dziwota” – najprawdopodobniej pomyłka drukarska.

<sup>3</sup> Poślad zbożowy – odpad z młócki zboża; poślad to także ogólnie ziarna gorszego gatunku.

<sup>4</sup> Kostrzewa – roślina z rodziny traw (*Gramineae*), szybko i bujnie rosnąca.

<sup>5</sup> Oficjalista – osoba zatrudniona przy zarządzaniu prywatnym majątkiem ziemskim; urzędnik.

<sup>6</sup> Karpa – pozostałość po ściętym drzewie, system korzeniowy wraz z pniakiem.

<sup>7</sup> Latarka – dawniej: mała latarnia ręczna, rodzaj obudowy, wewnątrz której umieszczano ogarek, świecę etc.

<sup>8</sup> Kramarz – handlarz, straganiarz.

<sup>9</sup> Gumno – podwórze oraz budynki gospodarskie; także: budynek lub plac, w którym składało się i młóciło zboże.

<sup>10</sup> Rzeczpospolita Szwajcarska – czyli: republika Szwajcarii (w latach 1798–1803: Republika Helwecka).

<sup>11</sup> „Dziennik Praw” – było kilka czasopism ukazujących się pod tym tytułem w Królestwie Polskim (w Warszawie i Krakowie); np. warszawski „Dziennik Praw” wychodzący w latach 1815–1847 (39 tomów).

<sup>12</sup> Wrzekomo – rzekomo.

<sup>13</sup> W oryginale: „ład” – błąd drukarski.

## 5

## LISTY Z PODLASIA [V],

„Echo” 1878, nr 206, s. 5;

artykuł ukazał się jako V część cyklu *Listy z Podlasia*, publikowanego przez Z. Glogera w „Echu”; podpis na końcu tekstu: „Hreczkosiej”<sup>1</sup>.

Każda pora roku ma swoje właściwości, swoje wybitne cechy. Wiosna ma fiołki, żółte masło i zimno majowe; lato ma ogórki, zniwo na wsi i teatryki przy bawariach warszawskich<sup>2</sup>, jesień ma śliwki, babie lato i polowanie; zima przynosi sannę<sup>3</sup> (byłe nie warszawska), zapusty, maskarady, koncerty i śledzie. Coś podobnego dopatrzeć łatwo można i w dobach życia ludzkiego<sup>4</sup>. Młodość goni za czarodziejskim kwiatem miłości, człek dojrzały pracuje, aby w jesieni swego życia mógł zbierać owoce, a zimą w progu mogiły odpocząć na dietce<sup>5</sup>. Bywa wprawdzie często na opak, że pozytywny<sup>6</sup> młodzian goni za groszem bez miłości, a starzec z miłości szaleje – ale takie wykołajenia natury radzi byśmy wbrew rzeczywistości uważać za wypadki wyjątkowe.

Pisząc mój piąty list z Podlasia na wstępie do jesiennego sezonu myśliwskiego, pozwólcie hreczkosiejowi zabazgrać papier treścią dotyczącą sprawy myślistwa, którą poruszałem już gdzie indziej i dawniej kilkakrotnie<sup>7</sup>. Zwierzyna w gospodarstwie społecznym wszystkich cywilizowanych narodów, jako samorodny a korzystny produkt, niepoślednie zajmuje stanowisko i jest przedmiotem troskliwej pieczy, tak praw i władz krajowych, jak wszystkich myśliwych i niemyśliwych mieszkańców wiejskich<sup>8</sup>. Wręcz przeciwnie

dzieje się u ludów dzikich i nieoświeconych, gdzie zwierzyna uważana jest za łup i traktowana jako ogólny nieprzyjaciel, którego tępią przy zdarzonej sposobności wszyscy, zawsze i wszędzie.

U narodów gospodarczych i cywilizowanych zwierzyna posiada swoją prawie stałą rubrykę w dochodach właścicieli ziemskich. Oto czytaliśmy na przykład przed kilku laty ciekawe zestawienie cyfr z sześciu polowań odbytych na Szląsku pruskim, w których padło zajęcy tylko 1808. Żadne zaś z tych polowań nie liczyło więcej nad kilkunastu strzelców i nie objęło wyżej nad kilkadziesiąt włók przestrzeni. Jednocześnie, jak doniosły nasze pisma, na pewnym „wielkim” polowaniu w guberni warszawskiej zabito zajęcy 36 i to w dobrach z racjonalnie prowadzonym gospodarstwem leśnym. A działo się to wszystko w dwóch prowincjach, tylko zwykłą miedzą graniczną od siebie przedzielonych, w dwóch krajach, z których nasz jeszcze przed kilkadziesiątu laty słynął w świecie z ilości wszelkiej zwierzyny, a dziś może tylko dziesiątą część posiadanych zajęcy i kuropatw, co kraje najbardziej w Europie zaludnione, kipiące ruchem i przemysłem, jak na przykład Szląsk, z którego przywożą nieraz dziczyznę do Warszawy.

Przyczyny naszego obecnego ubóstwa w zwierzynę są liczne. Pierwszą z nich jest to, że o gospodarstwie zwierzynnym ogół nasz ma bardzo słabe pojęcia i uważa zwierzynę raczej za dziką własność przyrody, a nie za źródło korzystnej produkcji swoich pól i lasów, podobnej jak owczarnia i obora. Owa miedza graniczna Królestwa Kongresowego z Prusami, Księstwem i Szląskiem, jest zarazem granicą niezmiernie różnych wyobrażeń. Nie ulega jednak wątpliwości, że główną plagą wytepiającą zwierzynę jest wielka ilość pokątnych myśliwych, jeżeli myśliwcami można nazwać tych włóścian i zagonową szlachtę, którzy polują zawsze i na wszystkie gatunki dziczyzny, chwytając przy robocie w pola zajączki młode, urządając wnyki na stare, wybierając jaja kuropatw, dzikich kaczek i zastawiając sidła na ptactwo.

Jest to po prostu cechą każdej ciemnoty, że ludzie w niej pogrążeni wszelakiej płci i wieku, rzucając się z tradycyjną chciwością tak na znalezione gniazdo ptaka, jak na zajączka, którego dogonić mogą. Kosiarz, żniwiarka, kmięć ze strzelbą, sidłem lub trutką, nie przepuszcza niczemu, a wiedzieć trzeba, że mamy wśród ludu myśliwych, znających najlepiej przebiegi i zwyczaje zwierząt, co jest zapewne tradycyjnym zabytkiem tych dawno minionych czasów, których zdobycz łowiecka była nieraz jedynym środkiem wyżywienia całej rodziny. Jednym słowem, śmiało rzec można, że dziś u nas na dziesięciu pokątnych i jawnych posiadaczy broni myśliwskiej, zaledwie jeden kieruje się moralnymi zasadami cnoty myśliwskiej. Chciwość zaś łupu wzmogła się w ostatnich czasach przez korzystny handel i łatwość zbytku zwierzyny na stacjach dróg żelaznych<sup>9</sup> i ułatwiony transport jej do Warszawy, czym gorliwie zajmują się handlarze starozaconni, skupujący dziczyznę po wsiach i miasteczkach. Wobec tego, czyż może być mowa o podniesionym przez niektóre pisma projekcie wydzierżawienia polowań przez gminy na dochód czytelnicy gminnych?

Przed kilku laty jakiś myśliwy ziemianin pisał do „Gazety Warszawskiej” z okolic nadwiślańskich<sup>10</sup>, podnosząc kwestię racjonalnej hodowli zwierzyny, wzywając myśliwych i ludzi nieobojętnych na dobro społeczne, aby nie żartem pomyśleli o zawiązaniu towarzystwa opieki nad dziczyzną<sup>11</sup>. Narzekał on na brak dzieła polskiego w tym przedmiocie i twierdził, że władza powinna udzielać tym tylko pozwolenia na polowanie, którzy udowodnią, że na swoich gruntach zaprowadzili pewien określony system ochrony i hodowli zwierzyny. Nie słyszałem, aby kto odpowiedział na to poważnie, słowem lub czynem.

Wydane przed kilkunastu laty w Poznaniu przez Waleryana Kurowskiego *Myślistwo*<sup>12</sup> jest dobrą książką, która jednak traktuje tylko sposoby zdobycia zwierzyny. Rozdział o zwierzynkach dotyczy jeno urządzenia tej pańskiej zabawki. Za to zawarte w *Myślistwie* liczne szczegóły z życia dzikich zwierząt, równie jak arcyciekawe na tym polu spostrzeżenia pana Kazimierza Wodzickiego<sup>13</sup>, mogą być bardzo pożyteczne dla układających łowieckie statuty, przepisy i umowy. „Gazeta Rolnicza” zaczęła wydawać nam w roku 1876 „Dodatek Myśliwski”<sup>14</sup>, ale niestety dodatek ten, który mógł stać się porządnym organem dla hodowli i myślistwa, upadł za wcześnie. Tymczasem prawdziwą przysługę ogółowi, kto by wydał w tłumaczeniu polskim przepisy rządowe i zwyczaje myśliwskie w Prusach. Obowiązujące u nas *przepisy o polowaniu* (wydane w oddzielnej książeczce w Warszawie, roku 1871)<sup>15</sup> zawierają obok wielu rzeczy dobrych, niektóre zasługujące na zmianę, jak to podnosiliśmy już dawniej.

I tak dozwolony czas polowania na zajęcy od 13 sierpnia do 28 lutego jest za długi. Gdy bowiem w sierpniu strzelamy często samice kotne<sup>16</sup>, z trojgiem lub czworgiem potomstwa, które ginie w ten sposób, to sądzimy, że polowanie w tym miesiącu wzbronione być powinno.



Był już lepszy na termin rozpoczynania łowów zajęczych dzień 24 sierpnia, to jest święty Bartłomiej, uświęcony dawnym zwyczajem naszym i dawniejszymi przepisami. Koniec lutego jest znowu porą, w której samice są już zapłodnione, a więc polowanie powinno trwać tylko do połowy powyższego miesiąca. Inny artykuł dzisiejszych przepisów dozwala w ciągu całego roku strzelać samce: łosie, jelenie, sarny, kaczory, cietrzewie, głuszce, jarząbki i słonki<sup>17</sup>. Wiemy, że zabijanie samców tych gatunków bywa nawet niekiedy pożyteczne, jak na przykład kaczorów, które latem zniecierpliwione macierzyńskimi obowiązkami swych małżonek, niszczą ich gniazda. Każdy wie jednak, że pod pozorem polowania na samce myśliwi polujący dla zarobku pokątnego tępią zarówno i samice. Wskutek opodatkowania ogarów<sup>18</sup>, zastępowane są one dzisiaj nader często nagonkami, stąd więc polowania stały się mniej amatorskie i przyjemne, a bardziej spekulacyjne. W Prusiech nagonki takie urządzają się wedle pewnych prawideł, ale u nas dzieje się inaczej. Nagonka na przykład zwana „kociołkiem”<sup>19</sup> może prawie wszystką wyniszczyć zwierzynę w danej miejscowości. Gdy bowiem zgraja zebranych ludzi okrąży łańcuchem pole i postępuje ze wszystkich stron jednocześnie ku środkowi, a w łańcuchu tym idą dobrzy strzelcy, to zaledwie mała część zwierzyny uchodzi żywcem. Dzisiejsza broń szybkostrzelna wybornie rzecz ułatwia. Co do kuropatw, to o ile każda śnieżna zima jest już sama przez się morderczą dla tego ptactwa, o tyle dozwolone przepisami polowanie po śniegu przyczyniło się głównie do rzadkości i drożyzny kuropatw i sprowadza wyćpienie ich w niejednej miejscowości.

Ponieważ zabijanie samic u wszelkiej zwierzyny najwięcej wpływa na jej ubytek, przeto w niektórych krajach saren samic wcale strzelać nie wolno. Jakis znowu Niemiec ogłaszał, że podejmuje się każdemu właścicielowi na jego gruncie w dni kilka wypłacić żywcem wszystkie zające i tak poznać samice, aby później wypuszczone na wolność mogły być przez myśliwych oszczędzone. U nas starzy myśliwi po turzycy<sup>20</sup> rozróżniali płeć zajęczą o kilkadziesiąt kroków. Co się tyczy zwierzyńców zajęczych, to podobno mają być praktyczne, kilkomorgowe, ogrodzone gęstym, wysokim płotem zajęczarnie, gdzie kilku samców i kilkadziesiąt samic mogą przez lato przysporzyć dziesięć razy liczniejszy przychówek. Żywienie jest niezbyt kosztowne, a zwierzyna na zawołanie i obstalunek. Taką hodowlę zajęcy widziałem w dobrach krasiczyńskich<sup>21</sup> księcia Adama Sapiehy w Galicji<sup>22</sup>.

Tymczasem radbym zwrócić bacność ziemian<sup>23</sup> na rzeczy w gospodarstwie zwierzyńnym arcyważne i przez starych myśliwych surowo przestrzegane. Chodzi tu o: 1) energiczne tępienie drapieżnych ptaków jako niszczyteli kuropatw, przepiórek, zajęczków itd., tępienie to powinno być wymaganym obowiązkowo od służby leśnej. 2) Pilnowanie kundlów i psów myśliwskich, aby same nie wybiegały w pola, co one lubią czynić dla pożerania młodych zajęcy. Paragraf 32 przepisów o polowaniu nakazuje zawsze prowadzić takie psy na sznurze lub uwieszać im u szyi drażkę długi 2½ stopy, a gruby 2½ cala; ale prawie nikt się do tego przepisu nie stosuje. 3) Zakaz wybierania jaj kuropatw i łapania młodych zajęcy, co jakkolwiek bywa zabraniane na gruntach dworskich, ale nie dość energicznie śledzone i prześladowane. Nie mówimy już o sidłach i wnykach<sup>24</sup>. Wpływ dworu na kmieci, o ile jest możliwym, powinien tu wspólnie działać ze sprężystością<sup>25</sup> przepisów policyjnych i szerzeniem rzetelnej wśród ludu oświaty. Kwestie takie należą także do zadania pism ludowych, które jednak z wielką szkodą ogólnej moralności prawie nie mają wstępu pod strzechę wieśniaczą.

<sup>1</sup> Tekst ten zawiera przekształcone ustępy z artykułu Glogera: *Znad Narwi, w październiku*, „Kłosy” 1876, tom XXIII, nr 592, s. 279-282 [I tom *Pism rozproszonych*, XII, 16].

<sup>2</sup> Bawaria – dawniej: pijalnia, knajpa.

<sup>3</sup> Sanna – opad śniegu, okres opadów śniegu, ale także: droga usłana śniegiem, po której można jeździć saniami albo jazda saniami po śniegu (na przykład podczas kuligu).

<sup>4</sup> „...w dobach życia...” – w kolejnych okresach życia.

<sup>5</sup> Dietka – od diety: Gloger ma prawdopodobnie na myśli oszczędności zdeponowane w gminnych kasach pożyczkowo-oszczędnościowych, działających w Królestwie Polskim od 1868 roku (system emerytalny jeszcze wówczas nie funkcjonował).

<sup>6</sup> Pozytywny – jest to odwołanie do filozofii pozytywnej i do ruchu pozytywistycznego; w tym kontekście wyraz denotuje takie cechy, jak: przedsiębiorczość, nadmierny wręcz pragmatyzm, dążenie do utilitaryzmu, wybujałe ambicje; Gloger często wypowiadał się o pozytywistach krytycznie.

<sup>7</sup> Zob. Z. G. [Zygmunt Gloger], *Znad Narwi, w październiku*, „Kłosa” 1876, tom XXIII, nr 592, s. 279-282 [I tom *Pism rozproszonych*, XII, 16]; Ziemanin [Z. Gloger], *Od starego myśliwca*, „Gazeta Warszawska” 1875, nr 264, s. 2 [I tom *Pism rozproszonych*, IX, 70]. W zdaniu tym zawiera się błąd składniowy polegający na nieprawidłowym użyciu imiesłowu przysłówkowego czynnego („Pisząc mój piąty list [...] pozwólcie [...]”).

<sup>8</sup> Słowo „niemyśliwy” jest tu użyte w funkcji przymiotnikowej, oznacza: nie uprawiających myślistwa.

<sup>9</sup> Drogi żelazne – koleje.

<sup>10</sup> W artykule *Znad Narwi, 18 stycznia 1875*, „Gazeta Warszawska” 1875, nr 16, s. 2-3 [I tom *Pism rozproszonych*, IX, 31] Gloger, odsyłając w identycznym kontekście do tego samego – z pewnością własnego – tekstu, wskazuje na 13 numer „Gazety Warszawskiej” z 1874 roku; w tym numerze nie ma jednak artykułu Glogera.

<sup>11</sup> Dziczyna – tu: dzikie zwierzęta, pogłowie leśnych zwierząt.

<sup>12</sup> Zob. W. Kurowski, *Myślistwo w Polsce i Litwie*, Poznań 1865.

<sup>13</sup> Kazimierz Stanisław Michał Wodzicki (1816–1889) – ornitolog, pisarz, ziemianin. Autor dzieła *Wycieczka ornitologiczna w Tatry i Karpaty galicyjskie na początku czerwca 1850 roku*, Leszno 1851.

<sup>14</sup> Dodatek do „Gazety Rolniczej” – od 1875 roku wychodził „Dodatek Myśliwski Ilustrowany” do „Gazety Rolniczej”.

<sup>15</sup> Przepisy o polowaniu – zob. *Przepisy o polowaniu w guberniach Królestwa Polskiego*, Warszawa 1871.

<sup>16</sup> Kotne – ciężarne.

<sup>17</sup> W oryginale błędnie: „słonki”. Słonka (albo: słonka zwyczajna, *Scolopax rusticola*) – gatunek ptaka wędrownego z rodziny bekasowatych (*Scolopacidae*).

<sup>18</sup> Opodatkowanie ogarów – chodzi o koszty ponoszone przez myśliwych w związku z koniecznością uzyskania pozwolenia na polowanie z ogarami (wytrenowane i szczególnie predysponowane do łowów psy myśliwskie).

<sup>19</sup> „Kociołek” – chodzi o tzw. „polowanie w kotle”, czyli „stawanie w koło i stopniowe ku sobie zbliżanie się myśliwych, zwłaszcza w zimie” – J. Karłowicz, *Słownik gwar polskich*, tom II: „F – K”, Kraków 1901, s. 391.

<sup>20</sup> Turzyca – w gwarze myśliwskiej tak się określa sierść zająca i królika.

<sup>21</sup> Krasieczyn – miasteczko w dawnym powiecie przemyskim w Królestwie Galicji i Lodomerii (pod zwierzchnictwem Austro-Węgier), współcześnie województwo podkarpackie.

<sup>22</sup> Adam Sapicha (1828–1903) – książę, ziemianin, polityk, kawaler orderu Złotego Runa, po Wiośnie Ludów osiadł w Krasieczynie w Galicji.

<sup>23</sup> „...radbym zwrócić bacność ziemian” – chciałbym zwrócić uwagę ziemian.

<sup>24</sup> Wnyka – narzędzie kłusownicze, siła, specjalna pętla używana do chwytania zwierzyny leśnej, zakładana bez zezwolenia.

<sup>25</sup> Sprężystość – tu: siła.

## 6

### LISTY Z PODLASIA [VI],

„Echo” 1878, nr 275, s. 4-5;

artykuł ukazał się jako VI część cyklu *Listy z Podlasia*,

publikowanego przez Z. Glogera w „Echu”;

podpis na końcu tekstu: „Hreczkosiej”.

Ponieważ w pięciu poprzednich moich listach treść zastosowywać zwykłem mniej więcej do pory roku – pozwólcie mi więc i dzisiaj, gdy zima jest uprzywilejowaną dobą nauki elementarnej po wsiach, a długie wieczory sprzyjają czytelnictwu, dotknąć tu kilku kwestii bardzo żywotnych i kilku ważnych wydawnictw.

Że ciemnota ludu przynosi wstyd każdemu krajowi i wstyd oświeceniowym jego mieszkańcom – tego dowodzić nie potrzebujemy. Przywykliśmy do widoku mas ludu nieumiejących czytać i to nas nie razi zbyt, że dziś jeszcze na sześć milionów ludności w Królestwie blisko trzy miliony czytać z pewnością nie umie. A jednak, czyż jest co łatwiejszego i zarazem najniezbędniejszego na świecie dla każdego człowieka, jak znajomość druku i pisma. Ostatnie lat kilkanaście przyniosło zmiany w ustroju społeczeństwa naszego. Najlicniejsza klasa narodu została uwłaszczona ziemią i powołana do obowiązków i urzędów obywatel-

skich. Jeżeli nieumiejętność czytania mogła uderzać pierwiej, to jakże poniżać ją musi dzisiaj i wobec własnego stanowiska, i w porównaniu do sąsiednich Niemiec i Czech, a nawet ludu szlązkiego, żmujdzkiego i lotyńskiego, gdzie do wyjątków należą indywidua nieumiejące czytać. Jakoż i u nas nie można zaprzeczyć istnieniu postępu na tej drodze. Postęp jest, a nawet postęp widoczny, ale powolny. Gdy przed dwudziestu na przykład laty przeciętnie zaledwie dziesiąta część ludu modliła się w kościele na książkach, to dziś widzieć można część czwartą, trzecią, a w niektórych okolicach połowę, co w każdym razie daje nadzieję, że za lat mniej więcej czterdzieści umiejętność czytania będzie już rzeczą powszechną.

Z ludu naszego, który przed uwłaszczeniem stanowił warstwę dość zwartą, jednolitą, dostrzec można teraz powolne wynurzanie się klasy możniejszej, to jest gospodarzy rolnych. Uwłaszczonych bowiem w ogólności podzielić można na dwie warstwy, to jest kmieci, posiadających od kilkunastu do kilkudziesięciu morgów, i dawnych kopczarzy<sup>1</sup>, zagrodników<sup>2</sup>, komorników<sup>3</sup>, ogrodników<sup>4</sup> i parobków posiadających przecięciowo<sup>5</sup> nie więcej niż jeden morg.

Co do ogólnej liczby, to pierwszych jest daleko mniej i pragną się oni wynieść nad tłum roboczy i służebny, wynieść pod względem życia domowego, stroju, zbytków i w ogóle na swój sposób pojętych znamion cywilizacji. Tak zwani „gospodarze” w wewnętrznym przekonaniu mają się już za pół-szlachtę i pragną ją w wielu względach naśladować. Między nimi też zauważyć można pulsujący, silny popęd do kształcenia dzieci, a przynajmniej dania im znajomości druku i pisma. Ale u nas na wsi nie jest to rzeczą tak łatwą, jakby się zdawać mogło. Do szkółek gminnych lud nie ma zaufania, bo w nich kapłan nie naucza zasad religii. A zresztą szkółek tych jest w Królestwie tylko dwa tysiące, a wiosek dwadzieścia tysięcy, czyli, że jedna szkółka przecięciowo wypada na dziesięć wiosek. Wiadomo zaś, że posyłanie dzieci w porze zimowej do szkółki odległej o wiorst kilka jest rzeczą niemożliwą i niebezpieczną, a stawianie dziecka na stacji w wiosce u cudzych ludzi, gdzie się szkółka znajdzie, jest na wsi niepodobnym i dla ludu za kosztownym. Gdybyśmy więc nawet przypuścili, że lud będzie miał zaufanie do nauki w szkółkach udzielanej i chętnie do nich swoje dzieci będzie posyłał, to w najlepszym razie z dwóch tysięcy szkółek korzystać może dopiero około czterech tysięcy wiosek. Pozostaje zatem jeszcze szesnaście tysięcy wiosek, które ze szkółek powyższych żadnej korzyści mieć nie mogą. Liczba to niezmiernie wielka, stanowiąca  $\frac{4}{5}$  całego kraju, a niedająca się o wiele zmniejszyć, ponieważ zakładanie nowych szkółek przyniosłoby nowe i znaczne ciężary, których i tak już ludność rolnicza ma dosyć. Jedynym środkiem, który by to olbrzymie zło mógł usunąć, mogłoby być pozwolenie nauczania czytać i pisać każdemu i w każdym domu, poza obrębem szkółek rządowych, czyli gminnych. Dziś bowiem nauczać mogą tylko ci, którzy mają na to pozwolenie od naczelnika gubernialnej szkolnej dyrekcji. Wynika stąd, że tysiące ludzi takich, jak na przykład organści, oficjaliści<sup>6</sup>, włościanie umiejący czytać, a nawet niektórzy żebracy, emeryci, córki oficjalistów i córki samych dziedziców, nauczać nie mogą, bo nie mają na to pozwolenia. Jeżeli zważymy, że w każdej wiosce, wskutek powyższych formalności ubywa minimum jedna tylko osoba mogąca uczyć czytania, to wypada, że na szesnaście tysięcy wiosek ubywa w kraju 16 000 nauczycieli elementarnych, prywatnych a najtańszych zarazem, bo żaden z nich nie potrzebuje ani oddzielnego budynku na naukę, gdyż ma już swoje mieszkanie, ani pensji na całkowitz utrzymanie, gdyż ma zazwyczaj inne środki do życia. Wsie zamożniejsze włościańskie i zagrodowej szlachty dawniej utrzymywały w porze zimowej nauczycieli, których zwano „dyrektorami” lub „bakałarzami”, ale typ ich już prawie zaginął. Nauczają oni jeszcze, ale dorywczo, pokątnie, małe gromadki, więc bez powagi w oczach dziatwy i stali się raczej defraudantami<sup>7</sup> niż krzewicielami znajomości druku i pisma. A kwestia to arcydoniosła, bo jeżeli każda osoba prywatnie ucząca może z łatwością przez zimę kilkoro dzieci nauczyć czytać, to kilkanaście tysięcy takich osób nauczyć by mogło corocznie kilkadziesiąt tysięcy.

Kraj nasz pod względem prenumeraty czasopism przedstawia także bardzo dziwny stosunek. Gdzie indziej koloniści, fermierzy<sup>8</sup>, mieszcianie i rzemieślnicy stanowią podstawę prenumeraty pism popularnych. O miedzę nawet na Szlązku, w Księstwie Poznańskim<sup>9</sup> i Prusiech pisma ludowe mają tylu prenumeratorów, że mogą wychodzić bajecznie tanio. „Przyjaciel Ludu”<sup>10</sup> i „Gospodarz”<sup>11</sup> (wychodzące co tydzień) kosztują rocznie talar! U nas przeciwnie, tylko wyższe warstwy społeczne czytają czasopisma – lud nie bierze w tym udziału. I tym się tłumaczy, że gdy na dziesięć milionów ludzi mówiących po polsku wychodzi około sto czasopism w ich języku, to na pięć razy większą ilość Niemców wychodzi czasopism dwadzieścia razy tyle, czyli stosunkowo do ogólnego pogłowia cztery razy więcej. Gdybyśmy przypuścili, że na 600 ty-

sięcy uwłaszczonych w Królestwie rodzin włości ańskich tylko jedna na dziesięć jest w stanie odłożyć kilka rubli rocznie na prenumeratę („Zorza”<sup>12</sup> kosztuje rs. 3, „Gospodarz” rs. 1 kop. 50, „Postęp Rolniczy”<sup>13</sup> rs. 2 k. 40), to i tak mielibyśmy 60 tysięcy przedpłatników<sup>14</sup>. A tymczasem iluż ich mamy? Oto „Zorza” ma wprawdzie kilkuset prenumeratorów, ale zapewne nie więcej nad dziesiątą część tej liczby stanowią włościanie. A jednak twierdząc, że dziesiąta część rodzin uwłaszczonych mogłaby prenumerować jakieś tanie pismo, nie przesadzamy bynajmniej, wiemy bowiem, że daleko więcej kosztuje wódka na każdych chrzcinach lub pogrzebie, a o weselu to nie ma i mowy, gdzie wydatek na nią dochodzi częstokroć do rubli kilkudziesięciu!

Nie potrzebujemy tu wykazywać tych niezmiernych korzyści, które lud nieoświecony odnosiłby, gdyby czytał dobre, popularne piśmka. Jest to droga dla napływu pożytecznych wiadomości tak szeroka, że jej nic ani zastąpić, ani dorównać nie zdoła. W krajach z wyższą cywilizacją wieśniak naturą swego położenia jak wszędzie odosobniony od ruchu świata z popularnego pisma dowiaduje się o wszelkich ulepszeniach rolniczych, o doświadczeniach biegłych rolników, o urządzeniach, przepisach i zmianach rządowych, o sekretach gospodarsko-kuchennych, o ciężących na nim moralnych obowiązkach rolnika, sąsiada, obywatela i dziecka lub ojca rodziny, o ruchach handlowych i przemyśle, o zapotrzebowaniu różnych produktów przez osoby trzecie, fabryki i miasta, o zarobkach i przedsiębiorstwach, o sposobach uczenia dzieci i książkach najpożyteczniejszych. Każde zacne pismo ludowe daje przestrogi, zachęca do pracy i pobożności, do dobrych uczynków, do szanowania starości rodziców, do szanowania cudzej własności i w ogóle do cnoty. W przykładach i powieściach gani zbytek, pijaństwo i złe obyczaje. Jednym słowem jest skarbnicą wiedzy maluczkich, poznaje ich z własnym krajem i pożytecznymi rzeczami z zagranicy, ostrzega o coraz nowych wybiegach oszustów, wyszydza zabobony itd.

U nas, ponieważ lud pism nie prenumeruje, powinni to czynić dla przykładu i pożytku właściciele karczem wiejskich. Jeżeli cukiernie i kawiarnie w miastach miewają dla swych gości po kilkanaście i kilkadziesiąt czasopism i gazet, czyż dziedzić każdej karczmy nie mógłby się zdobyć na trzyrublową „Zorzę” lub o połowę tańszego „Gospodarza”. Wszak należy się coś dla tych, których karczma demoralizuje i dla tych, z których ciągnie się choćby najmniejszy dochód. A może też niejeden kmieć zamożny, dla pożytku swego i dziatwy zaprenumerowałby także pismo do swego domu, zachęcony widokiem i czytaniem jego w gospodzie.

Chwalebny przykład innego rodzaju dał jeden z ziemian podlaskich, który za przyznane sobie rs. 10, jako wynagrodzenie od włościan za szkody zrażone przez nich w zbożu, zaprenumerował dla nich „Zorzę”, „Gospodarza” i kupił kilkadziesiąt książeczek pożytecznych.

O ile za rzecz pożyteczną uważalibyśmy czytelnie parafialne, czyli wypożyczalnie książek, zostające pod dozorem proboszcza lub świętego obywatela (kilka takich istnieje w Królestwie), o tyle jesteśmy bardzo przeciwni kolporterstwu<sup>15</sup> bez ścisłej kontroli i kramikowym po miasteczkach księgarsniom. Takimi pokątnymi kolporterami są u nas dzisiaj roznosiciele drobnych towarów, tak zwani *węgrzy*, a księgarnie sposobem stałyby się żniwem handlarzy szukających zysku w rozprzestrzenianiu książek zapalających fantazję opowiadaniem cudownych, a niedorzecznych bajek lub łechcących namiętności bezwstydnym dowcipem, mających wreszcie niekiedy cel niedorzecznej, szkodliwej propagandy, jak na przykład dwugroszowe książeczki warszawskiej misji anglikańskiej. „Węgrzy” roznoszą niestworzone bajdy pod tytułem *Królowa Magielona*<sup>16</sup>, *Głowa Salomona*<sup>17</sup>, *Życie siedmiu mędrców*<sup>18</sup>, *O żywocie wiecznym tułaczku*, senniki i kabały sięgające wśród ludu ciemnotę i zabobony.

Książeczki podobne wychodzące w Prusiech lub u Breslauer<sup>19</sup>, chciwie przez lud czytowane, nie powinny być przynajmniej w pokątnej sprzedaży dozwolone. Lud bowiem, nie posiadając wiedzy krytycznej, krwawo zapracowanymi nieraz pieniędzmi płaci za ten towar szkodliwy, w przekonaniu, że zdobywa coś najlepszego! Lud jest dzieckiem, a nad dziećmi czuwa zwykle opieka, nie dopuszczając zabawy na przykład z brzytwą, zapalkami, trucizną itd.

Czyż nie mamy książeczek napisanych pięknie a natchnionych duchem zacnym, obywatelskim, do których należą wydawnictwa Promyka, a między innymi nieoszacowana perełka literatury ludowej, tania, bo dziesięciogroszowa, skreślona obrazowym piórem wytrawnego i biegłego ekonomisty, a wydana przez prof. Włoszka pod tytułem *Pogadanki o rzeczach pożytecznych*<sup>20</sup>. Do mniej nieco, ale także popularnej sfery należy wydany świeżo przez Gebethnera i Wolffa *Pan Tadeusz Mickiewicza*<sup>21</sup>. Mamy sobie za święty obo-

wiązek zwrócić jak najpowszechniejszą uwagę na to wydawnictwo. Ten klejnot najcudniejszy w koronie poezji naszej, arcydzieło z arcydzieł, wiecznie świeże i dla wszystkich przystępne, przy cenie 60 kop. (4 złp.) za 350 stron druku i około 12 000 wyrzeźbionych przez mistrza wierszy, powinno i może znaleźć się dzisiaj w każdym domu, nawet ubogim, tak jak na stole każdego obywatela ziemskiego znajdować się powinna kończąca już swój druk i podobno prawie wyczerpana *Encyklopedia rolnicza*<sup>22</sup> i zacna, pracująca wytrwale, a stojąca na straży ideału, bardzo niesłusznie może przez nasz ogół zapomniana „Biblioteka Warszawska” lub strzegąca z pilnością westalki zarzewia cnoty u domowego ogniska „Kronika Rodzinna”<sup>23</sup>.

<sup>1</sup> Kopczarz – osadnik na gruncie wykarczowanym, wykopany w lesie.

<sup>2</sup> Zagrodnik – dawniej: chłop posiadający mały dom i gospodarstwo (nie więcej niż ¼ łana łącznie), pracujący jako najemnik u bogatszych gospodarzy (kmicci).

<sup>3</sup> Komornik – dawniej: chłop bezrolny, mieszkający w cudzej chacie, płacący komorne (czynsz), lokator.

<sup>4</sup> Ogrodnik – dawniej: chłop mający jedynie chatę i niewielki ogród, często pracujący u bogatszych gospodarzy, podobnie jak zagrodnik.

<sup>5</sup> Przecięciowo – przeciętnie, przekrojowo.

<sup>6</sup> Oficjalista – osoba zatrudniona przy zarządzaniu prywatnym majątkiem ziemskim; urzędnik.

<sup>7</sup> Defraudant – w dawnej polszczyźnie: kontrabandzista, przemytnik; w tym kontekście: nauczyciel przemycający wiedzę pokątnie, za którym nie stoi odpowiednia powaga urzędu.

<sup>8</sup> Fermier, właściciel: fermer – właściciel albo dzierżawca fermy (średniej wielkości gospodarstwa hodowlanego lub rolnego).

<sup>9</sup> Księstwo Poznańskie – właśc. Wielkie Księstwo Poznańskie – autonomiczne księstwo wchodzące w skład Królestwa Prus po Kongresie Wiedeńskim (1815). Mimo że po roku 1848 (powstanie wielkopolskie) Wielkie Księstwo Poznańskie oficjalnie przestało istnieć (w administracji pruskiej używano terminu *Provinz Posen* – Prowincja Poznańska), nazwy tej używano również później, stąd częste jej pojawianie się u Glogera.

<sup>10</sup> Zob. „Przyjaciel Ludu. Tygodnik Potrzebnych i Pożytecznych Wiadomości”, druk E. Güntera, Leszno 1834–1849.

<sup>11</sup> „Gospodarz: pismo rolnicze wychodzące w Toruniu co czwartek: organ Towarzystw rolniczych Zachodniopomorskich, Kółek włościańskich Wielkiego Księstwa Poznańskiego i Towarzystwa Rolniczego dla Księstwa Cieszyńskiego” był tygodnikiem, wyd. przez Edwarda Donimirskiego i Józefa Buszczyńskiego. Wychodził od 1871 do 1890 roku (18 roczników).

<sup>12</sup> „Zorza” – tygodnik wydawany w Warszawie z przerwami w latach 1844–1939, skierowany do mieszkańców wsi; propagował ruch spółdzielczy, zakładanie kas oszczędności i rzemiosło. Redaktorzy naczelni: m.in. Z. Grajner, A. Marczewski, J. K. Gregorowicz, S. Przysański, M. Brzeziński, S. Załuska.

<sup>13</sup> „Postęp Rolniczy: organ przemysłowo-gospodarczy prowincji śląskiej” – czasopismo wychodzące w Bytomiu w od 1877 roku, od 1897 oficjalny organ Centralnego Towarzystwa Gospodarczego dla Górnego Śląska.

<sup>14</sup> Przedpłatnik – osoba, która zapłaciła za określony towar jeszcze przed jego wykonaniem; w tym kontekście: prenumerator.

<sup>15</sup> Kolporterstwo – rozpowszechnianiu, handlowi.

<sup>16</sup> Królowa Magielona (fr. *Maguelonne*) – bohaterka średniowiecznego romansu francuskiego, którego różne wersje przeniknęły do literatury polskiej: zob. [b.a.], *Historia o Magielonie, Krolewnie Neapolitańskiej* (wyd. z XVIII wieku, dokładna data nieznana); [b.a.] *Historia o szlachetnej i pięknej Magelonie córce króla z Neapolu i o Piotrze rycerzu hrabim. Różne przygody, smutki i pociechy, nieszczęścia i szczęścia przy odmianach omylnego świata reprezentująca*, wyd. Konstantin Nowacki, Olesno 1910. Dzieła o tytule podanym przez Glogera nie udało się ustalić, jednak możliwe, że podał go on z pamięci, niedokładnie; najprawdopodobniej jednak były to odpisy, broszury, drobne, niskonakładowe wydawnictwa, które nie przetrwały do naszych czasów – ta uwaga tyczy się również kolejnych wymienionych tytułów dzieł, sprzedawanych przez „węgrów”.

<sup>17</sup> *Głowa Salomona* – nie udało się ustalić, o jaki druk chodzi. Prawdopodobnie była to jakaś wersja historii słynącego z mądrości biblijnego Salomona, króla Izraela i budowniczego świątyni w Jeruzolimie.

<sup>18</sup> *Siedmiu mędrców* – chodzi o grupę reformatorów, prawodawców i myślicieli działających w starożytnej Grecji między VII i VI wiekiem p.n.e., poprzedzających pojawienie się filozofii greckiej. Ich dokładne imiona nie są ustalone, choć – w zależności od przekazu – zaliczani są do tej grupy między innymi: Solon (ateński polityk), Pittakos z Mityleny (dyktator Mityleny), Tales z Miletu (uczony, matematyk, stromon), Epimenides z Krety (legendarny keteński cudotwórca i poeta). Do dzieł po polsku, poruszających temat postaci siedmiu mędrców zalicza się między innymi: [b. a.], *Życie świętej Genowefy: wzruszająca prawdziwa i ciekawa powieść dla dojrziałych osób [...] z niektórymi ciekawymi powieściami z historii siedmiu mędrców*, Ostróda [ca 1855].

<sup>19</sup> Jan Breslauer (1820–1897) – warszawski księgarz; prowadził w Warszawie na ul. Świętokrzyskiej księgarnię nakładczą, tzn. zajmował się nie tylko sprzedażą książek, ale także je wydawał. W początkowym okresie działalności ukazywały się u niego cenione dzieła literatury pięknej, później jednak wydawał przede wszystkim romanse i powieści sensacyjne, co nie zjednało mu przychylniej opinii w ówczesnych środowiskach kulturalnych.

<sup>20</sup> Chodzi o dzieło Józefa Supińskiego (1804–1893) – uczonego, ekonomisty, członka Akademii Umiejętności w Krakowie, honorowego członka Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk jednego z prekursorów socjologii w Polsce, zwolennika reform gospodarczych na ziemiach polskich. Jego *Pogadanki o rzeczach pożytecznych* były później wielokrotnie wznawiane (zob. wydanie 5, pomnożone i uzupełnione: *Siedm wieczorow. Pogadanki o rzeczach pożytecznych*, Warszawa 1883). Prof. Włoszek – Szymon Tadeusz Włoszek (1843–1933) – powstaniec styczniowy, absolwent Szkoły Głównej w Warszawie, nauczyciel łaciny i greki w warszaw-

skim gimnazjum (1871–1885), członek Oddziału Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego w Kielcach i twórca muzeum regionalnego w tym mieście.

<sup>21</sup> Zob. wydanie: A. Mickiewicz, *Pan Tadeusz czyli Ostatni zajazd na Litwie. Historia szlachecka z 1811 i 1812 r. w dwunastu księgach*, Paryż: Księgarnia Luxemburska; Kraków: Księgarnia G. Gebethnera i Spółki, 1878.

<sup>22</sup> Zob. *Encyklopedia rolnictwa i wiadomości związek z niem mających*, t. 1-5, red. J. T. Lubomirski, Ed. Skawiński, St. Przystański, Warszawa 1875–1879.

<sup>23</sup> Westalka u domowego ogniska – metaforyczne przyrównanie „Kroniki Rodzinnej” do westalki, czyli w starożytnym Rzymie kapłanki Westy, bogini opiekującej się ogniskiem domowym.

7

POGADANKI O RZECZACH POŻYTECZNYCH.  
WARSZAWA 1878 ROKU [RECENZJA],

„Echo” 1878, nr 96, s. 4;  
artykuł ukazał się w rubryce „Kronika Literacka”;  
podpis pod tekstem: „Z. G.”

Mamy przed sobą bardzo pożyteczną książeczkę, może pierwszą z wydawnictw popularnych w naszym piśmiennictwie, która, nosząc na okładce cenę „5 kopiejek”, zawiera w sobie skarby warte tysiące. Zaraz z pierwszej stronnicy poznać można, że autorem *Pogadaniek o rzeczach pożytecznych* jest uczony ekonomista i utalentowany pisarz<sup>1</sup>.

*Pogadanka I* nosi tytuł: *Dlaczego trzeba się uczyć i pracować*. Autor powiada, że kto chodzi do szkoły, ten uczy się myśleć, a ten, co nie umie myśleć zdrowo, nie jest jeszcze człowiekiem zupełnym... Szkoła uczy najprzód abecadła, które jest większym wynalazkiem od kolei, od telegrafów i od wszystkich maszyn, bo na tym wynalazku stoi wszystko, co później zrobiono dobrego i wynaleziono. Uczyć się trzeba dlatego, że nie dosyć jest wiedzieć, co jest dobre, a co złe, lecz „trzeba umieć złego nie dopuścić, a dobre wynagrodzić!...”

W *Pogadance II* pisze autor, że „Bóg chciał, aby człowiek rozumem i pracą zaspakajał swoje potrzeby, a w tem właśnie leży jego wyższość nad zwierzętami”. Narzekać na to, że człowiek musi pracować, żeby wyżył, jest to grzeszyć przeciw Mądrości odwiecznej. Człowiek nieokryty, jak zwierzęcia, sierścią, nieuzbrojony w kły, rogi i pazury, wydaje się, jakby przeznaczony był na pożarcie i wyniszczenie; a przecież człowiek ten przeznaczony został, aby opanował świat cały i wszystko ku pożytkowi swojemu obrócił. Stwórca bowiem obdarzył go nierównie wyższymi środkami, bo mu dał „rozum”, aby dostrzegał, sądził i przewidywał; bo mu dał „rękę”, której zręczności żadna maszyna na świecie wyrównać nie może. Dlatego też, gdy jeden chce uczyć drugiego, odkrywa i pochyla głowę, gdzie mieszka rozum, lub całuje rękę, gdzie mieszka zręczność. Gdyby Wszchemogący chciał być, aby człowiek posiadał bez pracy wszystko, byłby go we wszystko już gotowe zaopatrzył; ponieważ zaś człowiek dopiero przez pracę rąk i rozumu dochodzi do posiadania rzeczy mu użytecznych, „praca więc jest prawem bożem człowiekowi nakazana, a kto się zaniedbuje, ten łamie święte prawa i za to cierpi...”. Stwórca chciał, żeby człowiek istniał pracą rąk i pracą umysłu...

*Pogadanka III-ia* nosi tytuł: *Co ludzie mieli dawniej, co mają dzisiaj i skąd to poszło?* Tu autor zestawia dzikość natury pierwotnej, nędzne życie ludów barbarzyńskich i niewolniczych z dobrodziejstwami oświaty, bezpieczeństwa i wolności. Świat ziemski zmienił swoją powierzchowność przez pracę człowieka, którego wygodne a moralne życie, nauka, poszanowanie ludzkie, niezawisłość i spokój wymagają, aby „spotrzebował mniej niż ma, a dorabiał więcej niż potrzebuje”. To, co ludzie oszczędzą i dorobią, przybywa do ich mienia, do mienia ich dzieci, do mienia i potęgi narodu. Bo ogół mienia wszystkich rolników, kupców,

fabrykantów, rzemieślników, właścicieli domów i kapitalistów stanowi „zasób narodowy”. Gdyby człowiek nie myślał o jutrze, to by nikt ani szczepił drzew owocowych, bo te opłaca się dopiero za lat kilkanaście, ani hodował zwierząt, bo te staną się użytecznymi dopiero za lat trzy, nikt by nawet nie zasiał zboża na zimę. Gdyby dziadowie i pradziadowie wasi, powiada autor, nie byli nic pozostawili swoim następcom, to byście dziś nic nie mieli; stalibyście zgłodniałi i nadzy, nie wiedząc, gdzie się obrócić i co począć... Dalej znakomity nasz ekonomista mówi „o prawie własności”, wyrażając się, że „własność jest to świętość ziemską”... Gdyby cały naród składał się z samych porządnych gospodarzy i gospodyń, ze służby wiernej i trzeźwej, z dziedziców dających przykład przez naukę, pracowitość i oszczędność – kraj nasz sprowadziłby na siebie szczególne błogosławieństwo Boże i zakwitnąłby pomyślnością...

W *pogadance IV* autor, tłumacząc, „dlaczego ludzie sprzedają i kupują”, przedstawia w sposób nader jasny, przystępny i zajmujący powstanie handlu i pieniędzy i dowodzi (za Bastiatem)<sup>2</sup>, że „mienie ludzi i ich dobry byt polega nie na pieniądzech, ale na rzeczach, co służą ku potrzebom, ku wygodzie i oświacie”. Bo gdyby na świecie było dużo pieniędzy, a rzeczy użytecznych nie było, to byłby niedostatek i nędza, a przeciwnie, tam gdzie jest dużo wszelkich produktów, to choćby pieniędzy zabrakło, nędzy nie będzie. Źródłem i owocem pierwszego położenia jest „drożyzna”, następstwem zaś drugiego „taniość i obfitość”. Od wymiany i handlu przechodzi autor do marnotrawstwa, a następnie do „podziału pracy” i wyjaśnia, że niemal wszystko na świecie powstaje przez „robotę składaną” i że niemal wszystko, co ludzie mają, dochodzi ich drogą wymiany. „Jest to skutkiem prawa Bożego” (pisze wytrawny statysta<sup>3</sup>), „które chce, ażeby ludzie żyli jako bracia i jedni stawali się użyteczni drugim”... Nie było nigdy i nie będzie takiego kraju, gdzie by wszyscy byli zarówno bogaci lub ubodzy, z wyjątkiem dzikich ludów, gdzie wszyscy chodzą nago, chowają się w jamy albo śpią, siedząc na gałęziach, żyją korzeniami lub surowym ścierwem. W krajach urządzonych<sup>4</sup> nigdy do równowagi majątków przyjść nie może, bo choćby kto użył gwałtu, to nie tylko w następnym pokoleniu, ale już nawet za życia tych samych ludzi zaczęłaby powstawać nierówność przez: schedy, podziały, sprzedaże, oszczędności lub marnotrawstwo.

*Pogadanka V* i ostatnia osnuta jest na pytaniu „czy gospodarzowi potrzebna oświata?”. Tu między innymi czytamy: „Jest to doskonały zwyczaj nazywać ciemnym człowieka ślepego i ciemnym nierozumnego. Ale gdy ciemny na oczy szuka, maca i znajdzie takiego, co go zaprowadzi zdrowo na miejsce, to człowieka ciemnego na umyśle nikt nie doprowadzi do prawdy, bo on nie dowierza ludziom rozumniejszym od siebie, a ludzie równi jemu jeszcze gorzej bałamucają jego umysł nieurobiony... Dzik chodzi po lesie, nie wiedząc o reszcie świata. Stwórca udarowawszy człowieka rozumem, usposobił go do myśli rozległej, bo chciał, żeby człowiek, nie wychodząc nawet ze swej siedziby, znał ten świat wielki, nad którym ma panować... I u nas stopniowo dawny sposób gospodarowania wystarczać przestaje. Za jakie lat 20 lub 30 ci, co zostaną bez nauki, potracą swoje mienie i będą musieli sprzedawać ziemię Niemcom przychodzącym do nas bez majątku, ale z nauką. Kraj naszych pradziadów stanie się niemieckim, a synowie nasi pójdą służyć za parobków w tych samych osadach, gdzie ich dziadowie byli właścicielami. Pracujcie więc i uczcie się szczerze, bo was «Bóg stworzył na obraz i podobieństwo swoje», a «jak sobie kto pościele, tak się wyśpi», naucza staropolskie przysłowie...”

Zdania i teorie tryskające prawdą, bystrością poglądu i szlachetną tendencją autor dziwnie ożywia dowodami z historii, geografii, przyrodoznawstwa i opisem ciekawych faktów, co czyni 5-kopiejkową książeczkę (o 56 stronicach) miłym gościem zarówno w ręku chłopięcia, jak starca, zarówno pod strzechą słomianą, jak na stole bogacza.

<sup>1</sup> Józef Supiński (1804–1893) – filozof, pisarz, uczonek, ekonomista, członek Akademii Umiejętności w Krakowie, honorowy członek Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk jeden z prekursorów socjologii w Polsce. Postulował w swoich pracach podjęcie szeregu reform gospodarczych na ziemiach polskich. Jego *Pogadanki o rzeczach pożytecznych* były później wielokrotnie wznowiane (zob. wydanie 5, pomnożone i uzupełnione: *Siedm wieczorów. Pogadanki o rzeczach pożytecznych*, Warszawa 1883).

<sup>2</sup> Claude Frédéric Bastiat (1801–1850) – francuski ekonomista, filozof i polityk, propagator idei wolnego rynku, krytyk socjalizmu. Autor dzieła *Paix et liberté ou le budget républicain*, Paris 1849.

<sup>3</sup> Statysta – dawniej: polityk, mąż stanu, obserwator wydarzeń politycznych, dyplomata.

<sup>4</sup> Urządzonych – tu: rozwiniętych, zorganizowanych.

## WARSZAWSKIE MUZEUM RYBACTWA,

„Echo” 1878, nr 110, s. 4;

tekst opublikowano jako oddzielny artykuł;

podpis na końcu: „Zygmunt Gloger”.

Ziomek nasz, Michał Girdwojn<sup>1</sup>, który jako anatom pszczoły i badacz patologii ryb (zwłaszcza rodziny łososiowatych – *Salmonoides*)<sup>2</sup> posunął naukę naprzód i znany jest z tego więcej na obczyźnie niż w kraju rodzinnym, który jednak, pomimo naukowych i materialnych ponęt, pociągających go gdzie indziej, zamierzył osiedlić się w Warszawie dlatego tylko, żeby pracować dla kraju – przygotował plan i całkowity projekt bardzo ważnego, porządnego i ciekawego ze wszech miar zakładu. Zakładem tym jest projektowanie przez naszego uczonego „Warszawskie Muzeum Rybactwa”, które miałoby dla nas wysoką doniosłość, tak pod względem gospodarczo-przemysłowym, jak naukowym, zwłaszcza tam, gdzie niedostatek ścisłej nauki razi na każdym niemal kroku.

W Europie znajdują się obecnie tylko trzy w tym kierunku przemysłowe muzea rybactwa, które pan Girdwojn mozolnie studiował i porównywał. Czwarte powstałoby w Warszawie. Najpierwsze miejsce wśród owych trzech zajmuje oddział rybactwa przy South-Kensington muzeum w Londynie<sup>3</sup>, ale i to muzeum nie jest kompletne, bo dla Anglii, której wszystkie prawie morza świata dostarczają ryb dziko żyjących, przemysł hodowli w wodach słodkich nie ma takiego znaczenia, jak dla krajów innych, a przede wszystkim dla naszego, posiadającego, przeciwnie, tylko bogactwo wód słodkich.

Muzeum rybactwa, opracowane gruntownie tak pod względem naukowym, jak praktycznym przez pana Girdwojna, przedstawia się zewnątrz jako parterowy, kwadratowy na suterrenach<sup>4</sup> budynek, długi i szeroki stóp warszawskich 48<sup>5</sup>. Cały parter mieści w sobie jedną wielką salę oświetloną przez dwanaście dużych okien, po cztery w trzech ścianach. W sali tej wzdłuż trzech owych ścian biegną długie stoły, przeznaczone do pomieszczenia zakonserwowanych okazów, kwalifikującego się do hodowli świata rybiego polskiego i obcego, we wszystkich okresach rozwoju organizmów, a także wszelkiego rodzaju szkodników roślinnych i zwierzęcych.

Na ścianach zaś i u stropu zawieszono są narzędzia rybackie wszystkich krajów, pospolite i postępowe. Przy ścianie czwartej wytryska ze skały malowniczo naśladowującej naturę źródło zasilane z wodociągu i przebiega niby strumyk górski przez arcyciekawy przyrząd wylęgowy dla ryb łososiowatych. Kilkotygodniowy proces wylęgania będzie się wielokrotnie odbywał w tym przyrządzie, który, przedstawiony przez pana Girdwojna na wystawie rolniczo-przemysłowej w Szawlach<sup>6</sup>, opisaliśmy już w sprawozdaniu do „Biblioteki Warszawskiej” (z roku 1876, tom IV)<sup>7</sup> i później w „Echu”<sup>8</sup>. Źródło to z pomienionej wylęgarni spływać będzie do umieszczonej na środku sali wielkiej okrągłej cysterny, ozdobionej wodotryskiem, a przeznaczonej do hodowli ryb łososiowatych w pierwszym roku ich życia. Tym sposobem muzeum będzie mogło po niskiej cenie zaopatrywać w najszacowniejszy narybek hodowle prywatne *łososi-o-pstrągów*<sup>9</sup>. Urządzenie powyższej sali dopełnią cztery szklane wazony z najosobliwszymi zagranicznymi gatunkami ryb żywych i skorpupiaków.

Właściwe akwarium pomieszczone będzie w suterrenach, gdzie w ścianach pod dwunastu oknami sali parterowej znajdować się będzie tyleż oddzielnych wodobiorów<sup>10</sup>, oświetlonych z góry przez światło słoneczne, a wieczorami sztuczne, które przez wodę i ścianę szklaną oświetlać będzie korytarz dokoła ścian w suterrenach prowadzący i dla zwiedzających przeznaczony. Ten rodzaj oświetlenia jest dogodnym tak dla zwierząt, które mogą korzystać ze światła, a są swobodne, bo nie widzą publiczności, jak dla tej ostatniej, która może wybornie przypatrywać się życiu świata wodnego.



W owych dwunastu wodozbiorach pomieszczone będą wszystkie gatunki ryb i skorupiaków, zalecające się do hodowli w naszym kraju.

Plan budynku i urządzenia (złożony obecnie przez pana Girdwojna w Muzeum Przemysłowym Warszawskim<sup>11</sup>) wydał nam się tak prostym i praktycznie obmyślanym, iż nie zdziwiliśmy się, że kosztorys budowy ułożony wspólnie z biegłym budowniczym zaledwie przenosi rs. 8000.

Muzeum powyższe, które przedstawi całość dotąd podobno nigdzie niewcieloną, raz jeszcze powtarzamy, miałoby wysoką doniosłość dla kraju naszego pod względem gospodarczo-przemysłowym i naukowym, a wreszcie jako pożyteczna i zajmująca rozrywką dla młodzieży i publiczności, która tłumnie zwiędzałaby ten ciekawy zakład.

Chodzi tylko o to, aby słowo stało się ciałem. Ale niestety! O rzecz podobną niełatwo w kraju, którego mieszkańcy nie odznaczają się rozwiniętym instynktem wrażliwego odczuwania swoich istotnych potrzeb społecznych. Gdzie indziej fakta i czyny wyprzedzają głos prasy na podobnej drodze – u nas przeciwnie – nim się co wyklaruje, potrzeba zadrukować moc bibuły.

Podając do wiadomości ogółu powyższy nader szczęśliwy zamysł naszego uczonego przyrodnika, nie wątpimy jednak, a raczej wątpić nie chcemy o uwieńczeniu dzieła dobrym skutkiem. Gdy bowiem posiadamy mecenasów, wzbogacających z daleko większym jeszcze kosztem krajowe gabinety przyrodnicze, nie godzi się mniemać, iżby nie mieli znaleźć się ludzie dobrej woli, którzy by założyli muzeum rybactwa, mogące połączyć w sobie najwyższy pożytek nauki z korzyścią ekonomiczną kraju, a nawet zapewnić pewną rentę swemu założycielowi lub odpowiedniemu stowarzyszeniu.

Jeżewo, dnia 7 maja

<sup>1</sup> Michał Girdwojń (Girdwojń) (1841–1924) – przyrodnik, matematyk, ichtiolog, entomolog, projektant gospodarstw zajmujących się hodowlą ryb, autor *Anatomii pszczoły* (wyd. Paryż: J. K. Żupański, 1875). W niniejszym artykule Gloger stosuje zapis „Girdwojń”, możliwe też, że przyjęła taki zapis redakcja. Zob. artykuł Glogera: (*O Girdwojniu i jego pracach*), „Biblioteka Warszawska” 1876, t. II, s. 652 [I tom *Pism rozproszonych*, II, 19].

<sup>2</sup> *Salmonoidi* – poprawna naukowa nazwa rodzajowa łososiowatych to: *Salmonidae*.

<sup>3</sup> South Kensington – dzielnica Londynu, położona w środkowej części miasta, na terenie gminy Royal Borough of Kensington and Chelsea. Współcześnie w jej granicach znajdują się trzy wielkie londyńskie muzea: Muzeum Historii Naturalnej, Muzeum Nauki i Muzeum Wiktorii i Alberta. Gloger pisze o Muzeum Nauki lub Muzeum Wiktorii i Alberta, gdyż Muzeum Historii Naturalnej zostało otwarte dopiero w 1881 roku. Ze względu na przedmiot artykułu wydaje się prawdopodobne, że chodzi o Muzeum Nauki, lecz to właśnie Muzeum Wiktorii i Alberta nosiło na początku swego istnienia (1852 rok) nazwę *South Kensington Museum*.

<sup>4</sup> Suterena – część budynku znajdująca się pod parterem, poniżej poziomu z ziemi.

<sup>5</sup> Zob. *Wykaz miar, wag i walut* (*Pisma rozproszone*, t. I). Stopa warszawska (staropolska) wynosiła 29,78 cm, natomiast stosowana w Królestwie Polskim od 1819 roku stopa nowopolska wynosiła 28,8 cm.

<sup>6</sup> Szawle – w XIX wieku miasto powiatowe guberni kowieńskiej Imperium Rosyjskiego położone nad rzeką Rudawką, przy trakcie pocztowym między Taurogami a Rygą. Współcześnie miasto na Litwie, stolica okręgu szawelskiego, ośrodek przemysłowy, kulturalny i naukowy.

<sup>7</sup> Z. Gloger, *Szawle na Żmujdzi, 15 września 1876 roku*, „Biblioteka Warszawska” 1876, t. IV, s. 166-170 [I tom *Pism rozproszonych*, II, 21].

<sup>8</sup> Zob. artykuł Glogera: *Listy z Podlasia* [III], „Echo” 1878, nr 82, s. 4-5; zob. s. 1122-1125 w tym tomie.

<sup>9</sup> „Łososio-pstrąg” – pisząc „łososio-pstrąg”, Gloger ma być może na myśli krzyżówkę troci wędrownej (*Salmo trutta m. trutta*) z pstrągiem. Troć należy do rodziny łososiowatych, a w środowisku naturalnym trocie i pstrągi krzyżują się niekiedy ze sobą.

<sup>10</sup> Wodozbiór – dawniej: zbiornik wody, sztuczny lub naturalny, basen, rezerwar.

<sup>11</sup> Muzeum Przemysłu i Rolnictwa w Warszawie – nieistniejące współcześnie muzeum założone w roku 1866 z inicjatywy Jana Tadeusza Lubomirskiego (1826–1908), zniszczone w 1939 roku. Prezentowało eksponaty z zakresu historii polskiego przemysłu, rolnictwa i rzemiosła.

Z TYKOCINA,  
„Echo” 1878, nr 202, s. 5;  
tekst opublikowano w rubryce „Drobne Echa”;  
bez podpisu.

Otrzymujemy następujący list z Tykocina:<sup>1</sup>

Miasteczko nasze podlaskie, liczące około 6000 mieszkańców, w połowie starozakonnych, a w połowie rolnictwem zajmujących się chrześcijan, posiada dwie świątynie, dawniej do Księży Misjonarzy O. O. Bernardynów należące, z których druga niewielka i skromna, ale miluchna, pierwsza zaś do pięknych i okazałych budowli należy.

Wzniósł ją za panowania króla Augusta III Sasa Jan Klemens Branicki, później kasztelan krakowski (stąd zwany *panem krakowskim*)<sup>2</sup> i hetman wielki koronny, prawnuk po kądzieli Stefana Czarnieckiego<sup>3</sup> (i stąd dziedzic darowanego wielkiemu wojownikowi Tykocina), ożeniony pod starość z Elżbietą, siostrą Stanisława Augusta<sup>4</sup>, a ostatni po mieczu potomek Jaksów Branickich herbu Gryf, najstarszej z możnowładnych rodzin polskich<sup>5</sup>.

Świątynia, którą Branicki przyozdobił nadnarwiański zakątek ziemi bielskiej, stanęła frontem do głównego rynku, na którym hetman postawił piękny pomnik wielkiemu pradziadowi.

W ostatnich czasach po gruntownym odnowieniu ołtarzów bocznych i restauracji<sup>6</sup> zewnątrz kościoła został odmalowany wewnątrz kosztem dobrowolnych ofiar parafian, gorliwym i ze wszelkich miar zasługującym na uznanie staraniem miejscowego proboszcza ks. Kaliksta Kruszewskiego<sup>7</sup>, a pracą dwóch artystów Bonifacego i Czesława Czarnieckich<sup>8</sup>, z których pierwszy (ojciec) wykonał pędzlem ozdoby architektoniczne, a drugi (syn) obrazy i postacie afresco<sup>9</sup>.

Artyści, odkrywszy niektóre pierwotne malowidła pod późniejszymi, ze starannością przywrócili je oczom pokoleń, które już o nich nie wiedziały.

Nadto chwalebny staraniem tychże osób kamienny posąg bohatera spod Warki<sup>10</sup> i Koldyngi<sup>11</sup>, oczyszczony z mchu i pyłu, pociągnięty został farbą olejną.

Rzecz dziwna i arcyntaganna, że piękny ten posąg, przedstawiający wielkiego pogromcę Szwedów, wydającego buławą rozkazy, nie został dotąd odlany w gipsie w zmniejszonej wielkości, aby się stać miłą ozdobą w każdym pałacu, domu i ustroniu.

Odzywamy się, do kogo to należy<sup>12</sup>, radzi przypisać winę raczej zapomnieniu, niż obojętności, raczej niedbalstwu i ospałości, niż lekceważeniu rzeczy estetycznych i pamiątkowych<sup>13</sup> ziem...

<sup>1</sup> Dopisek redakcji „Echa”.

<sup>2</sup> Jan Klemens Branicki herbu Gryf (1689–1771) – miecznik wielki koronny, hetman polny koronny (1735–1752), hetman wielki koronny (1752), chorąży wielki koronny w latach 1724–1746, starosta brański, jeden z największych polskich magnatów XVIII w. W latach 1762–1771 Branicki był kasztelanem krakowskim, czyli pełnił najwyższy świecki urząd senatorski w I Rzeczypospolitej – stąd tytuł „Pan Krakowski”, jakim go określano.

<sup>3</sup> Stefan Czarniecki (1599–1665) – hetman polny koronny wojska polskiego wojewoda ruski od 1657 roku, starosta tykociński od 1659, od roku 1665 hetman polny koronny. Właściciel Tykocina, nadanego Czarnieckiemu za zasługi na rzecz ojczyzny, do których w szczególności należały sukcesy w wojnie ze Szwedami w latach (1655–1660); Czarniecki prowadził z oddziałami Karola X Gustawa tzw. wojnę szarpaną (partyzancką).

<sup>4</sup> Izabella Elżbieta Poniatowska (1730–1808) – siostra króla Stanisława Augusta Poniatowskiego. Żona Jana Klemensa Branickiego. Odegrała ogromną rolę w rozwoju Białegostoku. To jej zawdzięcza miasto powstanie pierwszych szkół. Otaczała opieką finansową pensję dla córek urzędników dworskich, szkołę parafialną, szkołę paziów, Szkołę Podwydziałową Zgromadzenia Akademickiego założoną w 1777 roku przez Komisję Edukacji Narodowej. Zob. M. Jurkowska, *Biblioteka Izabeli z Poniatowskich*

*Branickiej (1772–1808) w Białymstoku*, „Bibliotekarz Podlaski” 2014, nr 1 (XXVIII); *Mecenat artystyczny Branickich*, red. M. Olesiewicz, B. M. Puchalska-Dąbrowska, Białystok 2004; A. Oleńska, *Jan Klemens Branicki: Sarmata nowoczesny. Kreowanie wizerunku poprzez sztukę*, Warszawa 2011.

<sup>5</sup> Jaksowie Branicy albo Gryfici Branicy – Branicy herbu Gryf, rodzina polskich magnatów, wywodząca się z Branic pod Krakowem, której protoplastą był między innymi Jaksa Gryfita (1120 – ok. 1176).

<sup>6</sup> W oryginale: „restanracyi”.

<sup>7</sup> Kalikst Kruszewski (1821–1890) – ksiądz katolicki, proboszcz parafii Tykocin.

<sup>8</sup> Bonifacy i Czesława Czarnieccy – nie udało się zidentyfikować tych osób.

<sup>9</sup> *Alfresco* (z wł. *al fresco* – „na świeżym”) – technika stosowana w malarstwie ściennym, polegająca na malowaniu na świeżym, wilgotnym jeszcze tynku.

<sup>10</sup> Warka – miasto na Mazowszu, pod którym 7 kwietnia 1656 roku rozegrała się pierwsza w czasie potopu szwedzkiego walna bitwa wygrana przez wojska Polskie – armią polską dowodzili Stefan Czarniecki oraz Jerzy Sebastian Lubomirski (1616–1667), hetman polny koronny od 1657 roku. Po Kongresie Wiedeńskim (1814–1815) Warka znalazła się na terenie Królestwa Polskiego.

<sup>11</sup> Koldynga (duń. *Kolding*) – miasto w dzisiejszej Danii, zdobyte w czasie II wojny północnej 25 grudnia 1658 przez siły polsko-duńskie pod wodzą Stefana Czarnieckiego.

<sup>12</sup> „Odzywamy się, do kogo to należy...” – pytamy, czyj to jest obowiązek.

<sup>13</sup> W oryginale: „pamiętkonych”.

## 10

LISTY Z PODLASIA [VII],  
„Echo” 1879, nr 47, s. 1-2;  
artykuł ukazał się jako VII część cyklu *Listy z Podlasia*  
publikowanego przez Z. Glogera w „Echu”;  
podpis na końcu tekstu: „Hreczkosiej”.

Wiadomość, którą w „Echu” przed kilkoma tygodniami wyczytałem o sprzedaży dóbr Chełmice Wielkie<sup>1</sup> spekulantowi niemieckiemu, przypomniła mi, że już dawniej w tej sprawie gdzieś pisałem<sup>2</sup>. Uważając jednak za święty obowiązek każdego uczciwego obywatela kraju podnoszenie głosu zgrozy na wieść o każdym postępie germanizacji krajów słowiańskich, nie mogłem powstrzymać się od ponownego poruszenia tego przedmiotu i zrobienia sercu memu ulgi przez wyrzucenie na papier kilku słów może trochę gorzkich, ale z poczucia obywatelskiego płynących.

Interesowanie się tą kwestią i przeciwdziałanie wyprzedziły ziemi cudzoziemcom jest obowiązkiem wszystkich mieszkańców kraju, a tym bardziej obowiązkiem prasy periodycznej, której zadaniem jest czuwać nad sprawami społecznymi.

Gdyby sprzedaż każdej piędzi ziemi cudzoziemcom wywoływała rozgłos i odpowiednie uwagi w kraju i dziennikach, niewątpliwie ludzie lekkomyślni, podstaw bytu nierozumiejący, musieliby się ściślej rachować z opinią publiczną i choć w części pojąć całą grozę niebezpieczeństwa, które oni sprowadzają przez usuwanie ziemi rodzinnej spod nóg krajowej społeczności. Gdy przed pięciu laty pisałem do „Gazety Warszawskiej” z oburzeniem o sprzedaniu berlińskim spekulantom leśnym dóbr Mężenin w Łomżyńskim<sup>3</sup>, obejmujących całą „milę kwadratową” mazowieckiej ziemi, do której to sprzedaży właściciel (nieżyjący już dziś) nie był wcale długami zmuszony, to o ile sobie przypominamy, tylko jedno z pism warszawskich podniosło ten fakt. Nie mając dziś na myśli w szczególności ani Chełmic, ani Mężenina, ale tylko sam objaw zgubnego zaprzędawania ziemi cudzoziemcom, chętnie powracam tu do kilku uwag ogólnych w tej sprawie arcyważnej i arcyżywotnej, w sprawie bytu i dziedzictwa, które mamy tak święty obowiązek, choćby pracą krwawego potu, po szczypcie, po piędzi, po skibie odkupować i przysparzać.

Człowiek jest stworzeniem dziwnie zawiłym i niełatwym do poznania dla fizjologa i psychologa. Człowiek zbiorowy, jako naród, jako społeczeństwo, przedstawia niewyczerpane pola dla badań historio-  
grafa i ekonomisty, który z faktów ujętych w ramy statystyki, uważanych jako „skutki”, dochodzić musi „przyczyn”, na wyświeceniu których i wykazaniu związku z dobrymi lub zgubnymi następstwami zależy głębszy, praktyczny pożytek z nauki dziejów. Statystyka na przykład wykazuje zmniejszanie się ciągle po-  
głównia plemion dziko żyjących nawet tam, gdzie niczym nie są wytępiane, ale w zetknięciu z cywilizacją  
zostają. Fakt ten zapisał pierwszy i wyrozumował naukowo przed trzydziestu kilku laty słynny podróżnik  
a ziomek nasz Edmund Strzelecki<sup>4</sup>. Od owego czasu sprawa ta, śledzona na różnych punktach globu,  
sprawdzona przez Anglików, uznana została przez uczonych angielskich za nowe prawo fizjologiczne pod  
nazwą „Strzelecki law”<sup>5</sup>.

Rzecz dziwna i godna uwagi, iż podobny objaw w dziedzinie innych stosunków i warstw społecznych  
napotykamy nawet u ludów cywilizowanych. Oto na przykład statystycznie wykazać można wśród właścicieli  
ziemskich w Królestwie zmniejszającą się ciągle liczby nazwisk szlacheckich. Przyczyny tego nie należy  
upatrywać wyłącznie w niezależnych od nas ciężkich dla rolnictwa okolicznościach, bo i one dotyczą  
w Królestwie zarówno o wszystkich większych posiadaczów, bez różnicy wyznań i pochodzenia.

Ziemia umiejętnie zużyta przynosi równe dla wszystkich korzyści, a przynosić musi, bo inaczej nie  
miałaby rosnącej wartości pieniężnej, a tym bardziej nabywców niemieckich, cisnących się tam tylko, gdzie  
jest niezawodny kawałek chleba. Owo zatem prawo Strzeleckiego, które oczywiście nie może być i nie jest  
żadnym fatalizmem, ale tylko objawem skutków wypływających z pewnych przyczyn, zaiste powinno  
zwrócić na siebie najbaczniejszą uwagę ziemian społeczeństwo swoje miłujących. W Anglii na przykład,  
gdyby nastąpił objaw wyprzedaży ziemi rodzinnej przez starych jej posiadaczów obcym spekulantom lub  
handlującym ziemią krajowcom, zatrwożyłyby wszystkie warstwy społeczne, wywołałyby tysiące artykułów,  
rozpraw, polemik, dzieł, narad i pobudziłyby do solidarnego przeciwdziałania wszystkie czynniki moralne.

U nas przeciwnie, nikt nie zagląda głębiej w przyszłość i solidarnej odpowiedzialności przed nią nie  
czuje. Wzięto się wprawdzie do pióra w sprawie upadku większych posiadłości i zaczęto rzecz traktować  
poważnie, bądź w postaci artykułów i rozpraw ekonomicznych w „Niwie”<sup>6</sup>, bądź pod osłoną powieści  
osnutych na upadku rodzin szlacheckich. Czytaliśmy rzeczy rozumne i pięknie napisane w tym kierunku,  
ale wyznać trzeba, że nie wszyscy literaci mogą się poszczycić znajomością położenia rzeczy. Niektórzy na  
przykład dobro kraju upatrują w rozprzedaży folwarków na morgi i zagony wtedy, gdy tylko rozprzedawa-  
nie wielkich dóbr na folwarki lub dzielenie na niniejsze długotrwałe dzierżawy przynosi korzyść ekono-  
miczną dla kraju, a dzielenie folwarków na zagony wyrządza krzywdę postępowi ekonomicznemu, uwiecz-  
nia zacofanie i wpływa szkodliwie na ruch umysłowy. Są wreszcie pisma i piszący, tak dalece nieznający  
i niepojmujący naszych stosunków społecznych, że radzi są w duszy z upadku większych posiadłości i, choć  
się do tego jawnie nie przyznają, ale poznać to łatwo z zawistnej i chęci do organów, artykułów i lu-  
dzi, którym na sercu leży zachwiana pomyślność ekonomiczna większej własności i którzy w jej sprawie  
głos podnoszą, jej rany leczyć pragną.

Z drugiej strony, z przykrością to notujemy, że i wielu naszych ziemian nie odczuwa całego niebezpie-  
czeństwa, jakie krajowi grozi z powodu wyprzedaży rodzinnej skiby cudzoziemcom, a nawet rozdrobnienia  
folwarków na cząsteczki. Brak odwagi cywilnej w stosunkach sąsiedzkich, cechujący zwykle ludzi dalekich  
od życia publicznego, ludzi zresztą nieumiejących ocenić groźnej przyszłości lub, co gorsza, dość  
obojętnych dla tego, co tam będzie kiedyś, zasłania tych, co się wyzuli z mienia na korzyść cudzoziemców,  
przed wymówkami i niepodaniem ręki przez obywateli skądinąd zacnych, ale niemających tej odwagi ani  
instynktu zachowawczego, którego w naszej rasie brak wielki, równy prawie, jak u wielu dzikich plemion.

Z kwestią powyższą łączy się „absenteizm”<sup>7</sup> dobrowolny, czyli podnoszona już przez nas chorobliwa  
wada zamożniejszych warstw u niektórych społeczeństwach, polegająca na niemieszkanii obywateli w swych  
majątkach i przeżywaniu całego dochodu w miastach lub za granicą. Absenteizm – mówi Fryderyk Passy<sup>8</sup> –  
jest potępiany przez wszystkich ekonomistów, bo jest oddzielaniem się człowieka od jego ziemi,  
marnowaniem źródeł głównych bogactw narodowych. Gospodarz to, co wziął z ziemi, oddać jej winien nie

tylko w formie mierzwy<sup>9</sup>, ale i wszystkiego, co jej potrzeba, więc ciągłej poprawy, pieczy i obrony przeciw temu, co ją kazi i wyjaławia. Dobry rolnik i obywatel poprawia i obsadza drogi, nawadnia lub osusza pola i łąki, zasiewa i pielęgnuje lasy i sady, usuwa nieużytki, cywilizuje swój zakątek. Posiadacz przeżywający cały przychód ziemi za jej obrębem, za granicą kraju, wycieńcza, uboży, zaniedbuje ziemię i obowiązki obywatelskie. Nieobecny bowiem traci zamiłowanie do drobnych zatrudnień i obowiązków, do obowiązków w swojej wsi, parafii, gminie i powiecie, na których, jak powiada pan Passy, polega właśnie służba społeczna, czyli tak zwany patriotyzm, to jest służenie społeczeństwu, którego się jest członkiem. Dzieckiem absenteizmu jest naganna skłonność do pozbycia się roli i frymarczenie nią, do uważania jej nie za węzeł łączący obywatela z krajem i społeczeństwem, ale za kapitał bezduszny.

Właściciel ma powinność nie tylko względem ziemi, ale i względem tych, którzy na niej zamieszkują, ją uprawiają. Absenteizm, oddalając dziedzica od warstw roboczych, bywa zwykle źródłem nieporozumień i niezgody między panem i ludem, który zamiast widzieć w tym panu opiekuna, przewodnika i wzór pracy, odczuwa rabunek przychodów przeżywanych na korzyść obcych ludzi i obojętność dla spraw miejscowych. Absenteizm sprowadza stąd wzgardę dla panów, którzy często nie znają swoich pól i ustroni i obojętnie na nie patrzą, rodzi przekonanie o niesprawiedliwej eksploatacji człowieka i wpływa na rozwój podkopujących prawo własności i podwaliny społeczne, szalonych, niedorzecznych i nieuczciwych utopii socjalnych<sup>10</sup>. Pod względem materialnym absenteizm sprowadza bogactwo nadmierne do miast, a ubóstwo i zacofanie do wiosek. U nas absenteizm w postaci zbytkownej podróźomanii<sup>11</sup> zrzucił społeczeństwu naszemu ogromne szkody materialne i moralne. Ale gdy nastąpiła „przy pniu pokuta”<sup>12</sup>, tuszymy sobie, że to już przeszło do wspomnień.

<sup>1</sup> Chełmice Wielkie – chodzi zapewne o majątek w ówczesnym Wielkim Księstwie Poznańskim, powiecie lipnowskim – zob. *Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich*, red. F. Sulimierski, B. Chlebowski, W. Walewski, tom III, Warszawa 1882, s. 607.

<sup>2</sup> Z. Gloger, *Słowo o wyprzedziłości ziemi*, „Gazeta Rolnicza” 1877, nr 33, s. 900-902 w niniejszym tomie.

<sup>3</sup> Z. Gloger, *Z okolic Łomży*, „Gazeta Warszawska” 1874, nr 105, s. 2 [I tom *Pism rozproszonych*, IX, 11].

<sup>4</sup> Paweł Edmund Strzelecki (1797–1873) – polski i angielski podróżnik, geolog, geograf, badacz i odkrywca. Wydał między innymi dzieło *Fizyczny opis Nowej Południowej Walii i Ziemi van Diemena* (Londyn 1845). Strzeleckiemu poświęcił Gloger artykuł – wspomnienie pośmiertne opublikowane w „Tygodniku Ilustrowanym” – zob. Z. Gloger, *Edmund Strzelecki* (wspomnienie pośmiertne), „Tygodnik Ilustrowany” 1874, nr 315–316 [I tom *Pism rozproszonych*, I, 6].

<sup>5</sup> „Strzelecki law” – prawo Strzeleckiego; uznane za prawo naukowe przez współczesnych Strzeleckiemu antropologów; zostało sformułowane w odniesieniu do tubylczych ludów Australii, skazanych – zdaniem Strzeleckiego – na przyjęcie europejskiej cywilizacji i asymilację.

<sup>6</sup> „Niwa” – zob. *Słownik czasopism*.

<sup>7</sup> Absenteizm – przebywanie poza swoimi majątkami, np. za granicą. O absenteizmie pisał Gloger do różnych czasopism: zob. jego artykuł *Absenteizm*, „Gazeta Warszawska” 1875, nr 34 [I tom *Pism rozproszonych*, IX, 36].

<sup>8</sup> Frédéric Passy (1822–1912) – francuski ekonomista i polityk, laureat Pokojowej Nagrody Nobla za rok 1901, autor dzieła *Historique du mouvement de la paix* (1905).

<sup>9</sup> Mierzwa – stargana, zgnieciona słoma, używana między innymi jako ściółka dla bydła domowego.

<sup>10</sup> Utopie socjalne – Gloger ma na myśli głoszone przez socjalistów idee zniesienia własności prywatnej środków produkcji oraz wszelkich podziałów i różnic klasowych.

<sup>11</sup> Podróżomania – moda na dalekie, kosztowne podróże, panująca wśród wyższych warstw społecznych, ostro krytykowana przez Glogera w różnych artykułach – zob. np. tegoż, *Słowo o wycieczkach za granicę*, „Kłosy” 1876, tom XXII, nr 566, s. 279-281 [I tom *Pism rozproszonych*, XII, 11].

<sup>12</sup> „Przy pniu pokuta” – powiedzenie oznaczające karę, poniesienie konsekwencji swoich działań; wyraża ono także myśl, że prawdziwa skrucha przychodzi jedynie w obliczu kary.

LISTY Z PODLASIA [VIII],  
 „Echo” 1879, nr 86, s. 2-3;  
 artykuł ukazał się jako VIII część cyklu *Listy z Podlasia*,  
 publikowanego przez Z. Glogera w „Echu”;  
 podpis na końcu tekstu: „Hreczkosiej”.

Są okolice, mianowicie w pobliżu granicy pruskiej, gdzie Niemcy wykupili już wielką część posiadłości ziemskich i postępują ciągle w tym ekonomicznym najniebezpieczniejszym podboju ziemi słowiańskiej. Nie przeczymy, że niektóre materialne warunki gospodarstw folwarcznych są u nas ciężkie, ale warunki te istnieją w Królestwie zarówno dla wszystkich posiadaczy bez różnicy ich narodowości i wyznania. Właściciele dawni, którzy pozbywają się ziemi rodzinnej, są częstokroć ludźmi wykształconymi, szlachetnymi i pod względem towarzyskim w ogóle wyżej stoją od przybyszów i nowonabywców, a jednak szpetnie ustępują ze swego stanowiska i giną dla swego społeczeństwa. Czymże się to dzieje?<sup>1</sup>

Oto wychowanie tych ludzi było widać niepraktyczne, nieodpowiednie do ich zawodu rolniczego, który, cokolwiek bądź, jest tak dobrym rzemiosłem jak każde inne i tak wymaga umiejętnej pracy, jak każde inne rzemiosło. Wychowanie dają rodzice, ale rodzice ci żyli w innych zupełnie czasach, kiedy rolnictwo nasze znajdowało się w zupełnie innych, bez porównania łatwiejszych, warunkach, młodzieniec umięjący trochę po francusku i trochę zagrać na fortepianie, byle nie zgrywał się w karty, mógł być na jednej wiosce porządnym i dostatnym obywatelem. Dziś zmieniło się wszystko. Rolnictwo wymaga umiejętnej i wytrwałej pracy, oszczędności i ścisłego rachunku w każdej rzeczy, na każdym kroku. Weźmy na przykład jeden tyłko z wielu szczegółów – oto stajnię cugową<sup>2</sup>. Przed laty 20 utrzymanie pięknej czwórki<sup>3</sup> nie rujnowało nawet dzierżawcy małej wioski, a dziś zbytkiem się stało u dziedzica średniego folwarku. W Niemczech właściciele jednofolwarczni<sup>4</sup> prawie zupełnie nie chowają koni *cugowych*<sup>5</sup>, to jest przeznaczonych wyłącznie dla państwa. Starają się oni mieć dobre fornalki<sup>6</sup> i nimi jeżdżą w potrzebie. O szyk, czyli blichtr powierchowny, im nie chodzi.

Jak w przemyśle fabrycznym trzymają nas cudzoziemcy w monopolu, dlatego też są od nas wyżsi praktycznym wyrobieniem, wytrwali w mrówczej pracy, bieglejsi w administracji i zarządzie, tak samo i w zawodzie rolniczym, posiadając odpowiednią wyższość, nie lękają się jak my o swoją przyszłość materialną, są pewni siebie i krok za krokiem wypierając nas ze starych siedzib naszych, dążą do równego monopolu w roli, jaki już mają w przemyśle fabrycznym. A my jakże oddziaływamy przeciw temu? Niestety oddziaływamy bardzo słabo. Gdzie chodzi o jednorazową ofiarność, o chwilowy zapal, o poświęcenie się indywidualuów, mamy szlachetny ten pierwiastek w charakterze naszym, ale zbywa nam srodze na mrówczej pracy pokoleń i nieodzownej solidarności mas, którą daje instynkt zachowawczy i żywotność charakteru narodowego.

Pierwszym środkiem do zapobieżenia złemu jest umiejętne wychowanie młodych pokoleń i trafne obieranie kierunku ich pracy zgodne z istotnymi potrzebami kraju. Już to na dobrych chęciach rodziców i ich poświęceniu u nas nie zbywa, łożą oni ostatni grosz na wykształcenie swych dzieci – ale to jeszcze nie dosyć. Jeden z ziemian opowiadał mi, że rodzice jego, średniej zamożności ludzie, wyłożyli *sto tysięcy* złp. na jego naukę. Nauczono go pięknym akcentem mówić po francusku, dobrze grać na fortepianie, każdej nauce dano niezłe początki; historię i literaturę powszechną, a zwłaszcza francuską znał wcale dobrze, dzieje krajowe trochę mniej, lecz gdy smutne okoliczności pozbawiły go majątku i trzeba było zarobić na życie,

przekonał się, że gruntownie nic nie umie! Prosty Niemiec był lepszym od niego ogrodnikiem, sołtys był bieglejszym cieślą, czwartoklasista jakiś był lepszym korepetytorem z matematyki, chemii i gramatyki.

Ale pojęcia nasze zmieniły się dziś o wiele na lepsze. Gdy przed laty trzydziestu młodzian umiejący gładko paplać, płaść i brzdąkać w oczach wielu ciotek, matek, a nawet ojców, uważany był za *człowieka skończonego*, zwłaszcza po odbyciu wojażu<sup>7</sup>, to dziś, jeżeli nic więcej nie umie, może być poczytanym za indywiduum, które nie *zaczęło* jeszcze być *człowiekiem*. Dziś, gdy obywatel ma kilku synów, niezawodnie jednego kieruje na inżyniera, politechnika lub lekarza, co wszyscy widzą dobrze – gdy przed 40 laty w „dobrym” towarzystwie połowa patrzyłaby na to z przekąsem. Postęp więc jest znaczny.

Ale za to inżynierów mamy już dziś więcej niż jest dla nich zajęcia i chleba, obok niedostatecznej liczby dobrych rolników, których mamy dużo mniej niż tego wymagają obszary naszej roli. Zwłaszcza brak nam wielki uzdolnionych urzędników gospodarczych, rządców, administratorów i dzierżawców, a cierpią na tym najpierw większe posiadłości, które dopóki nie znajdzie się dostateczna liczba ludzi uzdolnionych w tym kierunku, dopóty zawsze będą kulały na drodze dobrobytu. A brak ten ludzi stąd pochodzi, że dla młodzieży ubogiej kończenie wyższych zakładów i odbywanie praktyk we wzorowych gospodarstwach, gdzie się zwykle za utrzymanie i naukę dopłaca, jest prawie niemożliwe. Zamożniejsi zaś na rządców, administratorów i mniejszych dzierżawców iść nie chcą. Jeżeli oficjaliści są w ogólności niewysoko płatni, pochodzi to stąd zwykle, że majątki, którymi rządzą, dają małe intraty<sup>8</sup>. Wedle stawu grobla<sup>9</sup>. Jeżeli pan X., mając z wioski 3000 rs. rocznie dochodu, wydaje na rządcę 500 (płacąc mu 200 rs. gotówką a 300 ordynarią<sup>10</sup> i rozmaitymi wygodami), to wydaje dość. Ale gdyby się znalazł umiętny agronom i podniósł dochód z trzech na sześć tysięcy rubli pod warunkiem, że będzie pobierał dwa razy tyle, co ów rządca, to jest rs. 1000, to pan X. chętnie by się na to zgodził, czysty zysk mając na widoku. Nie przeczymy, że w gospodarstwie krytycznie położonym najlepszy administrator i rolnik niewiele bez kapitału poradzi. Jednakże mamy daleko więcej majątków takich, w których przy *małych* środkach można *wiele* dokazać. Jest też nadzieja w dojrzewaniu naszych pojęć społecznych, że synowie obywatelscy pogonią za zawodem, tak wiele przedstawiającym pole zasługi dla kraju. Bo czyż to nie świetna zasługa stworzyć stan kwitnący na zakątku swej ziemi, przyczynić się do jego kultury i ekonomicznego rozwoju, rozsiewać promienie oświaty, być przykładem moralności i pracy dla wielkich pryncypałów i maluczkich podwładnych.

Co do kwestii protekcyjnego obchodzenia się towarzyskiego niektórych pryncypałów z oficjalistami<sup>11</sup>, co było zwłaszcza dawniej, a dziś już tylko w rzadkich przypadkach odstręczać może porządnym ludzi, to powiedzieć musimy, iż sposób obejścia zależnym jest całkowicie od nich samych. Człowiek przyzwoity, czujący swoją godność i zasługujący na szacunek, może łatwo swemu pryncypałowi nakazać się poważać i szanować i zawsze natychmiast to uzyska. Zналиśmy milionera traktującego protekcyjnie swoich rządców, którzy przy nim zwykle usiąść nie śmieli, a jednak ten sam pan pierwszy najuprzejmiej podawał krzesło człowiekowi, który był także niczym więcej tylko rządcą u niego.

Rolnictwo, jak każde inne rzemiosło, jest przemysłem. I stąd przemysł fabryczny w naszym kraju pod niektórymi względami zajmuje stanowisko równoległe z rolnictwem. Ziemia przechodzi do rąk Niemców, a większa znów część fabryk jest już w ich rękę. Pisaliśmy już gdzieś indziej, że na kilkaset fabryk sukna i kortów<sup>12</sup> istniejących w Królestwie i guberni grodzieńskiej zaledwie kilka należy do Polaków, reszta do Niemców.

W jednym powiecie białoostockim jest przeszło trzydzieści fabryk niemieckich i jedna panów Łyszczyńskich<sup>13</sup>, obywateli miejscowych, tudzież barona Zacherta<sup>14</sup>, krajowca. Fabrykanci nie przybyli do nas z kapitałami, ale z bogacili się na miejscu. Znalazłem gdzieś trafną uwagę w tej kwestii, że myślą się ci, którzy sądzą, jakoby cudzoziemcy bogacili się u nas nadmiernym wyzyskiwaniem lub chytrą przebiegłością. Dobiągają się oni fortuny pracą, zabiegłością, rachunkiem i dobrym zarządem. Dopomaga im tylko brak konkurencji z naszej strony. Przewaga wrodzonych zdolności, a często i nauki, jest przy nas. Ale brak nam wyrobienia praktycznego, brak ducha karność, wytrwałości i rządu. Każdy z nas chce być przewodniczącym, a nikt nie ma ochoty słuchać. Każdy marzy o natychmiastowej karierze. Stąd bierze zwykle górę cudzoziemiec zdeterminowany na mozolne dorabianie się stanowiska. Stąd, choć posiadamy wielu zdolnych i gruntownie wykształconych techników, przecież mało mamy ludzi, którzy zajęli wyższe stanowisko w krajowym

przemysłu. Prawie wszędzie przodują cudzoziemcy niżsi nauką, ale wytrwalsi, praktyczniejsi i stateczniejsi. Zużyte są już dziś i bezzasadne owe komunały i narzekania na cudzoziemców, że przybyli z taczkami i napychają naszym złotem swoje kieszenie. Wszak nam łatwiej było zbierać to złoto, mając w rękę i ziemię, i lasy, i wody, i zdolności umysłu.

Dzisiejsi właściciele licznych fabryk przybyli do nas po większej części jako ubodzy, ale biegli i pracowici majstrowie. Zaczynali od obowiązków mało płatnych w większych fabrykach, awansowali z wolna i oszczędnością dorabiali się małych kapitalików. Fabrykacja kortu i sukna oraz tkanin bawełnianych ma to do siebie, że fabrykę można zakładać na małą skalę i powiększać w miarę dorobku i kredytu. Można widzieć w fabrycznych miasteczkach zakłady małe i poruszane siłą koni, bo nie stać ich jeszcze na siłę pary. Cała rodzina właściciela tam pracuje, żona, dzieci i krewni, rozdzielwszy różne prace między siebie. W miarę rosnących zasobów, powiększa się liczba warsztatów, przybywają nowe budynki i maszyny, a wyrób produkuje się coraz lepszy i rozmaitszy. Majstrowie, od kilku warsztatów zaczawszy, wychodzą często na większych fabrykantów i milionerów. Tym sposobem w ostatnich 30 latach ilość fabryk sukienicznych powiększyła się u nas o 10 razy, ale młodzież krajowa (z małymi wyjątkami) nie garnęła się do warsztatów, przekładając lżejsze zajęcia w biurach lub idąc bez powołania do stanu wojskowego, a zawsze narzekając na brak pola do pracy. Tymczasem niemieccy właściciele fabryk są w ogóle z krajowych robotników zadowoleni, przyznają im większe zdolności – i większa ich połowa przyjmowałaby chętnie młodzież polską, ma się rozumieć pracowitą, stateczną, wytrwałą i posłuszną, gdyby się do nich zgłaszała. W fabrykach kortu i sukna pracują majstrowie: foluśnicy<sup>15</sup>, postrzygacze, tkacze, manipulanci<sup>16</sup>, farbiarze, majstrowie apretury<sup>17</sup> i gatunkowania wełny<sup>18</sup>, którzy oprócz *mieszkania, opatu i światła*, otrzymują odpowiednio do uzdolnienia swego i wielkości fabryk od 500 do 1500 rs. rocznej płacy, a dawszy się poznać z konduity<sup>19</sup> i biegłości są poszukiwani, awansują nieraz na dyrektorów fabryk lub zakładają własne warsztaty.

Gdyby przed trzydziestu laty młodzież nasza zaczęła garnąć się do fabryk, mielibyśmy już zamiast przemysłu niemieckiego przemysł polski, w którym żywioł germański łatwo by utonął. Ale poprawić się nigdy nie jest za późno. Ileż to młodzieży wstępuje do wojska dla chleba, bez najmniejszego, jak wzmiankowaliśmy, usposobienia do tego stanu? Żeby jednak wyjść na dobrego majstra-sukiennika, a w przyszłości na coś więcej może, trzeba ukończyć około czterech klas gimnazjalnych i mieć początki języka niemieckiego. Przy pilnej pracy łatwo można wtedy dorównać i przewyższyć kolegów znad Elby<sup>20</sup> i Sprei<sup>21</sup>, przysłużyć się sobie i krajowi. Młodzian 14–18-letni zarabia w pierwszych latach swej nauki około 10 rs. miesięcznie, a że utrzymanie jego kosztuje około 15, rodzice więc dokładać muszą rs. 5 i odzież; nadto podarkiem jakim zachęcić [muszą] majstra, pod którego okiem pracuje.

Ważną tę sprawę dla przyszłości naszego przemysłu polecaliśmy już nieraz rodzicom, opiekunom i czasopismom naszym.

<sup>1</sup> W oryginale: „Czem że się to dzieje?”.

<sup>2</sup> Stajnia cugowa – stajnia z końmi zaprzęgowymi.

<sup>3</sup> Czwórka – w tym kontekście chodzi o zaprzęg złożony z czterech koni.

<sup>4</sup> Właściciele jednofolwarczni – posiadający jeden folwark, pomniejsi właściciele ziemscy.

<sup>5</sup> Konie cugowe – koni zaprzęgowe.

<sup>6</sup> Fornalka – mały zaprzęg złożony z koni roboczych (także wóz, furmanka) lub klacz wchodząca w skład tego zaprzęgu.

<sup>7</sup> Wojaż – chodzi o tradycję odbywania przez szlacheckich młodzieńców podróży zagranicznych (tzw. *grand tour*) wieńczących proces ich edukacji, mających zapewnić odpowiednie obycie, światowość.

<sup>8</sup> Intrata – dawniej: dochód, zysk.

<sup>9</sup> Wedle stawu grobla – przysłowie, oznaczające, że wymagania, zamiary muszą być dostosowane do możliwości.

<sup>10</sup> Ordynaria – część płacy służby i oficjalistów dworskich oraz stałych robotników rolnych w folwarku otrzymywana w naturze, np. w drewnie, zbożu.

<sup>11</sup> Oficjalista – osoba zatrudniona przy zarządzaniu prywatnym majątkiem ziemskim; urzędnik.

<sup>12</sup> Kort – tkanina wełniana o skośnym splocie; wykorzystywana przede wszystkim przy wyrobie męskich ubrań.

<sup>13</sup> Łyszczyńscy – chodzi o rodzinę właścicieli majątku Markowszczyzna w powiecie białostockim guberni grodzieńskiej Imperium Rosyjskiego. W 1824 roku syn Ambrożego Łyszczyńskiego (1805–1879), emigranta i działacza „Hotelu Lambert”. Witold Łyszczyński zbudował w Markowszczyźnie fabrykę sukna, w 1856 przeniesioną do osady Topole (część Markowszczyzny) przez jego brata, Michała.



<sup>14</sup> Wilhelm Fryderyk Baron Zachert (1799–1885) właściciel dóbr i zakładów fabrycznych w Supraślu (w II poł. XIX wieku w granicach Cesarstwa Rosyjskiego), syn Chrystiana Henryka Zacharta (ur. 1752).

<sup>15</sup> Foluśnik, folusznik, folarz – pracownik zajmujący się zagęszczaniem, zbijaniem, wałkowaniem tkanin w fabryce.

<sup>16</sup> Manipulant – w tym kontekście: człowiek wykonujący prace ręczne.

<sup>17</sup> Apretura – wykańczanie tkanin, skór i papierów poprzez nadawanie im walorów estetycznych: gładkości, połysku, elastyczności; także substancja służąca do tych celów: krochmal, mydło, wosk etc.

<sup>18</sup> Gatunkowanie wełny – segregowanie wełny według kryterium jakości (na którą składa się między innymi grubość i przedność wełny).

<sup>19</sup> Konduita – sposób prowadzenia się, zachowania.

<sup>20</sup> Elba (niem. *Elbe*) – chodzi o Łabę, rzekę płynącą przez Niemcy i Czechy (dł. 1165 km).

<sup>21</sup> „Sprei” – chodzi o Sprewę (niem. *Spre*), rzekę we wschodnich Niemczech, przepływającą między innymi przez Berlin (dł. 403 km).

## 12

LISTY Z PODLASIA [IX],  
„Echo” 1879, nr 111, s. 2-3;  
artykuł ukazał się jako IX część cyklu *Listy z Podlasia*,  
publikowanego przez Z. Glogera w „Echu”;  
podpis na końcu tekstu: „Hreczkosiej”.

Są nawet komunały, których powtarzanie nigdy nie może być za częste i zbyteczne. Hreczkosiej wasz od lat dziesięciu pisując z wiejskiego ustronia drobne uwagi i spostrzeżenia w kwestiach społecznych do pism warszawskich, powtórzył już się wiele razy i zapewne powtórzy jeszcze nieraz<sup>1</sup>, bo choć różnolite, ale zawsze jedne i te same kwestie ciążyą na sercu jego, a obowiązek obywatelski każe wiecznie do ogółu kołatać i prosić, napominać i przypominać, zaklinać i ostrzegać, a zawsze w nadziei, że choć setne słowo wysłuchane, pożytek przyniesie, a zawsze z ulgą sumienia, że choćby nikt nie wysłuchał, to się spełniło obowiązek własny.

Człowiek jako jednostka w znaczeniu społecznym staje się dopiero człowiekiem, gdy zostaje organiczną częścią nrodu, przez rzetelny udział w pracy i obowiązkach publicznych, krajowych, towarzyskich lub rodzinnych – w miarę sił swoich, środków, stanowiska i zdolności. Człowiek bez miłości dla swego społeczeństwa, niezdolny do szlachetnych poświęceń, obywatelskich usług, niepracujący pożytecznie dla rodziny lub ogółu, jest ciężarem społecznym.

O ile majątek każdej jednostki jest częścią zasobu narodowego, o tyle wartość tej jednostki moralna, duchowa, jej sumienie jest częścią ogólnego kapitału ducha, moralności sumienia i cnoty narodu tego kapitału, od którego zależy rozumny postęp, przyszłość, pomyślność i dola społeczeństwa. I stąd najważniejszym, najświętszym obowiązkiem każdego społeczeństwa i każdego obywatela z osobna jest praca nad podniesieniem moralnej wartości jednostek, tudzież zaoszczędzeniem materialnego zasobu powszechnego, z czego wypływa moralne prawo ogółu do pewnej solidarnej, towarzyskiej<sup>2</sup> kontroli działalności społecznej jednostek.

Jednym z zasadniczych warunków życia społecznego jest owa wszechstronna wymiana myśli, która skutecznie się za pomocą bądź słowa drukowanego, bądź żywego, bądź czynów, bądź nawet za pomocą pędzla i dłuta. I tak: publicysta, mędrzec, dziejopisarz, poeta, mówca, profesor, wreszcie malarz i rzeźbiarz przemawiają na swój sposób do ogółu, który rozumuje, odczuwa, rozprawia i uznaje lub potępia, przyjmu-

je, naśladuje lub odrzuca, odpowiada w formie opinii publicznej, recenzji, polemiki lub milczenia. Działalność podobna dla życia społecznego jest tak konieczna, jak powietrze dla człowieka, a woda dla ryby. Wymiana myśli przyspiesza postęp i posuwanie się nauk. W naszych czasach nawet druk nie wystarcza w tym celu. Dla ułatwienia wymiany myśli ludzi uczonych i specjalistów zjeżdżają się oni na sejmy i sejmiki, czyli kongresy, na przykład przyrodników, lekarzy, ekonomistów, archeologów, lingwistów, agronomów itd., którzy dla wspólnych pogadanek, narad i dyskusji nad sprawami dotyczącymi ich specjalności zjeżdżają się z dalekich miast, krajów, a nawet różnych części ziemi, co ułatwiają im rządy i stowarzyszenia.

O ile jednak takie większe i uroczystsze, a tym samym nieczęste zebrania służą głównie dla wybitniejszych osobistości, o tyle przy codziennej praktyce i drobiazgowym zastosowaniu teorii ważniejszą rolę odgrywa owa niezbędna wymiana myśli w kółkach towarzyskich ludzi wspólnego zawodu i powołania, połączonych ściślejszym węzłem miejscowych stosunków, potrzeb i szlachetnej życzliwości. Owa spójnia ludzi jednego zawodu, nabrała dziś o tyle donioślejszego znaczenia, o ile warunki bytu stały się trudniejsze niż dawniej, a ciężary i obowiązki społeczne jednostek większe.

A żaden podobno zawód nie wymaga tyle, co rolniczy, wzajemnych stosunków między ludźmi jemu poświęconymi. Wypływa to już z samej natury rolnictwa, którego warsztat przedstawia nieskończoną różnorodność warunków przyrody, położenia i potrzeb, a opiera się tylko na umiejętnym połączeniu teorii z praktyką. Wobec tego, gdzie idzie o teorię, czyli tak rozległą dziś wiedzę agronomiczną i o praktykę, to jest o wszechstronne doświadczenie rolnika, jednostka odosobniona i zamknięta nie wystarcza sobie, cofa się, zaniedbuje i upada.

Przy zetknięciu bowiem żywego słowa, wiedza bogatsza najskuteczniej zasila uboższą, a doświadczenie rolnicze, jak każde doświadczenie, ma to do siebie, że wartość swoją mnoży często przez liczbę ludzi, którzy pracują na jednym polu, zgromadzają się okresowo dla wzajemnego udzielenia sobie rzetelnych spostrzeżeń i rad. Doniosłość tego wybornie rozumiano we Francji, która posiada mnóstwo prowincjonalnych, że tak powiemy, powiatowych towarzystw i kółek agronomicznych, wywierających znamienity wpływ na dobrobyt i kulturę rolnictwa francuskiego i solidarnie przychodzących w pomoc usiłowanym jednostek. To bowiem, co często jest za uciążliwe lub wcale niemożliwe dla pojedynczego ziemianina, przychodzi łatwo dla stowarzyszenia powiatowego lub kółka solidarnych rolników w gminie. Mamy tu na myśli laboratorium chemiczne, stacje doświadczalne, biblioteki i czytelnie rolnicze, sklepy do sprzedaży produktów wiejskich, kantory komisowe<sup>3</sup>, tudzież do stręczenia oficjalistów<sup>4</sup> i służ, ułatwienia korespondencji, sprowadzania nasion, maszyn, narzędzi i dobytku, powiatowe wystawy rolnicze itp.

Gdyby większość turystów naszych nie jeździła za granicę dla zbijania bąków po ulicach, zwiedzania teatrów, restauracji, kawiarni, domów gry i rozpusty, ale poczuwszy w sercu uczciwy obywatelski obowiązek, studiowała tam dodatnie strony ustroju i urządzeń społecznych, spożywalibyśmy już słodkie owoce wielu umiejętnych działań i towarzyskich instytucji, o których bodaj nic nie wiemy i od turystów naszych nic nie słyszeliśmy.

Potrzeba licznych stowarzyszeń rolniczych na prowincji jest tak niezbędna w każdym rolniczym kraju, ale zarazem tak daleka od urzeczywistnienia u nas, że nie będziemy tu mówili więcej o stowarzyszeniach, o których użyteczności wie każdy, ale tylko o stosunkach, rolniczo-sąsiedzkich naszych ziemian, które, przy dobrej woli i umiejętnym zrozumieniu rzeczy, dotychczasowy brak stowarzyszeń mogą w znacznej części zastąpić, o czym jednak nasza inteligencja wiejska nie jest dostatecznie przeświadczona.

Nasze życie towarzyskie na wsi przed laty 30 i 40 miało daleko więcej niż dzisiejsze zarówno stron ujemnych, jak dodatnich. Co do stron ujemnych, tych wyliczać nie będziemy, bo w spotęgowaniu zna je nasz ogół z książek. Wszystkie strony ujemne zebrał i odzwierciedlił w postaci ostrej ale szlachetnej satyry autor *Ramot i ramotek*<sup>5</sup>. Co do stron dodatnich, te polegały na większej niż dziś spójni i solidarności obywatelskiej, żywszej chrześcijańskiej miłości, szczerości i uczynności sąsiedzkiej, trwalszym słowie honoru i niesieniu wzajemnej pomocy w razie klęski a bezinteresownej, doświadczonej rady w kłopotach.

Charakter nasz narodowy pod wpływem różnych okoliczności zmienił się do pewnego stopnia i zmienia ciągle. Wprawdzie wiele epidemicznych wad dawniejszych ma już dziś swoich przedstawicieli tylko w wyjątkach, ale czemuż pozbywając się patrona tych chronicznych wad naszych, tej na przykład

nieopisanej, prawie idiotycznej lekkości charakteru, owej skłonności do marnotrawienia czasu na ciągłe rozrywki, nie pracujemy nad rozbudzeniem danych cnót sąsiedzkich w zastosowaniu ich do nowych potrzeb życia i przeciwdziałaniu tak powszechnemu dziś brakowi stosunków rolniczo-sąsiedzkich, z którego rodzi się zastój, nieradność<sup>6</sup>, ociężałość, sobkostwo, ignorancja, pesymizm, upadek ducha i majątku. Umysłem bowiem ludzkim w odosobnieniu owłada zawsze pewna jednostronność, z której on otrząsa się i zbliża do prawdy przez zetknięcie się z ludźmi i starcie zdań.

Ta ogólna psychologiczna prawda ma szczególniejsze znaczenie dla rolników. Rolnictwo bowiem, przedstawiając wielką różnorodność miejscowych warunków przyrodniczych, geograficznych, klimatycznych i socjalno-społecznych, potrzebuje ciągłej wymiany myśli, do której daje szerokie pole każdy zakątek kraju.

A jeżeli z różnorodności położenia wypływają również rozmaite potrzeby ziemi i rolnika, to któż nad miejscowych ziemian powinien lepiej położenie rzeczy odczuć, zbadać, środki zaradcze obmyśleć i zastosować.

Stąd wymiana myśli sąsiadów, starcie zdań i narada jest koniecznym warunkiem rozwoju każdej okolicy, o ile ten rozwój jest w naszym położeniu możliwym.

Z powodu niedostatecznych stosunków rolniczo-sąsiedzkich naszego ziemiaństwa, ileż to myśli obywatelskich, zacnych a żywotnych ginie dziś w ustroniach wiejskich, bez poparcia przez szczerą koła ziemian! Ileż to dobrych zamysłów nie wejdzie nigdy w życie dlatego, że nie zostały przedyskutowane i nie [zostały] sformułowane w kółkach rolniczo-sąsiedzkich. Podano gdzieś na przykład myśl powiatowych stowarzyszeń od ognia, których członkowie, zamiast pieniężnej składki, byłiby obowiązani każdemu ze stowarzyszonych, dotkniętemu pogorzela<sup>7</sup>, zwrócić w naturze postradaną w płomieniach ilość ziarna, słomy, siana, nawozu itp.

Myśl ta, poniesiona w Lipnowskim<sup>8</sup> przed kilku laty, a wzięta z pięknego starego naszego zwyczaju, który był dawniej niejako prawem sąsiedzkim u szlachty, od którego nikt nigdy nie śmiał się wyłamywać, gdyby została opracowana jak należy przez ziemian w naszej okolicy, a przyjęta przez inne miejscowości, mogłaby przyjść w pomoc słabym stronom dzisiejszych towarzystw ogniowych, płacących straty gotówką, za którą rolnik nie zawsze może dostać, a zwykle przepłacać musi potrzebne mu produkty, nie mając zaś czym dobytku podostać ani wyżywić, oddaje go zwykle na czas jakiś do przeżywienia sąsiadom i traci jednoroczne nawozy, co jest przyczyną drugiej, płodnej w złe następstwa klęski.

Zamysł powyższy jest jedną z tysiąca kwestii, które poruszyć można przy każdym, nawet okolicznościowym spotkaniu się kilku lub kilkunastu ziemian, kwestii dotyczących rolnictwa, kredytu, handlu zbożowego, dróg i komunikacji, gospodarstwa leśnego, najemnika i wymiaru pracy i płacy, sądownictwa, sklepów do sprzedaży produktów wiejskich, gospodarstwa mlecznego, drobiowego i w ogóle domowego, służby, administracji prywatnej i gminnej, epidemicznych chorób ludzi i dobytku, szpitali, lekarzy wiejskich i weterynarzów, oświaty i moralności oficjalistów ludu itd.

Z kwestiami powyższymi łączy się wiele innych, acz bezpośrednio niemających związku z agronomią, ale z moralną stroną i stanowiskiem społecznym obywatela i ziemianina. Są to kwestie: szulerstwa, życia nad stan, scudzoziemczenia, złego kierunku wychowania przyszłych obywateli kraju itd.

W ostatnich czasach przybywa kwestia socjalizmu. Jak przeciw każdej chorobie moralnej i społecznej, tak tym bardziej przeciw tej zarazie, która mogłaby zawracać głowę garstce niedojrzałych młodzieniaszków i prowadzi niepełnoletnich reformatorów w imię socjalnej pracy do wierutnego próżniactwa, całe uctliwe społeczeństwo, cała polska prasa – ma obowiązek sumienia, solidarnie, rozumnie i troskliwie oddziaływać.

Rodzicom też i opiekunom dziatwy polskiej polecamy z całego serca, którym chodzi o uczciwy kierunek tej dziatwy polskiej, polecamy z całego serca prace dra Au pod tyt. *Socjalizm jako objaw choroby społecznej*<sup>9</sup>. Że na umysł młodzieńczy dobrze oddziaływają także przeciw wpływowi „kosmopolitycznego” socjalizmu wszelkie rzeczy narodowe, takie na przykład, jak *Pan Tadeusz* Mickiewicza (niedawno popularnie przez Gebethnera wydany)<sup>10</sup>, *Pamiętniki kwestarza*<sup>11</sup> itd. tego nie potrzebujemy dowodzić. Ale do rzeczy.

Gospodarstwo jako warsztat, z którego rolnik żyje i przysposabia chleb dla kraju, musi być oczywiście przedmiotem najczęstszych narad i wymiany myśli, co wtedy nabiera praktycznego znaczenia, gdy grono

rolników robi przegląd szczegółowy danego gospodarstwa, obchodząc pola, łąki, sady, ogrody, lasy, oglądając dobytek żywy i wszelkie narzędzia, badając miejscowe zwyczaje gospodarskie, czyniąc zarzuty, zapytania, uwagi. Przy takich studiach i wycieczkach, będących najmiłą rozrywką każdego zamilowanego rolnika, pokazuje się nieraz, że gdy jeden gospodarz korzysta już od dawna z jakiegoś doświadczenia lub ulepszenia własnego pomysłu, to bliski sąsiad jego dopiero razy tej sposobności dowiaduje się o tym. Cóż dopiero mówić o tych ziemianach, którzy w dalsze okolice nigdy nie robią rolniczych wycieczek i obojętni są na to, co się dzieje o mil kilkanaście.

Zbytecznie byłoby dodawać, że jak nie chodzi tu o czczy popis i przedstawienie danego gospodarstwa w lepszym świetle, ale o obraz rzetelnej prawdy, jeżeli dobro społeczna ma się na celu, tak równie byłby niewłaściwym i szkodliwym źle rozumiany wstyd i ukrywanie niedostatków. Gdy wiadomo, że nie jesteśmy doskonali, pokażmy choć, że na rozumnej drodze dążymy do udoskonalania. Jeżeli zgromadzimy się dla zbadania jakiegoś gospodarstwa, to nie dla grzecznych pochlebstw, cechujących ludzi bez charakteru, ale dla przyjacielskiej narady życzliwych sąsiadów-ziemian. Tego rodzaju zacna, przyjacielska, płynąca z miłości dobra ogólnego kontrola, bywa wyborną pobudką do starannej pracy, lekarstwem na rutyniczne<sup>2</sup> uprzedzenia i przynosi niepospolity pożytek tym, którzy chcą korzystać ze światłych i doświadczonych rad rolniczych. Ponieważ w każdej okolicy znajdują się lepsi i mniej umiejętni gospodarze, dla pierwszych więc nadarza się wyśmienita sposobność zasługi dla kraju przez spożytkowanie wiedzy swej i doświadczenia na korzyść współbraci. Ale zebrania takie nie powinny być tłumne, jeżeli mają być pożyteczne. Znamy okolicę, w której 8–10 obywateli zbiera się co kilka tygodni celem wspólnej, koleżeńskej wycieczki do jednego ze swych gospodarstw, przy czym odbywają się próby narzędzi i machin rolniczych, jeżeli są nowe wprowadzone.

W stosunkach rolniczo sąsiedzkich niemałej wagi są drobne na pozór okoliczności zewnętrzne, towarzyszące wszelkim zebraniom towarzyskim i przyjęciu gości na wsi. Przede wszystkim więc, jeżeli wycieczki rolnicze mają mieć pożytek społeczny na celu, to muszą z nich być wykluczone wszelkie zabawy niepożyteczne a czas zabijające. Musi być wykluczona niedorzeczna ostentacja, etykieta wizytowa, stolik zielony<sup>13</sup> i popis gastronomiczny domowej kuchni. Sparaliżowałyby to bowiem całe zadanie, pociągnęłyby fraki, a dla wielu rolników wystąpienia takie byłyby karygodnym zbytkiem. Ubożsi, oszczędniejsi unikaliby takich wizyt, i bardzo słusznie. Z rzetelną bowiem pracą i miłością dobra ogólnego nie chodzą u nas w parze ani modnie utrefione czupryny, ani śmieszna francuszczyzna w ustach Polaka, ani zbytek, galony<sup>14</sup> i korony. Mamy niemałą otuchę w bystrym poglądzie naszych gospodyń. Czyż bowiem może być większa ironia niż pasztet na stole, gdzie żyto daje cztery ziarna, wino tam, gdzie krowy nie dają mleka, a francuszczyzna a salonowa tam, gdzie nie masz znajomości polskich rzeczy, dziejów ani kraju rodzinnego. Powinna nawet stanąć wzajemną umowa, ograniczająca przyjęcie do formy skromnego powszedniego posiłku, usuwająca ze stołu wino jako produkt zagraniczny, gdy mamy napój z polskiego jęczmienia.

Ponieważ niemożliwym jest, żeby „wszyscy” rolnicy zwiedzali i badali gospodarstwa w obcych krajach i dalekich prowincjach, to łatwiej znaleźć w każdej okolicy jednego ziemianina, który pojedzie, zwiedzi, pozna i sprawozdanie sąsiadom swoim złoży. To samo dotyczy i wystaw rolniczych zagranicznych, a nawet krajowych, na które wszyscy jechać nie mogą. Jak zaś daleko sięga u nas brak stosunków rolniczych, najlepszy dowód mamy na wystawach żmujdzkich w Szawlach, Retowie i Rosieniach<sup>15</sup>, gdzie nadaremno szukaliśmy ziemian znad Wisły. Cóż dopiero mówić o wystawach wrocławskich, także niezmiernie ważnych dla rolnictwa polskiego. Przy tej sposobności przypominamy ziemiaństwu naszemu, że w roku bieżącym w dniach 13, 14 i 15 września podług kalendarza nowego, a 1, 2 i 3 podług starego, odbędzie się wystawa rolnicza w Szawlach, głównym miasteczku żmujdzkim i stacji kolei libawskiej<sup>16</sup>. Z Królestwa Polskiego i Warszawy jedzie się koleją petersburską<sup>17</sup> do Lantwarowa<sup>18</sup>, wierzbołowską<sup>19</sup> do Koszedar<sup>20</sup> i libawską do Szawel. Ale ostrzegamy, że na drodze libawskiej chodzi tylko jeden pociąg dziennie w każdą stronę, żeby więc na niego trafić i całego dnia w Lantwarowie lub Koszedarach nie stracić, trzeba wiedzieć którym pociągiem z Warszawy wyjechać należy.

Wracając do naszego przedmiotu, dodać jeszcze winienem, że jeżeli „każdy” rolnik nie może posiadać i czytać wszystkich dzieł zagranicznych, a nawet krajowych, dotyczących rolnictwa, to obowiązek ten również można łatwo rozdzielić na okolicę, tak, że w każdym kółku sąsiedzkim znajdzie się cała biblioteka

i czytelnia. Tego rodzaju podział pracy rozwiniętej umiętnie przyniesie znaczne korzyści dla rolnictwa i będzie ostatnim wyrazem racjonalnych, rozumnych stosunków rolniczo-sąsiedzkich inteligencji wiejskiej.

<sup>1</sup> „...powtórzył już się wiele razy i zapewne powtórzy jeszcze nieraz” – Gloger autoironicznie zwraca uwagę na fakt, że niełatwo jest publicznie wpłynąć na zmianę stanu rzeczy, który opisuje i na który próbuje on wpłynąć.

<sup>2</sup> Towarzystwiej – tu: sąsiedzkiej.

<sup>3</sup> Kantor komisowy – biuro pośredniczące odpłatnie w handlu towarami.

<sup>4</sup> Stręczyć – dawniej: angażować do pracy. Oficjalista – czyli: urzędnik publiczny, a także ktoś zatrudniony do zarządzania prywatnym majątkiem.

<sup>5</sup> August Wilkoński (1805–1852) – prozaik, satyryk, krytyk literacki, uczestnik powstania listopadowego. Jest zaliczany do najlepszych polskich humorystów głównie dzięki zbiorowi *Ramoty i ramotki literackie* (druk w „Bibliotece Warszawskiej” 1841–1845 i w „Dzwonie Literackim” 1846; wyd. I: t. 1-4, 1845–1846, wyd. II: t. 1-5, 1862; *Ramoty i ramotki*, wybór i wstęp W. L. Brudziński, Warszawa 1950).

<sup>6</sup> Nieradność – dawniej: bezradność, niezaradność.

<sup>7</sup> Pogorzeli – pożar.

<sup>8</sup> W „Lipnowskim” – czyli w powiecie lipnowskim, od nazwy miasta Lipno, położonego niedaleko Torunia; w II poł. XIX w. na terytorium Wielkiego Księstwa Poznańskiego.

<sup>9</sup> Juliusz Au, *Socjalizm jako objaw choroby społecznej. Zarzys ustroju społecznego i krytyczną oprawę socjalizmu skreślił Juliusz Au*, Poznań 1878.

<sup>10</sup> Zob. A. Mickiewicz, *Pan Tadeusz*, Warszawa (nakład Gebethnera i Wolffa) 1878.

<sup>11</sup> I. Chodźko, *Pamiętniki kwatermistrza*, t. 1-3, Wilno 1843–1845 (wyd. drugie poprawne: Wilno 1851).

<sup>12</sup> Rutyniczne – tu: typowe.

<sup>13</sup> Niedorzeczna ostentacja, etykieta wizytowa, stolik zielony – innymi słowy: przesadne wyafinowanie (lub przepych), niedużo naśladownictwo elementów obyczajowości wielkopańskiej (obyczajów dworskich), oddawanie się grom hazardowym.

<sup>14</sup> Galon – posrebrzana lub pozłacana taśmka, służąca do ozdabiania ubiorów, mebli etc.

<sup>15</sup> Szawle – w XIX wieku miasto powiatowe guberni kowieńskiej Imperium Rosyjskiego położone nad rzeką Rudawką, przy trakcie pocztowym między Taurogami a Rygą. Współcześnie miasto na Litwie, stolica okręgu szawelskiego, ośrodek przemysłowy, kulturalny i naukowy. Retów – w XIX wieku miasto w powiecie rosieńskim guberni kowieńskiej; współcześnie terytorium Litwy. Rosienie – centrum powiatu rosieńskiego guberni kowieńskiej, współcześnie terytorium Litwy. W tych miastach urządzone były regularnie wystawy rolniczo-przemysłowe, które Gloger – jako stały ich gość – opisywał wielokrotnie (zob. tegoż, *Wystawa rolnicza w Szawlach*, „Kłosa” 1875, nr 534-535 [I tom *Pism rozproszonych*, XII, 8]; *Wystawa szawelska*, „Gazeta Warszawska” 1876, nr 191 [I tom *Pism rozproszonych*, X, 93]).

<sup>16</sup> Kolej libawska – od miasta Libawa (także: Lipawa) w Kurlandii, nad Morzem Bałtyckim i Jeziorem Lipawskim, współcześnie na terenie Łotwy. W 1876 doprowadzono do Libawy linię kolejową, łączącą ją między innymi z Kownem (spotyka się w XIX wieku określenie „Kolej Libawsko-Kowieńska”). Szawle były jedną ze stacji na tym szlaku kolejowym.

<sup>17</sup> Kolej Warszawsko-Petersburska – dawna linia kolejowa łącząca Warszawę z Petersburgiem. Była to druga linia kolejowa na ziemiach ówczesnego Królestwa Polskiego (po Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej). Została otwarta w 1862 roku.

<sup>18</sup> Landwarowo, Landwerów – w XIX wieku wieś i folwark w powiecie trockim guberni wileńskiej, położone około 10 km od Trok, współcześnie na teryt. Litwy.

<sup>19</sup> Wierzbolów – miasto na Litwie, w pobliżu którego w 1860 roku zbudowano trację kolejową, łączącą szlak Kolei Warszawsko-Petersburskiej z Królewcem.

<sup>20</sup> Koszedary – folwark i wieś w dawnym powiecie trockim, w guberni wileńskiej (przy granicy z gub. kowieńską); w czasach Glogera Koszedary były stacją kolejową na trasie Wilno – Kowno; zob. *Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich*, red. F. Sulimierski, B. Chlebowski, W. Walewski, tom IV, Warszawa 1883, s. 483, k. 2. Współcześnie: miasto litewskie w regionie Aukštota.

LISTY Z PROWINCJI [X],  
 „Echo” 1879, nr 211, s. 1-2;  
 podpis pod tekstem: „Hreczkosiej”<sup>1</sup>.

Pisałem już nieraz w sprawie miłosierdzia publicznego, a nawet w kwestii czysto teoretycznej, wskutek pewnego odczytu *O wpływie nauki na rozwój miłosierdzia*<sup>2</sup>. W odczycie tym starano się niby to mimochodem zmniejszyć zasługę chrześcijaństwa na tym polu, a przypisać prawie wszystko nauce. Wykazywałem, że miłość chrześcijaństwa i płynące z niej miłosierdzie tworzy właśnie w połączeniu z nauką i wiedzą pożądaną harmonię czynu, do której dążą rozumne społeczeństwa. Rzecz to niezmiernie prosta i jasna. Któżby bowiem mógł zaprzeczyć, to nauka i wiedza potrzebne są do „umiejętnego” działania przeciw ogólnej nędzy i zużytkowania skarbów, płynących z dobroczynności serca ludzkiego, te są „środkiem” pomocnym do osiągnięcia wielkiego celu, środkiem, który już przez ten sam swój charakter, ma wielką doniosłość i szlachetne stanowisko. Jak nauka i wiedza nie mogą zastąpić ani uczucia miłosierdzia, ani cnoty miłości chrześcijańskiej, tak odwrotnie, to uczucie i cnota potrzebują nawzajem pomocy nauki i wiedzy do umiejętnego nasycenia zgłodniałej rzeszy. Najznakomitsi ekonomiści są zdania, że najdoskonalsze prawa i najmędrsze instytucje nie są w stanie w zupełności zapobiec nędzy. Wynika to z nierównego podziału wrodzonych zdolności i skłonności ludzkich. Ale tam, gdzie się kończy dziedzina mądrości ekonomicznej, działa jeszcze i idzie dalej miłość chrześcijańska, oci erając wiele łez, siejąc błogim uśmiechem po niwie niedoli. Nie pojmujemy więc bynajmniej praktycznego ani logicznego celu w rozbiciu pojęć o tej harmonii czynników działających, owszem, widzimy szkodliwość owej teoryjki, która pragnie poróżnić naukę i wiedzę z miłością chrześcijańską i tę ostatnią na dalekim planie postawić. Nie pojmujemy tym bardziej, że społeczeństwu naszemu zbywa właśnie na tej pożądanej harmonii, o której mówiliśmy.

Złote źródło miłosierdzia, tryskając z serca, z miłości chrześcijańskiej i tajemniczych prądów ducha człowieczego, płynie łożyskiem obyczaju narodów, nie mając często związku z książką i z wiedzą. Stąd pochodzi, że różne społeczeństwa, choć mają jeden mniej więcej stopień cywilizacji, różnią się ogromnie w uczuciu miłosierdzia i miłości bliźniego. Stąd pochodziło przed trzema laty, że gdy Francja złożyła w mgnieniu oka kilkadziesiąt milionów na wsparcie ziomków swoich, dotkniętych klęską powodzi w południowych departamentach, to Niemcy nie mogły długo odziałować, że od ludu francuskiego wzięły tylko 5 miliardów haraczu<sup>3</sup>.

Wedle pojęć naszego bez nauki wieśniaka, zaparcie drzwi przed żebrakiem równa się wielkiemu występku. Jałmużna u ludu może być najmniejszą i zwykle składa się z chleba, a nie pieniędzy, lecz daną być musi. Każdy żebrak ma zarazem charakter gościa, a odmówienie gościnności przy ognisku domowym jest rzeczą u nas niebywałą. Każdy ubogi, kaleka rzeczywisty lub pozorny, młody czy stary, w łachmanach lub dobrej kapocie, byle sakwami żebraczymi owieszony, z równą otuchą i śmiałością przestępuje próg wyrobnika, jak sołtysa i najbogatszego kmiecia, a odmawiając pacierze, zasiada poufale na ławie. Jeżeli został domownik przy stole, to ofiarują mu łyżkę i zapraszają do misy, jeżeli nie, to dają mu kawał chleba, ukroiwszy z bochna zawiniętego starym zwyczajem w biały obrus i wiecznie na stole leżącego, jakby w pogotowiu na powitanie i posiłek dla gościa. Nikt takiego podarku żebrakowi nie odmawia, choć nieraz ten dźwiga już sakwy srodze wyładowane bożym darem. Gdy dzień szczęśliwy lub świąteczny, to do skarbcza dziadowskiego przybywają różne przysmaki. Jeżeli kaleka jeździ na wózku, to za ledwie zatrzyma się przed wrotami i śpiewać donośnym głosem pocznie, a już mu jadło wynoszą. Najbogatszy kmieć chętnie zasięga rad lekarskich żebraka, słucha jego nowin i prosi o błogosławieństwo dla swych dzieci.

Wcale inaczej bywa u kolonistów niemieckich lub tam, gdzie mieszka oficjalista<sup>4</sup> albo dziedzic Niemiec. Żebracy omijają z daleka ich domy dla psów zajadłych, drzwi pozamykanych, szturchańców i pogardy dla ubóstwa. Obyczaj naszego ludu utrzymuje wprawdzie całą armię żebraków i włóczęgów, za to wśród kulturtregerów<sup>5</sup> kalecy i prawdziwi biedni, gdyby byli pozostawieni miłosiernej gościnności, pomierialiby z głodu. Widzimy z tego, że zarówno brak oświaty u naszego ludu, jak cnoty miłosierdzia i gościnności u sąsiadów, tworzą dysharmonię na tym polu.

Przeszło od pół wieku posiadaliśmy w Królestwie Polskim dobre przepisy administracyjne do urzędzenia w każdej gminie przytuliska<sup>6</sup> i szpitala celem utrzymania kosztem ogólnym wszystkich kalek i ubogich. Do wprowadzenia w czyn tych przepisów stanął na zawadzie przede wszystkim ten chwalebny skądinąd obyczaj gościnności i brak oświaty ludu. Każdy bowiem kmieć woli codziennie nakarmić dwóch wędrownych żebraków, niż dać na rok kilka złotych na zakład dobroczynny. Tylko więc ze wzrostem cywilizacji mogłaby nastąpić reforma zamieniająca domową ofiarnością dzisiejszą na ofiarnością dla instytucji miłosiernych, w których mniejsze środki przy pomocy nauki zaspokoją lepiej byt starców i kalek. Dopiero wtedy nauka jako środek, jako narzędzie w kwestiach ekonomii społecznej, medycyny i higieny, oddana do usług miłości chrześcijańskiej, spełni swoje ważne przeznaczenie. Ale strzeżmy się i miejmy za święty obowiązek sumienia, aby ład nasz nigdy nie wyżuł się z cnoty miłosierdzia chrześcijańskiego, gościnności pradziadów i nie został oddany na zimną łaskę samej wiedzy i rachuby. Tylko bowiem miłość chrześcijańska ociera łzy sierocie, uczy cicho poświęcać się dla drugich, ogrzewa serce i w kęsie darowanego chleba osładza gorzyc jałmużny.

Do warunków, na jakich spoczywa pomyślność społeczna, należy i ten, aby ogół jasno pojmował cały mechanizm swego społecznego organizmu. Gdy to nastąpi, a wszyscy poznają wady i usterki społeczne, wtedy wystarczy dobra wola i solidarność ogółu do zaradzenia bardzo wielu dolegliwościom. Do historycznych na przykład pasożytów naszego organizmu należą Cygani. Kwestia ich bytu podniesioną była już na sejmie 1607 [roku]<sup>7</sup>. Uchwała atoli, czyli konstytucja, jak wówczas nazywano, nie nastąpiła z powodu opozycji, iż Rzeczpospolita nie może wypędzać ludzi wolnych, między którymi jest wielu kowali, kotlarzy i ludwisarzy, czyli giserów<sup>8</sup>, którzy koczując po kraju przelewali naczynia cynowe. Dziś na kilkudziesięciu cyganów zaledwie jeden jest kotlarzem i to lichym i niesumiennym, reszta spędza życie na wiecznej tułaczce, żebraniu, wróżeniu i najśmielszym okradaniu w biały dzień domostw. Żadne przepisy policyjne nie wpłynęły dotąd ani na włos na tę ludność tak dziwnie ruchliwą, że choć w całym Królestwie nie przechodzi ona kilkaset pogłowia, to jednak prawie każdą z dwudziestu tysięcy wiosek w tym kraju się znajdujących odwiedzają Cyganie i okradają kilka lub kilkanaście razy do roku. Zwykle obozują oni po zaroślach i manowcach, skąd robią wycieczki do wiosek bliższych i dalszych. Drobniejsze kradzieże popełniają w bliższych siołach kobiety, chodząc od chaty do chaty po żebraniu i wróżąc z kart lub z dłoni. Grubszych kradzieży dopuszczają się, ale bardzo ostrożnie, mężczyźni w wioskach dalszych, gdzie już o miejscu ich obozowiska nikt nie wie i po dopełnionej kradzieży śpiesznie w nocy opuszczają okolice. Cyganki chodzą szybko, czas bowiem to dla nich procentujący kapitał, a najlepiej lubią nawiedzać wioski latem, gdy gospodynie pracują w polu lub w ogrodach. Za wróżby dostają od dziewczek i parobków dziesiątki<sup>9</sup> lub produkty. Nieraz niepomysłna wróżba wywołuje najzgubniejsze skutki na wrażliwych umysłach. Gęstwina leśna zasłania ich ognisko, przy którym pieką kury i prosięta, które umieją kraść z zadziwiającą zręcznością, kradzież ukrywać i zniknąć z oczu mieszkańcom.

Lud tak dalece do tego przywykł, że złapanego na gorącym uczynku Cygana prawie nigdy nie oddaje w ręce sprawiedliwości, ale odebrawszy zdobycz i obiwszy, puszcza swobodnie, powiadając, że na to się Cygan urodził Cyganem, żeby kradł! Sami zaś Cyganie o sobie powiadają, że „chybaby Pana Boga w niebie nie było, żeby Cygan pracował”. Nic też dziwnego, że Cyganie przy swojej zręczności w kradzieży i takich pojęciach naszego ludu, zaledwie odsiadują karę za jedną z „tysiącą” popełnionych kradzieży. Mniemanie ludowe, jakoby Cyganka, której się wróżyć nie pozwoli, mogła narzucić nieszczęście, jest zabobnem, który zręcznie przez same wróżbiarki rozpowszechniony, powinien być wraz ze zwyczajem wróżenia z kazałnic

potępiani. Jeżeli proceder żyda cygańskiego przedstawia antymoralny i antycywilizacyjny obraz, to zarówno jest winą społeczeństwa, które daje zarobek wróżbiarkom i jałmużnę publicznym złodziejom, jak przepisów i władz policyjnych, które nie zapobiegają dość stanowczo jawnemu oszustwu, obozowaniu po bezdrożach i życiu koczowniczemu celem okradania mieszkańców kraju.

Do warunków, na jakich spoczywa pomyślność społeczna, należy i ten, aby ogół jasno pojmował cały mechanizm swego społecznego organizmu. Gdy to nastąpi, a wszyscy poznają wady i usterki społeczne, wtedy wystarczy dobra wola i solidarność ogółu do zaradzenia bardzo wielu dolegliwościom.

Na trakcie z Białegostoku do Bielska w guberni grodzieńskiej jakiś obywatel próbował osiedlić Cyganów i pobudował im wioskę, lecz usiłowanie jednostek musiało pozostać bez skutku, bo, jak mi powiadano, Cyganie grunta wypuszczają w dzierzawę, a sami trudnią się włóczęgostwem.

Oprócz Cyganów krajowych nawiedzają nas także Cygani węgierscy, którzy umiając po słowacku, łatwo się uczą po polsku, a mianują siebie Madziarami<sup>10</sup>. Są oni zamożniejsi, noszą często u kaftanów wielkie, srebrne, dęte guzy<sup>11</sup>, koczują licznymi gromadami na wozach, zuchwale napadają na kartofle w polu, na łąki i stogi siana. Kobiety ich tak samo wróżą, żebrzą i kradną.

---

<sup>1</sup> Tekst ukazał się pod innym tytułem niż oznaczane numerami rzymskimi, publikowane w „Echu” *Listy z Podlasia* – jednak oznaczenie niniejszego artykułu liczbą X (listu o tym właśnie numerze brak w *Listach z Podlasia*) sugeruje, że stanowi on część tego cyklu. Zmiana tytułu jest najprawdopodobniej skutkiem decyzji redakcji. Najprawdopodobniej rękopisy Glogera nie nosiły w ogóle żadnego tytułu – jak jego korespondencje do „Gazety Warszawskiej”, „Gazety Handlowej” etc. – a były po prostu publikowane pod taką nazwą za sprawą decyzji redaktorów „Echa”. Artykuł stanowi przekształconą wersję dwóch innych tekstów Glogera: *Znad Narwi, w lutym*, „Ognisko Domowe” 1876, nr 8, s. 99 [I tom *Pism rozproszonych*, XVI, 2]; *Znad Narwi, w marcu*, „Ognisko Domowe” 1876, nr 13, s. 163-164 [XVI, 4].

<sup>2</sup> *O wpływie nauki na rozwój miłosierdzia* – mowa o odczycie Elizy Orzeszkowej, który ukazał się później drukiem (E. Orzeszkowa, *O wpływie nauki na rozwój miłosierdzia*, Lwów 1876). Gloger pisał na jego temat w artykule: *Znad Narwi, w lutym*, „Ognisko Domowe” 1876, nr 8, s. 99 [I tom *Pism rozproszonych*, XVI, 2]. Zob. Beata K. Obsulewicz-Niewińska, „Nieobalamiczna” wrażliwość. Pisarze okresu pozytywizmu o filantropii i miłosierdziu, Lublin 2008.

<sup>3</sup> „Pięć miliardów haraczu” – jest to aluzja do okupu, który Francja musiała zapłacić Prusom po wojnie francusko-pruskiej prowadzonej w latach: 1870–1871, zakończonej przegraną Francji.

<sup>4</sup> Oficjalista – czyli: urzędnik publiczny, a także ktoś zatrudniony do zarządzania prywatnym majątkiem.

<sup>5</sup> Kulturtreger albo kulturträger – po niemiecku: pionier cywilizacji, kultury; ten, który krzewi kulturę; w pol-szczyźnie Glogera słowo to oznaczało osobę narzucającą komuś własną kulturę, zasady, elementy obyczajowości – i było związane z kwestią niemieckiego osadnictwa na ziemiach polskich.

<sup>6</sup> Przytulisko – dawniej: przytułek, zakład dobroczynny, schronienie.

<sup>7</sup> Sejm z roku 1607 – w 1607 roku, w maju odbył się w Warszawie sejm walny, którego podstawowym celem było przywrócenie porządku wobec rokoszu Zebrzydowskiego (bunt szlachty w latach 1606–1609, za panowania Zygmunta III Wazy). Gloger sprawę Cyganów w swej publicystyce poruszał już wcześniej – zob. tegoż, *Znad Narwi, w marcu*, „Ognisko Domowe” 1876, nr 13, s. 163-164 [I tom *Pism rozproszonych*, XVI, 4].

<sup>8</sup> Ludwisarz (albo brązownik, gisernik) – rzemieślnik, odlewający z metalu dzwony, a także przedmioty codziennego użytku. Gisernia (z niem. *Giserei*) – specjalistyczny warsztat odlewniczy.

<sup>9</sup> Dziesiątka – tak dawniej nazywano monetę dziesięciogroszową.

<sup>10</sup> Madziarowie, Madziarzy – określenie ludu ugrofińskiego, protoplastów dzisiejszych Węgrów.

<sup>11</sup> Dęte guzy – duże guziki.



## LISTY Z PODLASIA [XI],

„Echo” 1880, nr 105, s. 2;

tekst opublikowano w rubryce: „Korespondencja Echa”;

podpis pod tekstem: „Hreczkosiej”.

Nie tylko mamy służbę coraz droższą, grymaśniejszą i więcej zdemoralizowaną, ale prawie zupełny brak dobrych ogrodników, kucharek i klucznic dla dworów wiejskich każe ziemianom naszym na te kwestie zwrócić baczną uwagę. Stare szafarki, czyli gospodynie, znające się dobrze na kuchni, mleczynie, pieczywie, przyrządzaniu wędlin, konserwów i zasiewaniu warzywa, wymierają z rokiem każdym i należą już do osobliwości poszukiwanych na wzór rzadkich numizmatów. Typ podobnych kobiet zniknął prawie, a za to przybył typ panny do robót, ubierającej się według mody, z kokiem na głowie, tiurniurą i parasolikiem. Są też poniekąd i przyczyny tych zmian. W miastach nic do spiżarni wiejskiej w dawnych czasach nie wyrabiano. W każdym dworze, szlacheckim czy pańskim, była apteczka spiżarniana, którą zapełniały domowej roboty wódki, nalewki, likwory, soki, konfitury, powidła, różnego rodzaju gomółki<sup>2</sup> i sery, pierniki, makaroniki, marynaty i tym podobne specjaliki, wety<sup>3</sup> i przekąski wszelkiego rodzaju. Aby to wszystko przyrządzić, potrzeba było wielkiej biegłości. Córki szlacheckie szły dopiero za męża, gdy się wszystkiego od matek, babek, sąsiadek i z przepisów tradycyjnie przechowywanych i ciągle dopełnianych wyuczyły. Pani domu zawsze coś przyrządzała, wiecznie się koło gospodarstwa krzątała, a ubogie dziewczęta i sieroty, córki oficjalistów, które jej w pracy pomagały, wychodziły z takiej szkoły na umiętne szafarki, gospodynie i tak zwane panny apteczkowe.

Dziś połowa potrzeb domowych zaspokaja się w mieście, a młode pokolenia nie mają nawet o tym pojęcia, że jeszcze przed osiemdziesięciu laty wyrabianie świec, mydła, perfum, piwa na potrzebę domową i tak dalej należało do gospodyń. Za to rzadka dawniej sztuka grania na klawikordzie<sup>4</sup>, paplania w domu po francusku i nieznanie całkiem czytanie powieści romansowych wypełnia dziś w połowie lato młodocian e każdej prawie kobiety. Na szczęście są książki pani Ciundziewickiej<sup>5</sup> i Cwierciakiewiczowej<sup>6</sup>. Do nich zaglądamy często nasze żony i córki, a dziesiątki wydań tych dziełek są najlepszym tego dowodem, ale praktycznej szkoły domowego gospodarstwa, jaka była niegdyś w każdym dworze szlacheckim, książki te nie zastąpią. Nawet o klucznicy, która by dopilnowała dobrze krów dojenia, dzisiaj trudno. Dziewczęta bowiem uczą się gospodarstwa niechętnie, mają wstręt do podwórza wiejskiego, gdzie trzody chlewnej i drobiu dozorować potrzeba, a na ich tiurniurze, kokach i parasolikach parobcy się zgoła nie znają. Marzą one tylko o Warszawie, do której emigrują, aby zwiększyć proletariat szwaczek. Tymczasem na 20 domów obywatelskich na wsi, mogących dać przyzwoite utrzymanie tyluż szafarkom, zaledwie jeden posiada dziś odpowiednią w swym zawodzie kobietę. Widzimy z tego, że nie brakuje w naszym kraju pola do pracy dla płci nadobnej, ale tylko chęci do pracy, że panują złe kierunki i pojęcia, ale chleba nie brakuje, że deklamacje o braku równouprawnienia kobiet są to koszałki-opałki, gdy kobiety nawet z tych praw, które mają, korzystać nie umieją, w zajęciach, które są przyrodzonym ich udziałem, zalegają pole, wiele pozostawiając do życzenia.

Jeżeli mało jest dobrych szafarek na wsi, to z pewnością jeszcze mniej jest dobrych kucharek. Tak, że choć w niejednym domu wolano by trzymać kucharkę, ale że dostać jej na prowincji prawie niepodobna, więc z konieczności przyjętym zostaje kucharz. Warszawa posiada przynajmniej kantory<sup>7</sup>, gdzie jak w ułęgalkach<sup>8</sup> przebierać można w służbie. Na każde skinienie przybywa tam sto kandydatek do wszelkich zajęć. Jest to złe z konieczności, bo dawniej, kiedy sługi trzymały się jednego domu po lat kilkanaście lub

całe życie, stręczycielstwo<sup>9</sup> było zbyt cennym. Na prowincji rzecz ma się inaczej. Na mil kilka lub kilkanaście mamy najczęściej jednego stręczyciela, czyli rajfura<sup>10</sup>, który biega od dworu do dworu, od zajazdu do zajazdu w miasteczku i za nastreczenie sługi bierze około rubla od jednej i tyleż od drugiej strony, oprócz zapłaty za furmankę, jeżeli takową najmuje. Jest on zarówno stręczycielem, jak odmawiaczem sług. Gdy bowiem jako stręczyciel ma wstęp do każdego dworu, a tylko na zmianie służby zyskuje, odmawia pokątnie tych, którzy nie mieli zamiaru zmieniać miejsca, obiecując im lepsze gdzie indziej obowiązki, aby sam na tym zarobił. Wobec takiego położenia rzeczy w każdym miasteczku powiatowym jako w punkcie, z którym mają najczęstsze stosunki okoliczni mieszkańcy, powinien istnieć kantor stręczceń. Tak gospodarze i obywatele, jak ludzie potrzebujący służby, zyskaliby wiele na wygodzie, czasie i kieszeni, a względnie na przykład do liczby powiatów przeszło 80 rodzin w Królestwie Polskim, zajmąwszy się rzetelnie tą pożyteczną usługą publiczną, zyskałoby przywoity kawałek chleba, na którego trudne zapracowanie słyszymy zewsząd tyle narzekań. Do zakładania podobnych kantorów stręczceń na prowincji mogłyby się wziąć nawet kobiety, jak to pospolicie widzimy w Warszawie. A więc i tu widzimy nowe pole zarobku dla płci słabszej, które jeżeli nie jest przez nią wyzyskane, to nie z winy mężczyzn, ani praw i ustroju społecznego, ale z powodu niepraktyczności i nieprzedsiębiorczości samych kobiet.

Nie wszystką służbę stręczy faktor; parobków na przykład zwykle namawia wysłany w tym celu ekonom lub inny człowiek zaufany. W okolicach, w których służby roboczej jest niedostatek, namawianie to rozpoczyna się bardzo wcześnie, niekiedy na kilka miesięcy przed Nowym Rokiem. Podług zwyczaju, odbywa się ono zwykle przy kieliszku, przy którym jakoś gładziej idzie i namawiany – mięknie. Dzieje się to albo w karczmie, albo w domu namawianego, gdzie się wódkę wtedy przynosi. Jest to wynik konkurencji nie pracownika do chlebobdawcy, ale chlebobdawcy do pracownika. Właściwie są zmienione role w naszym kraju w odwrotnym stosunku do przeludnionych okolic za granicą. Wyrobnikiem jest tu dziedzic lub dzierżawca, a kapitałem jest wyrobnik, bo trzyma prawie zawsze w zależności większego posiadacza i ma spieniężenie swojej pracy zapewnione, a wszelkie kłębki dotyczą tylko chlebobdawcę. Ten stosunek jest nader korzystny dla klas roboczych i trzeba złej woli, albo naiwnej ignorancji socjalistów, aby go nie rozumieć.

Dziedzic na przykład najmniej połowę dochodu brutto oddaje najemnikowi i czeladzi, gotówką i ziarnem, a tymczasem wszelkie kłębki nieurodzaju i gradobicia, pogorzeli, upadku inwentarza, obniżki ceny produktów i tak dalej dotyka tylko dziedzica i odtrąca się z drugiej połowy jego dochodu, bo najemnik, czeladź, służba ma ugodę i podług niej musi otrzymać swoje wynagrodzenie skarb krajowy także nie traci, bo bez względu na te kłębki pobiera swoje podatki. Ustrój ten ekonomiczny, w którym kłębki losowe dotyczą tego, co posiada więcej, jest dobry i tylko umysły niedowarzone chcą go jeszcze zmienić i niby to wyswobodzając pracę od zależności kapitału narazić klasy robocze na nędzę w razie kłębów losowych, od których je dziś większa własność dostarczająca zawsze zarobku zabezpiecza.

Ci, którzy deklamują androny o wyzyskiwaniu u nas pracy przez kapitał, warto, żeby się przypatrzyli, jak ów rzekomy kapitał, jeżeli nim można nazwać większą własność, wyzyskiwany jest przez pracę, to jest klasę roboczą. Dostyc przypatrzeć się, jak nieraz parobek namawiany na służbę do kilku dworów ciągle żąda wyższych zasług i dogodności nowych i nieraz przez całą jesień przyjmuje poczęstunki i robi zawody. Że podobna konkurencja demoralizuje go tylko, nie ulega wątpliwości; demoralizacja zaś ta o tyle jest szkodliwsza, że wyradza później zaniedbywanie przyjętych obowiązków i opieszałość w pracy uważanej za rodzaj łaski, którą pracownik dworowi wyświadcza.

Niedostatek rąk do pracy bywa jedną z najdotkliwszych kłębów dla rolnika. Niedostatek ten bowiem nie tylko powoduje wysokie ceny, które płacić trzeba najemnikowi, ale nadto szkodliwe sprawia opóźnienie robót, gdy nieraz nawet za żadne pieniądze dostać najemnika nie można. Tak w Królestwie Polskim, jak zachodnich guberniach cesarstwa, tylko niektóre szczęśliwsze okolice posiadają zupełny dostatek rąk roboczych. Ogół więc ziemian nie może być obojętnym na tę kwestię, ale w miarę środków posiadanych musi działać solidarnie w celu zaradzeniu złemu. Wychodząc z tego stanowiska, żaden ziemianin nie może na przykład patrzeć okiem obojętnym na czeladź bezżenną i dziewczki, których znaczna liczba nie wychodzi wcale za mąż lub wychodzi późno. Zbyt cennym zaś byłoby dowodzić, że o ile mała ilość prawych związków

mażeńskich wstrzymuje prawidłowy przyrost ludności, o tyle przez zwiększenie ich liczby można by wyrzucić skuteczny i pożądany wpływ na wzrost zaludnienia, który już w ciągu lat kilkunastu przyniósłby dobre owoce dla przysporzenia robotnika w naszym kraju. O co tu chodzi, łatwo każdy wtajemniczony w życie ludu zrozumie, wiedząc, że do skojarzenia stadła małżeńskiego wśród naszej czeladzi potrzeba bardzo mało, bo nie więcej nad słowo patriarchalnej zachęty, kilka lub kilkanaście rubli forszeru<sup>11</sup> na wesele i jedną izbę na mieszkanie z połową morga ogrodu na warzywo. Za to wszystko dwoje młodych i zdrowych ludzi może z ochotą i łatwością wypłacić umiarkowany czynsz w formie dla obu stron najdogodniejszej, bo w robociznie. Z tego wszystkiego widzimy, że dziedzic, a nawet dzierżawcy i rządcy, mogą i powinni wyrzucić, każdy w miarę środków swoich, niepośledni wpływ przez powiększanie liczby mieszkań, udzielenie zachęty i mało znaczącej pomocy. Jakkolwiek parobek, pobierający ordynarię<sup>12</sup> w ziarnie, mieszkanie, ogród i opał, jest kosztownym robotnikiem, to przecież otrzymywanie tylko służby bezżennej pociąga za sobą złe skutki dla kraju i społeczeństwa, którego podstawą moralną i najszytniejszą jest rodzina, a warunkiem produkcji ekonomicznej dostateczna ilość rąk pracowitych. Rodzina dostarcza najemnika, który przy umowie zawarowanym być powinien, zdarza się bowiem, że żony parobków, mając byt zabezpieczony, niechętnie chodzą do dworu na zarobek. Dla pomnożenia rąk do pracy niektórzy dziedzice, posiadając dostatek mieszkań, dają takowe bezpłatnie rodzinom nieposiadającym własności za obowiązek chodzenia za najem do dworu miejscowego. Rodzina taka, jeżeli liczna i pracowita, może mieć nie tylko dostatek utrzymania, ale nawet jakiś grosz w zapasie na złą godzinę. Bezżenna czeladź chętnie kojarzy się w stadła, jeżeli ma zapewnione mieszkanie bezpłatnie za obowiązek chodzenia za najem. Tu mimo woli przypominają nam się czasy, które jeszcze pamiętamy: kiedy to każda obywatelka czuła święty obowiązek każdą dobrą i pracowitą dziewczynę, która u niej lat parę służyła wydać za męża, wyprawić jej wesele i wspomóc na jej nowe gospodarstwo. Był to zwyczaj piękny, tradycyjny, pożyteczny i powszechny, że go nawet za prawo zwyczajowe we dworach polskich uważać można. Pozwolimy sobie też przytoczyć z ust ludu śpiewkę krakowską zwyczajowo tego chwalebne dotychczas, w której pani taka nazwana jest *dobrą gospodynią*:

Pękowiecki dworku, stoisz na pagórku,  
 Powydaje Jejmość dziewczki tego roku;  
 Dziewki powydaje, fornali<sup>13</sup> pożeni,  
 Bo z naszej jejmości dobra gospodyni<sup>14</sup>.

Przemawiając tu bez omówień w sprawie rodziny jako dźwigni moralno-ekonomicznej, a stojąc na gruncie doświadczenia codziennego, nie przypuszczamy, żeby kto nas posądził, iż na małżeństwo zapatrujemy się jako tylko na środek do pomnożenia ludności. Już prędzej zarzucić ktoś nam może dążność do wytworzenia proletariatu. Na to jednak odpowiedź łatwa w kraju, który względnie do swego obszaru ma zaledwie trzecią część tej ludności, co inne najbogatsze prowincje Europy, w kraju, który ma na przykład w guberniach zachodnich ogromne jeszcze, prawie bezludne przestrzenie lasów, błot, stepów, a nawet czarnoziemnej roli. W samym Królestwie jest zaledwie około 700000 uwłaszczonych ziemią w roku 1864 rodzin; o proletariacie bezrolnym przez długie czasy mowy być nie może. Mamy wprawdzie proletariat żydowski w miastach i za wiele szwaczek w Warszawie, ale czyż dlatego, że Żydzi pracować fizycznie na roli nie chcą, a szwaczki wyuczyły gospodarskich zatrudnień, nie mamy sami pracować czynnie, solidarnie i systematycznie nad usunięciem złego w wiejskich stosunkach i wśród wiejskiej ludności.

<sup>1</sup> Tiurniura – element sukni, podkreślający tył bioder i nadający kobiecej sylwetce kształt litery „S”. stosowany głównie w drugiej połowie XIX wieku.

<sup>2</sup> Gomółki – typ suszonego sera, nadający się do spożycia po utarci. serowe gomółki suszone "na kamień" w dawnych czasach przechowywano całą zimę w tzw. okresie „braku mleka”.

<sup>3</sup> Weta – dawniej rodzaj słodkiego deseru.

<sup>4</sup> Klawikord – popularny w epoce renesansu i baroku instrument strunowy klawiszowy, w kształcie prostokątnej skrzynki, najczęściej bez nóg. Struny uderzane są przez pionową metalową płytkę umieszczoną na końcu dźwigni klawiszowej. Skala instrumentu obejmuje 4-5 oktaf. W 2. poł. XVIII w. klawikord zastąpiony został przez fortepian.

<sup>5</sup> Anna Ciundziewicka (1803–1850) – autorka popularnego podręcznika gospodarstwa domowego *Gospodyni litewska czyli nauka utrzymywania porządku domu* (1858), zawierającego, oprócz porad i wskazówek w prowadzeniu domostwa także dużą ilość przepisów kulinarnych i apteczkowych. Pismo wydawano w Wilnie drukiem Józefa Zawadzkiego.

<sup>6</sup> Lucyna Cwierzakiewiczową (1829–1901) – publicystka znana przede wszystkim z popularnych książek kucharskich i innych poradników traktujących o prowadzeniu gospodarstwa domowego. Była bardzo popularną postacią XIX-wiecznej Warszawy, bohaterką wielu opowiadań i anegdot, m.in. o jej legendarnej wręcz oszczędności, przez co jej nazwisko zostało żartobliwie przekreślone na „Ćwierzakiewiczową”. Autorka m.in.: *Baby, placki i mazurki: praktyczne przepisy pieczenia chleba, bułek, placków, mazurków, tortów, ciastek, pierników i.t.p / przez Lucynę Cwierzakiewiczową*. Warszawa: nakładem Jana Fiszczena, 1909; *Cokołwiek bądź chcesz wyczyścić, czyli Porządki domowe / przez Lucynę C. Wariant tytułu Cokołwiek bądź chcesz wyczyścić*. Warszawa, 1982. Przedruk typograficzny z oryginału: Warszawa: Gebethner i Wolff, 1887.

<sup>7</sup> Kantor – w występującym tu kontekście chodzi o instytucję pośredniczącą w jakichś transakcjach, zleceniach, zatrudnieniach itp.

<sup>8</sup> Ulęgałka – dzika grusza o małych, zielonych owocach nadających się do jedzenia dopiero po ułożeniu się; też: owoc tej gruszy.

<sup>9</sup> Stręczycielstwo – w występującym tu kontekście wyraz ten oznacza rekomendację, polecenie kogoś na usługi np. ze wzgl. na sumienność i pracowitość.

<sup>10</sup> Rajfur – dawne określenie na stręczyciela [zob. przypis 9].

<sup>11</sup> Forsusz – dawnej zaliczka, zadatek.

<sup>12</sup> Ordynaria – część zarobków oficjalistów dworskich i stałych robotników rolnych w folwarku wypłacana w naturze.

<sup>13</sup> Fornal – w XIX i na początku XX wieku, określenie używane wobec najemnego robotnika rolnego obsługującego konie w folwarku. Niekiedy zwany też ratajem.

<sup>14</sup> Cytowany fragment pochodzi z pieśni: *Ach moja Marysiu*, Zob. Z. Gloger, *Krakowiaki*, [w:] tegoż. *Pieśni ludu*, Kraków 1892, s. 339; W oryginalnym zapisie, jaki podaje Gloger w *Pieśniach ludu*, a przytoczonej w powyższym tekście strofie, zachodzi zmiana w wersyfikacji, przez co cytowana w tekście strofa jest krótsza o połowę od oryginalnego zapisu: *Pękwiecki dworku./ Stoisz na pagórku./ Powydaje jejmości/ Dziewki tego roku./ Dziewki powydaje./ Fornali pożeni./ Bo z naszej jejmości/ Dobra gospodyni;* zob., Z. Gloger, dz. cyt., s. 339.

## 15

### LISTY Z PODLASIA [XII]<sup>1</sup>,

„Echo” 1880, nr 278, s. 2;

tekst nie został przypisany konkretnej rubryce;  
podpis pod tekstem: „Hreczkosiej”.

„A jak kto pojechał i wrócił z zagranicy, to musiał z potrzeby bredzić po francusku, bo jak Adam (Mickiewicz) powiedział: w żadnym języku nie jest trudniej ukrywać głupstwa jak w polskim, żaden zaś język nie zdał się być zręczniejszym i błyskotliwszym na powierzchowny pokost jak francuski”. Ustęp powyższy z listu sędziwego Domejki do Odyńca (drukowanego w „Echu”, nr 139 z roku bieżącego)<sup>2</sup>, a zarazem zbliżający się karnawał, który daje największą sposobność do publicznego popisu francuszczyzną, nasunęły zacofanemu Podlasianinowi kilka myśli i uwag, które w liście swoim wam przesyła.

Podług pojęć ludzi rozumnych, umiejętność języków jest środkiem do nabycia wiedzy, *środkiem* koniecznym zwłaszcza dla społeczeństw, które na polu naukowym wiele potrzebują brać od obcych. Podług pojęć ludzi mniej rozumnych, nauka języków jest *celem* wychowania. Obowiązek uczenia się języków, sam z siebie pożyteczny, źle zrozumiany staje się biernym naśladownictwem, które prowadzi do strupienia i bezdusznego kosmopolityzmu. Frankomania<sup>3</sup> jest cechą zewnętrzną *urodzonych* lub chcących zostać urodzonymi, mniejsza o to, że piętnuje upośledzeniem tę właśnie narodowość, w której urodzeni światło dzienne ujrzeli. Logika jest tu nieubłaganą, ale ludzie sfrancuziali nie mają pretensji rządzić się jej prawami pod tym względem. Słusznie powiedział jeden z pisarzy naszych, że frankomania ma główne swe źródło

w wadzie bardzo złej, ale najpospolitszej wśród ludzi – w ich próżności. Próżność to upatruje w paplarstwie oznakę dystynkcji i chęć wywyższenia się. Od stanisławowskich czasów, gdy cały świat wyższy zachorował na Wersal i wolterianizm<sup>4</sup>, francuszczyzna stała się u nas warunkiem dobrego tonu. Kto go miał z urodzenia, ten się francuskiej mowy uczył pierwszej niż pacierza; kto go nie miał, starał się o język francuski, jako o środek zbliżenia do urodzonych. Na tej drodze owczym pędem podążył cały prawie ogół dorobkiewiczów, zamożniejszych plebejuszów i w ogóle ludzi, którzy w swoim obejściu i ułożeniu pragnęli zatrzeć niedystyngowane urodzenie. Córka bogatego krawca lub szewca musi bezwarunkowo umieć po francusku. Serca macierzyńskie pań kasjerowych, pisarzowych i tak dalej rozkosznie biją na pierwsze słowa francuskie, wyszeplenione przez córkę. Mania ta upowszechniona cielęcym trybem przeszła w nałóg, który nabrali szkodliwego znaczenia, bo stał się społecznym, ogólnym. Frankomania jest dziś wyszarzanym popisem publicznym i ulicznym, który stał się godłem próżności i piętmem *polerowanego plebejuszostwa*<sup>5</sup>, bądź neofityzmu<sup>6</sup>. Podsyca ona próżność rzekomym nabytkiem znamienia dystynkcji, nie pokrywając bynajmniej próżni umysłowej, ale większa część rodziców cieszy się, widząc tę próżność u swej dlatwy.

„Jest że to godność narodowa – powiedział jeden z naszych myślicieli – jest-że to dowód przywiązania do kraju, jeżeli ktoś ubiega się za lada łachmanem obcym i stawia go wyżej nad swoją własną, choćby ubogą szatę, jeśli sądzi się zacniejszym przez to, że się podszywa pod cudzą chorągiew, jak sługus pod liberyę pana? Odpowiedzcie wy, którzy wykrzywicie sobie język na złą francuzczyznę, sądząc się przez to we własnej opinii wyższymi; wy co z pominięciem skarbów literatury własnej, ciemni jak tabaka w rogu na to co było i jest u nas, potraficie zdać sprawę z najbezczelniejszych porodów popadłej w prostytutkę muzy francuzkiej”<sup>7</sup>.

Mowa jest najdroższym z fizycznych przymiotów, którymi Stwórca obdarzył człowieka i narody. Ona jest cielesną skarbnicą myśli i uczuć, przez którą objawia się życie i literatura ludów, jest zwierciadłem ducha i historii narodów. W starożytnych Indiach Brahmanowie, w hymnach zwanych *Wedę*<sup>8</sup>, podnieśli język do godności bóstwa. Podział ludzkości na narody i języki, będący naturalnym i wiekiustym wynikiem natury ducha ludzkiego, ma swój wyższy cel dziejowy, bo rodzi współzawodnictwo będące głównym bodźcem postępu. Nie masz narodów, które własnej myśli pracą, tyle we własnym języku wiedzy nagromadziły i środków kształcących, że mogłyby się zamknąć same w sobie i nie dbać o resztę świata. Uczenie się tedy obcych języków *zawsze pozostanie środkiem* pomocniczym w nabyciu wiedzy. Jak dalece ten pewnik pozytywny stoi w sprzeczności z chorobliwymi pojęciami naszego społeczeństwa, służy za dowód nasza frankomania. Wszak nie masz pod słońcem drugiego narodu, w którego salonach mówiono by więcej obcymi językami, niż u nas. A jakież stanowisko naukowe zajmuje ta nasza społeczność, jakie stanowisko zajmuje naród w dziedzinie cywilizacji? Choroba naszej oświaty językowej uwydatnia się wtedy, gdy chodzi o przetłumaczenie naukowego dzieła francuskiego na język polski lub nawzajem. Wtenczas to pokazuje się zwykle, że na tysiące osób władających językami ani jedna do poważnej pracy dla swych ziomków nie jest uzdolniona i tłumacza trzeba szukać poza obrębem ludzi popisujących się z francuszczyzną na ulicy i w salonach. Czesi użyli znajomości języka niemieckiego w patriotycznym celu względem Niemców, oznajmiając ich ze swymi dziejami i literaturą. Nic podobnego nie możemy zażądać od Polaków, którzy radzi mówią po francusku, ale nie znają dziejów ani literatury polskiej.

Że frankomania nasza nie służy nam do nabycia nauki od Francuzów, tego nie potrzebujemy dowodzić. Młodzież, która po naukę wyjeżdża do Francji i Belgii, najczęściej na miejscu dopiero przełamywać musi trudności językowe, gdy tymczasem inna młodzież popisuje się z akcentem paryskim nad Wisłą i czerpie swoją wiedzę zagraniczną z innych źródeł. Ma bowiem swoją literaturę Francja wspaniała, pracowita, poważna i nieśmiertelna, tak jak ją ma Francja szalona, sofistyczna, lekkomyślna, plugawa – Francja modna. Która z tych literatur dostarcza nam głównie duchowego pokarmu, zbytecznie byłoby mówić. Odpowiedzieć mogą na to półki księgarskie.

Porozumiewanie się Polaków pomiędzy sobą w języku obcym dla popisu publicznego i salonowego jest zniewagą i poniżeniem bolesnym naszej mowy rodzinnej, narodu i tych wszystkich wielkich ludzi, którzy w mowie tej pisali. Ogół robi to, jak wyżej powiedzieliśmy, przez naśladownictwo, nałóg, próżność. Oprzeć się nałogowi, zapanować nad próżnością mogą tylko ludzie obdarzeni siłą woli i charakteru, któ-

rych nie mamy tak wielu. Naśladownictwo drobiazgowo i bezmyślne – powiedział ktoś – jest cechą zwierząt wyższych (jak: psy, papugi, małpy) tudzież w rodzie ludzkim cechą indywidualną i ras niższych, jak: dzieci, dzicy i wszelakiego rodzaju umysłowe pospólstwo. Frankomania jest zewnętrznym objawem wewnętrznych chorób ducha, objawem z wielu względów szkodliwym, który o ile należy do wszystkich manii, o tyle nie może być trzeźwo oceniony przez ludzi dotkniętych tym stanem chorobliwym. Tylko niektóre narody mniej żywotne podlegają tej chorobie. Wystawmy sobie na przykład Francuzów we Francji rozmawiających bez żadnej przyczyny po hiszpańsku, po niemiecku lub mową makaroniczną<sup>9</sup>, a pewno zakwalifikowano by ich do czubków. Paplarstwo poniża mowę naszą w oczach cudzoziemców i spycha ją do znaczenia mowy gminu, krzywi Polakom składnię polską, ztraca starodawne wyrazy i akcenty, a narzuca cudzoziemskie. Ono przyczyniło się głównie do upadku dowcipu staropolskiego i otwarło wrota każeniu polszczyzny, a najsłynniejszy lingwista słowiański, ksiądz Malinowski<sup>10</sup> z Księstwa Poznańskiego, pisze w tej sprawie: „Ta zaraza (zfrancuziałe wymawianie salonów warszawskich) stamtąd rozeszła się i do wyższych warstw tutejszych (w Wielkopolsce)<sup>11</sup>. Absenteizm<sup>12</sup> języka rodzinnego szkodliwy wpływ wywiera na służbę i warstwy niższe narodu, bo wzbudza lekceważenie dla mowy zdetronizowanej przez panów, zaszczenia wśród prostaczków obojętność dla wszystkiego co swojskie. Dalej nałóg ten rodzi i powiększa uprzedzenia wzajemne warstw społecznych niższych i wyższych, wyróżnia je, dzieli, oddala od siebie, otacza atmosferą kastowości, a w oczach ludzi trzeźwych ośmiesza zfrancuziałe towarzystwa. Gdybyż tylko ośmieszał, ale często przechodzi w uczucie zgrozy i politowania, gdy nałogowi frankomanii towarzyszy zła polszczyzna<sup>13</sup>.”

„W starych gniazdach legły się bękarty francuzkie, co szczebiotały, bo ryknąć nie umiały, i tańcować się uczyły, nie umierać<sup>14</sup>. Mówi to Kraszewski o czasach, w których skutkiem rewolucji francuskiej przybyło do Polski wielu tak zwanych *labusiów*<sup>15</sup>. Panowie i szlachta chwytały ich po domach i oddawali im na wychowanie synów swoich. Wkrótce przekonawszy się o ich lekkomyślności i rozwolnieniu obyczajów, zaczęły chłodnąć w pierwszym swoim uwielbieniu. Satyra i teatr uderzyły na *labusiów*, którzy niemało zepsucia wnieśli w młode nasze pokolenie. Wśród prawdziwej arystokracji zawsze znajdowali się ludzie zdrowo na rzeczy patrzący, a najdalej we frankomanii posuwali się zwykle ci, którzy chcieli zatrzeć ślady krwi podejrzonej. Mam przed sobą list Klaudyny z Działyńskich Potockiej<sup>16</sup>, której idealną postać zajmującą odmalował Odyniec<sup>17</sup> w „Bibliotece Warszawskiej”<sup>18</sup>, opisując swój pobyt w Dreźnie<sup>19</sup> roku 1832 i poznanie z Wincentym Polem<sup>20</sup> – „Ależ pani! – pisze Potocka do hr. Jundziłłowej<sup>21</sup> – dlaczego przykładu twego nie naśladują? Kiedyż pozbędziemy się tej plagi, powierzania dzieci swoich wpływowi myśli, uczuć, zwyczajów od naszych różnych, nieodpowiednich obowiązkom żon i matek polskich? Przepraszam za moją złość; guwernantki obce zawsze ją we mnie wzbudzają. Wolalabym klucznicy tutejszej, pannie utrzymującej apteczkę powierzyć edukację, aniżeli samej pani Genlis...”<sup>22</sup>

Mam nadzieję, że światły czytelnik nie posądzi hreczkosieja podlaskiego o jakiś parafiański patriotyzm, pragnący wyrugować język francuski z ręki tych, którzy go używają w celach rozumnych, rozsądnych i pożytecznych dla kraju i dla siebie. Owszem, pragnęlibyśmy, żeby ci wszyscy, którzy umieją tylko paplać po francusku na ulicy, na koncertach, w teatrach, w wagonie i salonie, nauczyli się gruntownie po francusku i jakąś pozytywniejszą korzyść sobie i społeczeństwu z tej umiejętności obcego języka przynieśli. Pragniemy, żeby język francuski i niemiecki był obowiązujący i gruntownie wykładany we wszystkich szkołach i żeby wszystkie zacne nauczycielki polskie posiadały te języki biegle i działy naszą przez rozmowę i nauczanie ich ćwicząc, wpajały w młodociane umysły pojęcie, że nauka języków jest środkiem potrzebnym do nabycia szerszej wiedzy i pożytecznego służenia swojemu społeczeństwu.

<sup>1</sup> Podjęta w artykule problematyka została również poruszona przez Glogera w dwóch numerach „Tygodnika Ilustrowanego”; zob. *List z wiejskiego ustronia*, „Tygodnik Ilustrowany” 1874, t. XIV, nr 361, s. 332; nr 362, s. 342-343.

<sup>2</sup> Zob. „Echo” 1880, nr 139, s. 2.

<sup>3</sup> Frankomania – przesadne zamiłowanie do tego, co francuskie; przesadne naśladownictwo wzorców francuskich.

<sup>4</sup> Wolterianizm – nurt tendencji intelektualnych, etycznych i estetycznych stworzonych i upowszechnionych przez francuskiego filozofa i pisarza Voltaire’a w XVIII w. Podstawowymi poglądami wolterianizmu są: krytyka przesądów, fanatyzmu religijnego, instytucji Kościoła i monarchii absolutnej, refleksja nad człowiekiem i funkcjonowaniem społeczeństwa. Wolterianizm odrzucał autorytety, odwoływał się do rozumu, głosił potrzebę tolerancji i wolności przekonań.

<sup>5</sup> Polerowane plebejuszostwo – pogardliwe określenie na człowieka pochodzenia mieszczańskiego lub chłopskiego, który uzurpuje sobie godności szlacheckie.

<sup>6</sup> Neofityzm – żarliwe, często fanatyczne wyznawanie jakiejś religii, ideologii, którą przyjęło się niedawno.

<sup>7</sup> Nie udało się zlokalizować źródła pochodzenia cytatu.

<sup>8</sup> Weda, Wedy – święte księgi hinduizmu; najstarsza grupa religijnych tekstów sanskryckich, które stanowiły całość ówczesnej wiedzy człowieka o świecie ludzi i bogów; antologia tekstów z różnych okresów, o różnej tematyce, budowie i przeznaczeniu; zob. J. Tuczyński, *Motywy indyjskie w literaturze polskiej*.

<sup>9</sup> Mowa makaroniczna – żartobliwe określenie na język włoski.

<sup>10</sup> Franciszek Ksawery Malinowski (1807-1881) – ksiądz parafii w Komornikach (wieś w województwie wielkopolskim, w powiecie poznańskim, w gminie Komorniki, na południe od Poznania), uczestnik powstania listopadowego, językoznawca, propagator nowych technologii w rolnictwie, należał do współzałożycieli Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk (1857 r.) i Teatru Polskiego w Poznaniu. Za swoje zasługi dla krzewienia polskości i osiągnięcia naukowe PTPN wystawiło mu na mogile popiersie, które stoi do dziś przy kościele parafialnym w Komornikach.

<sup>11</sup> Ks. F. Malinowski, *Kriticzny pogląd na zasady głosowni znanych autorowi gramatik polskich, wraz z uzasadnieniem ilości brzmień i głosów polskiego języka*, „Rocznik Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego”, Tom II, Poznań 1863, s. 47-48; w powyższym cytowaniu Gloger nie zaznacza, w którym momencie kończy cytowanie. Jednakże występujące w oryginale zdanie: „Ta zaraza stamtąd rozeszła się do wszystkich warstw nawet Wielkopolski”, wskazuje, że w tym właśnie miejscu kończy się przytoczony cytat. Dalsza część tekstu należy do Glogera. W przytoczonym cytowaniu zachodzą również znaczne modyfikacje wobec oryginalnego zapisu: Gloger podaje: „ztamtąd”, a w oryginale mamy: „stamtąd”; Gloger podaje: „wyższych warstw tutejszych (w Wielkopolsce) – z kolei w oryginale mamy: „wyższych warstw nawet Wielkopolski”; zob. ks. F. Malinowski, dz. cyt., s. 47-48.

<sup>12</sup> Absenteizm – uchylanie się od wypełniania obowiązków społecznych, np. od uczestnictwa w wyborach, zebaniach.

<sup>13</sup> Nie udało się zlokalizować źródła pochodzenia cytatu.

<sup>14</sup> B. Bolesławia (J. I. Kraszewski), *Tulacze*, T.1, Poznań 1868.

<sup>15</sup> Labuś – dawniej, pogardliwe określenie na sfrancuziałego księdza, który ulegał francuskiej modzie noszenia pończoch, pantofli z klamerką itp.

<sup>16</sup> Klaudyna z Działyńskich Potocka (1801–1836) – żona Bernarda Potockiego, syna pisarza Jana Potockiego, działaczka polityczna i patriotyczna w okresie powstania listopadowego. Po jego upadku osiedliła się w Dreźnie, gdzie spieniężywszy swe klejnoty, niosła pomoc emigrantom. Tam nawiązała bliższe stosunki z Mickiewiczem, Polem, Odyńcem, Garczyńskim. Zmarła młodo, 8 czerwca 1836 z powodu powikłań chorób płuc i serca, będąc w siódmym miesiącu ciąży

<sup>17</sup> Antoni Edward Odyniec (1804–1855) – poeta romantyczny i neoklasycystyczny, pamiętnikarz, tłumacz i Filareta. wspólnie z Adamem Mickiewiczem zwiedził Niemcy, Szwajcarię i Włochy, co po latach opisał w *Listach z podróży*. W 1831 osiadł w Dreźnie, gdzie tłumaczył dzieła Waltera Scotta, Byrona (*Korsarz*) i Thomasa Moorea, współredagował „Bibliotekę Klasyków Polskich” oraz pisywał do „Przyjaciela Ludu” wydawanego w Lesznie. Wybrane dzieła: *Pieśń Filaretów* (1824), *Branka Litwina* (1828) – ballada, *Listy z podróży* (1875–1878) – wspomnienia.

<sup>18</sup> „Biblioteka Warszawska: Pismo P oświęcone Naukom, Sztukom i Przemysłowi” – miesięcznik literacko-naukowy zajmujący się życiem kulturalnym, naukowym i artystycznym, przeznaczony dla szerszych kręgów czytelniczych; główni redaktorzy: Antoni Szabrański (1841–1842), Kazimierz Władysław Woycicki (1843–1844 oraz 1850–1879), Józef Kazimierz Plebański (1880–1890), Józef Weyssenhoff (1891–1896) i Adam Krasieński (1901–1909); wydawca Stanisław Jan Strąbski (do 1848 roku); do stałych współpracowników czasopisma należeli między innymi: Aleksander Bruckner, Władysław Bogusławski, Piotr Chmielowski, Tadeusz Korzon, Edmund Chojecki, a także Henryk Struve.

<sup>19</sup> Zob. A. E. Odyniec, *Listy z podróży*, T. I-III, Warszawa 1875–1878.

<sup>20</sup> Zob. *Wincenty Pol. Wspomnienie A. E. Odyńca*, „Biblioteka Warszawska” 1873, t. IV, s. 418-427.

<sup>21</sup> Hrabina Jundziłłowa – nie udało się ustalić, o którą przedstawicielkę hrabiowskiego rodu Jundziłłów chodzi.

<sup>22</sup> Stephanie Felicite de Genlis (1746–1830) – znana również jako Pani de Genlis, francuska arystokratka, pisarka i pedagog, autorka m.in. *O religii uważanej jako jedynej szczęśliwości i prawdziwej filozofii zasadzie* (Warszawa 1789).

WIANKI – SOBÓTKA,  
 „Echo” 1880, nr 130, s. 1-2; nr 131, s. 1-2;  
 tekst nie przypisany konkretnej rubryce;  
 w tytule widnieje informacja: „przez Zygmunta Glogera”.

Wieniec w pojęciach naszego narodu jest zawsze szczytnym godłem dziewictwa. Stąd oddanie wieńca młodzianowi przez dziewczę jest symbolem oddania mu serca i ręki – symbolem zamążpójścia. Dziewczęta więc, wróżąc sobie tu zamążpójście, wróżąc czy w ciągu roku i z kim zamienią obrączki, puszczają wianki na nurty rzek polskich, a dzielni młodzieńcy na łudkach i czółenkach uganiają się po modrych falach za płynącymi wieńcami. Który z nich wianek pierwiej uchwyci, ten serce i rękę dziewczoi, co go rzuciła, posiadzie. Zwykle dziewczice nasze rzucały po dwa wieńce; jeden był jej, drugi oznaczał lubego. Z ich losu na bystrym nurcie brano wróżbę przyszłości; uważano, czy się spłynęły razem i jedną poszły drogą, czy kto inny uchwycił, czy w dal popłynęły rozdzielone, czy nieszczęsny wieniec zatonął w topieli.

Tak w przeddzień świętego Jana Chrzciciela, którego Rusini zowią *Kupałą*<sup>1</sup>, płynęły wieńce po Wiśle i Odrze, Niemnie i Dniestrze i po tysiącnych *dunajach* naszych, a echem odwiecznych pieśni zwyczajowych brzmiały nadbrzeżne gaje. Zwierz dziki i ptactwo umykało w głąb ciemnych puszc spłoszone wrzawą młodzieży i blaskiem zapalonych stosów, których płomienie osrebrzały fale wód. Za pogańskich czasów odbywało się to w dniu najdłuższym w roku. Dla dziewczic była to uroczystość „panieńskiej krasy”, ten dziwnie piękny i starodawny zwyczaj narodowy.

O Sobótkach w Czarnymlesie pisze nam wielki śpiewak szesnastego wieku:<sup>2</sup>

Gdy słońce raka zagrzewa,  
 A słowik więcej nie śpiewa,  
 Sobótkę, jako czas niesie,  
 Zapalono w Czarnymlesie<sup>3</sup>.

Uroczystość ta zagrzewała zarówno serca wszystkich, nie była wówczas tylko ludową, jak dziś, boowiada dalej Jan nieśmiertelny:

Tam goście, tam i domowi  
 Sypali się ku ogniowi<sup>4</sup>.

W trzy wieki później opisał Sobótkę karpacką Seweryn Goszczyński<sup>5</sup> i Wincenty Pol<sup>6</sup> w *Pieśni o domu naszym* owo „wielkie wianków święto”:

Zbierz się synu, siadaj w krypcę,  
 Nie na pogrzeb, nie na stypę  
 Popłyniemy dzisiaj z wodą;  
 Lecz na wielkie wianków święto:  
 To zrzuc z duszy ducha pęto,  
 Tchnij miłością i swobodą.  
 Patrz! jak Wisłą płynąć miło:  
 Jakie sioła, jakie grody!  
 Znać gdzieś w górach spadły wody,  
 Świętojanki nam przybyło<sup>7</sup>,



Już się słońce w nieszpór chyli,  
 Patrz, jak roi się na moście,  
 Jakie stroje, jakie goście!  
 Dobrze, żeśmy wczas przybyli;  
 Tu się spotkasz i z urodą  
 I z powagą i z zasługą,  
 Jak wianuszki puszcza z wodą;  
 Na co czekać już niedługo.

Jak rybitwy strojne łodzie  
 Już szybują po tej wodzie,  
 I na wieniec każdy czycha;  
 I nie jedno serce wzdycha,  
 Czy szczęśliwie wieniec spłynie:  
 Kto go chwyci na tej fali?  
 Czy na wirze gdzie zaginie,  
 Czyli gładko płynie dalej?  
 Z wianków biorą sobie wróżby,  
 Bo na Jana paproć kwitnie,  
 Więc gdzie Wianki, tam i drużby,  
 I jest chwała stać zaszczytnie.

Pluszczą łodzie – płyną wianki –  
 I nie jedno serce bije,  
 I nie jedno stanie w szranki,  
 Co się na dnia duszy kryje<sup>8</sup>.

Tak Sobótka, jak wianki są głównie uroczystością dziewic. Kolberg<sup>9</sup> i Gregorowicz<sup>10</sup> opisują<sup>11</sup>, że w Sandomierskiem, w wigilię świętego Jana, dziewczęta same rozpalają wieczorem ogień za wioską. Służą im do tego zawsze sucha bylica<sup>12</sup>. Wziąwszy się potem za ręce i utworzywszy koło, pływają w jedną i w drugą stronę dokoła ogniska. Ubrane w bieli, fantastyczny przedstawiają widok na ciemnym tle nocy. Buchający ogień odznacza na ziemi przesuwające się ich cienie, które olbrzymieją w oddaleniu. Dziewczęta do-  
 rzucają żwawo bylicy i gdy ta w ogniu płonie i listki z niej w popiół opadają – tańcząc, śpiewają chórem:

Oj Janie, Janie – Janie zielony!  
 Padają liście na wszystkie strony,  
 A ty Stachu parobeczku szukaj se żony!  
 Kędyż jej będę u Boga szukać?  
 A pójde ja do Szczepanów w okienko pukać.  
 Puk, puk w okieneczko,  
 Wyniźdź Maryś kochaneczko,  
     Sama jedyna!  
 Maryś nie wyszła – siostrę wysłała,  
 Siostrzo moja, siostrzo, staw się za mnie ostro,  
     Jakby ja sama!<sup>13</sup>

W podobny sposób śpiewają do wielu we wsi dziewcząt, wymieniając kolejno ich imiona, z tą różnicą, że jeżeli którzy młodzi mają się naprawdę ku sobie, to ostatnia zwrotka brzmi inaczej, na przykład:

Magdusia wyszła – rączkę mu dała,  
 A witajże, witaj, witaj najmilszy,  
     Będę cię chciała!<sup>14</sup>

W drugiej pieśni starodawnej słyszymy:

Oj biały Janie, przyjeżdżaj do mnie,  
Jeżeli się chcesz ożenić, my ci żonkę naraim,  
Hej biały Janie!<sup>15</sup>

Tu śpiewają do wianka każdej z obecnych dziewcząt, w następujący sposób sąd swój o każdej wydając:

Jest tam u Stachów nadobna Marysia,  
Ma wianeczek z bożydrzewka,  
Najładniejsza we wsi dziewczka,  
Hej, biały Janie!

Jest tam we dworze nadobna Zosiunia,  
Ma wianeczek z róży,  
Cały świat jej służy,  
Hej, biały Janie!

Jest tam u Grzelów nadobna Stasiunia,  
Ma wianeczek z powoju,  
Nie da chłopcom pokoju,  
Hej, biały Janie itd.<sup>16</sup>

Po tej pieśni zwróconej do dziewcząt następuje inna do parobków, a jak pierwszych godłem był wie-  
niec, tak drugich jest koń wierzchowy. Młodzian bowiem w pieśniach polskich i zawsze występuje po ry-  
cersku, na rumaku:

Poszły dziewczki precz za góreczki  
Wianki rwać,  
I napotkały parobka Kaźmierza  
On jedzie.  
On jedzie od matki,  
Konik pod nim gładki  
Mój będzie!

I napotkały parobeczka Stacha,  
On jedzie.  
On jedzie od siostry,  
Konik pod nim ostry,  
Mój będzie!

I napotkały starego Wawrzyńca,  
On jedzie.  
On jedzie od licha,  
Konik pod nim złyca,  
Jagusi będzie itd.<sup>17</sup>

Ostatnia pieśń sobótkowa sandomierska, z której przytoczymy tu zwrotkę, łączy nareszcie w parę  
wszystkich parobków i dziewoje:

Oj brzmia wozy, brzmia po bukowinie<sup>18</sup>,  
Nasieję ja tatareczki<sup>19</sup> na tej nowinie,  
W tej tatareczce któż tam przebywa?  
Oj, parobczek Janek konie spętywa.

Jagusia jego płoty łamała,  
Poglądała wyżej, niżej, aż go dojrzała.  
Oj dojrzała go – jego koń siwy,  
Radujże się moje serce – jedzie mój miły!<sup>0</sup>

W ten sposób dobierają pary wszystkich, o których jest mniemanie, że się mają ku sobie, a nie potrzebujemy dodawać, o ile podobne pieśni, dające tyle pola do żartów i dowcipu, rozweselają całą zabawę przy ognisku, przez które mali chłopcy skaczą sznurem, gdy dziewczęta tań czyć przestają.

Wójcicki<sup>21</sup> słyszał starą pieśń sobótkową zaczynającą się od słów:

Ku dunajowi, ku głębokiemu – leluja!  
Ku gaikowi, ku zielonemu – leluja!  
I zapalili, hej tam sobótkę – leluja!  
I piją piwo, i piją wódkę – leluja!<sup>22</sup>

W pieśni powyższej młodzian daje dziewczycy trzy zagadki, a ona na każdą z nich udziela mu odpowiedź:

- A cóż rośnie bez korzenia? – leluja!
- Kamień rośnie bez korzenia – leluja!
- A cóż kwitnie bez kwiateczka? – leluja!
- Paproć kwitnie bez kwiateczka – leluja!
- A cóż gore bez płomienia? – leluja!
- Cnota gore bez płomienia – leluja!<sup>23</sup>

Inna pieśń brzmi w te słowa:

Dzisiaj wieczór krótki,  
Zapalmy sobótki,  
Hej dziewczki wybrane!  
Byłem przepasane,  
Tańczycie na dworze,  
Aż do rannej zorze,  
Aż do świtania,  
Lecz nie bez grania!  
  
Hej grajki wybrane!  
Byłem przepasane,  
Dudy niechaj zagrzmia,  
Kotły, trąby zabrzmia,  
Niech skrzypią skrzypaczki,  
Piszczą piszczałeczki,  
W bęben niech biją,  
Piwo niech piją.  
  
Hej chłopcy wybrane,  
Byłem przepasane itd<sup>24</sup>.

-----  
Janie, Janie, święty Janie!  
Cóżś nam przyniósł nowego,  
Cóżś nam przyniósł pięknego?  
Janie, Janie, święty Janie!  
– Przyniósłem ja rosy,  
Dzieweczkom dla krasy,

Także macierzanki,  
Panienkom na wianki,  
Janie, Janie, święty Janie!<sup>25</sup>

*Sobótka* nad Bugiem i Narwią, na Podlasiu i Mazowszu zowie się *Kupalnocką*. Kurpie mazowieccy na stos *kupalnocki* rzucali zioła uprzywilejowane, jako to: *bylicę białą*<sup>26</sup>, *rosiczkę*<sup>27</sup>, *płatnyk*<sup>28</sup>, *dziewannę*<sup>29</sup>, *rutę*<sup>30</sup>, *szatwię*<sup>31</sup> i *ziele świętojańskie*<sup>32</sup>. Zioła te, które nie zostały spalone na stosie, przyniesione później do domów, zatykają we wszystkich kątach i strzechach chat, obór i stodół, przeciw czarom i urokom złych ludzi. Po zachodzie słońca gospodynie i dziewczęta zbierają się na łące ponad strumieniem, rozpalają ogień i piją wódkę. Dziewczęta tańczą w krąg ogniska, a starsze, wyjąwszy z *zapasek* (fartuchów) pęczki ziół oddzielnie powiązane, z każdego po gałązce rzucają w ogień przy śpiewie, który zapisany i podany został przez pana Radoszkowskiego w roku 1836 do „Muzeum Domowego” z pewnymi wszakże modyfikacjami:

Niechaj ruta w ogniu trzeszczy,  
Czarownica z złości wrzeszczy,  
Niech bylicy gałąź pęka,  
Czarownica próżno stęka.

Myśma tu przyszły z daleka.  
Popalili zioła święte,  
Nie zabiorą już nam mleka  
Czarownice przekłete.

Spokojnie nam ogień świeci,  
I ziółeczko każde tleje,  
Oj nie pomrą nasze dzieci,  
Oj nie będzie swaru doma.<sup>33</sup>

O północy, roznieciwszy największy ogień, wlewają weń pozostałą gorzałkę, po czym jedna z dziewcząt rzuca na strumień wieniec zwity z siedmiu ziół powyżej wymienionych; towarzyszyły temu pieśni starożytnie, których kilka z Mazowsza i Podlasia przytaczamy:

Stoi lipieńka w polu zielona,  
Listeczki opuściła,  
Pod nią dziewczyna, pod nią jedyna,  
Parę wianuszków wiła.  
Oj czego płaczesz moja dziewczyno,  
Ach cóż ci za niedola?  
Nie płaczże Kasiu, smutnaś po Jasiu,  
Ach będziesz-ci go miała.  
O mój Jasieńku, o mój jedyny!  
Da stałać mi się szkoda.  
Uwiłam ci ja parę wianuszków  
Zabrała mi je woda.  
Moja dziewczyno, moja kochana,  
Nie frasuj ty się o nie.  
Oj mam ja parę białych łabędzi,  
Popłynąć one po nie.  
Już jeden płynie, po rokicinie,  
Wianeczka sięgający;  
Już drugi płynie, aż się odchynie,  
Wianka nie dostający.  
Łabędzie płyną – wianeczki toną,

Bystra je woda garnie;  
 Moje wianeczki z drobnej rutecki,  
 Mam-li was stracić marnie?  
 Łabędzie płyną – wianeczki giną.  
 Bystra je woda niesie,  
 Nie masz wianeczka, moja Kasieczko,  
 Już ja cię nie pocieszę.  
 Łabędzie wróćcie – serca nie smućcie,  
 Wianeczka nie przyniosły,  
 Tylko rąbeczek – to na czepeczek,  
 Na twoje złote włosy!<sup>34</sup>

Niepospolitej piękności jest pieśń powyższa i należy do klejnotów starodawnej poezji narodowej, będącej pomnikiem tych czasów jeszcze, w których owa poezja polska nie dzieliła się jak dziś na ludową i książkową. Książkowej bowiem, czyli pisanej, nie było jeszcze wcale, a wszystkie pieśni ogół czerpał z jednego czystego źródła prostoty i natchnienia; źródła, od którego tajemniczy klucz zaginął już niepowrotnie. W innej pieśni wianek puszczonej z biegiem wody płynie wśród „zgrai jeleni”. Jelenie w przenośni starożytnej oznaczają tu dzielnych młodzieńców, którzy za wieńcem bogdanki puścili się namiętnie w zawody. W innej znowu pieśni, na dziwnie rzewną nutę śpiewanej, bohaterski młodzian tonie w bezdennej topieli, a rumakowi swojemu poleca, by wróciwszy do rodzinnej zagrody zapewnił przywiązaną do niego matkę, iż pan jego się ożenił. Posłuchajmy:

Z tamtej strony jeziorczka jadą dworzanie,  
 Hej, hej mocny Boże – jadą dworzanie!  
 Jeden mówi do drugiego: wianeczki płyną,  
 Hej, hej, mocny Boże – wianeczki płyną!  
 Drugi mówi do trzeciego: dziewczyna tonie,  
 Hej, hej itd.  
 Trzeci skoczył, konia zmoczył i sam utonął,  
 Hej, hej itd.<sup>35</sup>

Oj, idźże ty wrony koniu z siodłem do domu,  
 A nie mów, że ja utonął, nie mów nikomu,  
 Jeno powiedz matuleńce, że się ożenił:  
 Cóż było za ożenie? w wodzie tonienie,  
 Cóż była za panna młoda? – ta bystra woda,  
 Cóż tam były za druchneczki? – w wodzie rybeczki.  
 Cóż tam byli za družbowie? – w wodzie rakowie,  
 Cóż byli za dziewczosłęby? – nad wodą dęby itd.<sup>36</sup>

W pieśni litewskiej (z okolic Aleksoty<sup>37</sup>) na nasz język przetłumaczonej słyszymy:

Nad Niemnem dziewczyna stoi,  
 Po Niemna głębinie  
 Falami poganiany  
 Wianuszczyk płynie,  
 Płyn teraz ruto moja  
 W krainę daleką,  
 Płyn do moich łez morza  
 Wylanych łez rzeką!<sup>38</sup>

W piosnce górali sanockich dziewczyna:

Zbirała se fijołóki  
Na Sobótku, na winońki.

Rusini zwykle Sobótkę zowią *Kupalnicą*, *Kupałnoczką* lub *Kupałą*. Żegota Pauli<sup>39</sup> pisze w roku 1838, że Rusini galicyjscy zowią świętą Agripinę<sup>40</sup> *Kupalnicą*, jak również ziele *Rannuculus acris*<sup>41</sup>, przy obchodzie Kupały do wieńców używane. Tadeusz Stecki<sup>42</sup> w opisie Wołynia i zwyczajów ludu wołyńskiego podaje szczegóły o obrzędzie *Kupały* i przytacza pieśń zaczynającą się od słów:

*Kupała nasza, Kupała!* itd.<sup>43</sup>

Rulikowski<sup>44</sup> w *Opisie powiatu Wasylkowskiego* i Marcinkowski<sup>45</sup> w dziele *Lud ukraiński* przedstawiają nam obchód *Kupały* na Ukrainie, gdzie obrzęd ten, jak z opisów ich widzimy, prawie niczym nie różni się od *Sobótki* sandomierskiej i *Kupałnocki* Kurpiów mazowieckich i Podlasiian. Kupałę białoruską opisała Maria Czarnomska w „Dzienniku Wileńskim” z roku 1817<sup>46</sup> i Eustachy Tyszkiewicz<sup>47</sup> w *Opisie powiatu Borysowskiego*<sup>48</sup>. Łukasz Gołębiowski<sup>49</sup> ze szczegółów zebranych podobno przez Kazimierza Władysława Wójcickiego podaje nam wiadomość o *Kupałce* z okolic Białej Radziwiłłowskiej w dziełku swoim *Gry i zabawy*<sup>50</sup>. Wójcicki w *Pieśniach ludu* obok pieśni sobótkowej z Krakowskiego, zaczynającej się od słów: „Juże wieczór teraz krótki – hej zapalmy sobótki”<sup>51</sup>, przytacza z osad Rusi podlaskiej śpiew:

Mołodaja mołodicu.  
Wyjdy do nas na ułycu,  
Rozłóżyć *Kupalnicu*...<sup>52</sup>

Każda zwrotka tej pieśni odnosi się do innej z obecnych dziewcząt, podobnie, jak to widzieliśmy w Sandomierskiem, co dowodzi tylko wspólności pojęć i świata obrzędowego u tych bratnich plemion różniących się dialektem.

Do ciekawych, a mniej znanych opisów należy *Wiadomość o Kupalnicach na Podlasiu*, skreślona przez Jaroszewicza<sup>53</sup> w czasopiśmie „Ondyna Druskiennickich Źródeł” (Grodno, rok 1846)<sup>54</sup>. Znany badacz dziejów Litwy i Rusi, mieszkający w zaludnionej przez Rusinów wschodniej części Podlasia (okolica miast: Bielska<sup>55</sup>, Orl<sup>56</sup>, Kleszczel<sup>57</sup> i Narewki<sup>58</sup> w guberni grodzieńskiej), porównywa *Kupalnice* ludu ruskiego z *Sobótkami* polskimi i litewskim świętem *Rosy*<sup>59</sup>. W okolicy bowiem Wilna lud zbierał się od bardzo dawnych czasów w wigilię świętego Jana Chrzciciela na wzgórze zwane *Rosą*, gdzie dzisiaj cmentarz miejski. Dzień ten na Rusi zwał się od wieków *Kupałą*, bo już latopisiec wołyński<sup>60</sup>, wspomniawszy pod rokiem 1262 o napadzie Litwy na Jazdów, czyli Ujazdów<sup>61</sup> na Mazowszu, powiada: „Litważe izhnasza Jazdow na kanun Iwana dni, na samaja Kupalia”. Na Podlasiu opowiadał Jaroszewiczowi uczony ksiądz Antoni Sosnowski<sup>62</sup>, że słyszał wielokrotnie z ust swojego dziada, zrodzonego w roku 1716 w Kleszczelach i tamże roku 1800 zmarłego, iż ten, mając lat dziesięć, widywał w tym mieście zabawy ludu, które się tak odbywały: W wigilię świętego Jana o zmroku zbierała się młodzież obojga płci na placu, gdzie się dwie przecinały ulice. Tu każdy przynosił z sobą stare gospodarskie naczynia, jako to: faski, wiadra, niecki i tym podobne i składał one na gromadę; po czym to wszystko zapalono, a kiedy się ogień dobrze już rozniecił, otaczali go kołem i rozpoczynali śpiewy, wśród których parami lub pojedynczo skakali przez ogień, osobliwie zaś wtenczas, gdy cały chór śpiewaków powtarzał w strofach wyrazy: „Hej Kupała, Kupała, ty Boże nasz!”.

Obchód *Kupalnicy*, zaniechany od dawna w Kleszczelach, przetrwał do naszych czasów w niektórych wioskach tej okolicy. Zabawa należy tam głównie do młodych kobiet i dziewcząt, które wzięwszy się za ręce, jak w Sandomierskiem, robią koło zwane „ogrodem”, a jedną z pomiędzy siebie wpuszczają w środek, której dają nazwisko „Rahulka”. Ksiądz Sosnowski spisał jeszcze kilkanaście bardzo pięknych i starożytnych obrzędowych pieśni podlaskich, które Jaroszewicz w „Ondynie” ogłosił. Wiele podobnych pieśni z kilku okolic guberni grodzieńskiej zebrał i nadesłał mi niedawno pan Michał Fedorowski<sup>63</sup>. Sam widziałem jeszcze w kilku wioskach tej guberni, jak młodzież wiejska z tak zwanego „maju”, czyli zielonej brzeziny, którą chaty i podwórza na Zielone Świątki były „umajone”, ułożywszy stos za wioską i zapaliwszy go wieczorem,

pieśni starodawne zawodziła przy buchającym ognisku, przez które swawolne wyrostki przeskakiwali w biegu, tak samo, jak to nam opisuje Gregorowicz w Sandomierskiem.

We wsi Złotoryf<sup>64</sup> pod Tykocinem, gdzie lud nie obchodzi już „Kupalnocki” od lat kilkudziesięciu, sędziwa wieśniaczka śpiewała mi jeszcze jedną z tych starożytnych pieśni, zaczynając się od słów:

Tam na górze ogień gore,  
*Nocel mała! Kopiel moja!*  
 Na tej górze dwoje drzewa,  
 Nocel mała! Kopiel moja!  
 Jedno drzewo – Boże drzewo itd.<sup>65</sup>

Zbliżając się ku granicy Mazowsza, napotkałem u zagonowej szlachty podlaskiej we wsi Kropiewnicy<sup>66</sup> (stare mniszynie Kropiewnickich) zwyczaj dochowany pod nazwą „Kupalnocki”. Również we wsiach Wnory<sup>67</sup> i Grodzkie<sup>68</sup> (gniazda szlacheckie Wnorowskich i Grodzkich) młodzież obchodzi tu dotąd Kupalnockę na szczycie średniowiecznego grodziska<sup>69</sup>, usypanego nad strumieniem Rokitnicą, które w dokumentach z XV wieku nosi nazwę Mieczsług. Może wiele wieków związało zwyczaj praocjów z tym grodziskiem, a tajemniczy ten węzeł przedłużył konanie poetycznego obrzędu. Dawno już zbutwiały w pobliskich „Żalach”<sup>70</sup> prochy założycieli lub obrońców Mieczsługa, przebrzmiała nawet w ustach ludu ta stara nazwa grodziska, zamilkły wreszcie pieśni obrzędowe, a został tylko stos świętojański, który wznoszony przez wyrostków wiejskich na wierzchołku potężnego wału, corocznie w dolinie Rokitnicy rozświetlał tajemniczą noc paproci.

Na Mazowszu łomżyńskim znalazłem obchód Kupalnocki na Zielone Świątki u częstkowej szlachty we wsi Chlebiotkach<sup>71</sup>. W Mężeninie<sup>72</sup> zaś jeszcze na początku tego wieku, tak samo jak w Czarnymlesie u Jana Kochanowskiego, włościanie i czeladź dworska wspólnie obchodzili Kupalnockę. W ziemi wiskiej, która stanowiła północny kraniec województwa mazowieckiego, w wielu wsiach jeszcze niezbyt dawno odprawiano Kupalnockę i w noc świętojańską czyniono wróżby z wieńców puszcanych na strumienie, a stara Mazurka spod Wizny<sup>73</sup> zanuciła mi jeszcze ułamek zapomnianej już przez młodsze pokolenia pieśni kupalnocnej zaczynającej się od słów:

Kolo Jana, kolo Jana  
*Nocel mała! Kopiel moja!*  
 Tam dziewczęta się schodziły itd.<sup>74</sup>

Pieśń powyższa jest już tylko niejako wspomnieniem zwyczaju, w którym wyłączny udział brały dziewczęta. A i Marcin z Urzędowa<sup>75</sup> w swoim herbarzu botanicznym<sup>76</sup>, wydanym w roku 1596 mówi o bylicy i Sobótce w ten sposób: „Tę obyczaj pogański do tych czasów w Polsce nie chcą opuścić niewiasty, bo także to ofiarowanie tegoż ziela czynią, wieszając, opasując się niem. Święta zaś tej dyablicy (Dyanny) święcą, czyniąc Sobótki, paląc ognie, krzesząc ognia deskami, aby była prawa świętość dyabelska; tamże śpiewają dyabelskie pieśni plugawe, tańcząc, a dyabeł też skacze, raduje się, że mu Chrześcijanie czynią modłę a chwałę, a o miłego Boga nie dbają, albowiem na dzień św. Jana wieśniaków przy chwale miłego Boga żadnego nie będzie, a około Sobótki będą czynić rozmaite złości (!)”<sup>77</sup>.

Żle i płytko zrozumiana religijność nie tylko w XVI wieku wypowiadała wojnę wszystkim prawie starym zwyczajom. Ale oto jeszcze w dwieście lat później ksiądz Marcin Krajewski, kanclerz biskupi, słynny dziwak z czasów stanisławowskich, proboszcz zambrowski w ziemi łomżyńskiej, surowo zakazuje w swojej książce do nabożeństwa zwyczajów sobótkowych jako zabytków pogaństwa, które do jego czasów dotrwały w tej okolicy. Co by powiedział na to Krajewski, gdyby dożył czasów, w których poeta tak zacny i katolicki, jak Wincenty Pol, opisał Sobótkę i puszczanie wianków na moście warszawskim, wzywa gorącymi słowami do zachowania starych zwyczajów słowiańskich i narodowych:

Czyste źródła, ognie święte  
 Czuj dla wielkiej Boga chwały  
 Jako znaki niepojęte.  
 A kto takie święta święci,

Ten i w dziejach nie pokłamię,  
Temu z radą Wniewowzięci  
Staną w wielkiej Ojców bramie!<sup>78</sup>

Żyjemy w czasach upadku wielu starych obyczajów. Zastanawiałem się też nieraz, czy przyczyną tego jest rzeczywiście, jak mniema wielu, postęp cywilizacji. Aby to ważne pytanie rozstrzygnąć, trzeba pierwszej odróżnić dwie odrębne od siebie rzeczy, których mieszać pod karą zaćmienia umysłów nie wolno, to jest blichtr mody i nowatorstwa od cywilizacji we właściwym tego słowa znaczeniu. Czyż to jest postęp cywilizacji, że kmięć zapomina prastarych pieśni, które budziły z letargu jego serce, podnosiły duszę i poczucie piękna, a kładzie natomiast do ust swoich kopcący się zwitek tytoniu. Czy i z cywilizacją ma co wspólnego u klas wyższych dobrowolne wydziedziczenie się z mowy rodzinnej i zastępowanie jej francuską, za czym idzie wydziedziczenie się z obyczajów ojczystych i owa lekkomyślna, idiotyczna rozrzutność w rozprasaniu wszystkiego, co po przodkach jeszcze ocalało. Czyż cywilizacja wymaga tego, żeby u słowiańskiego ogniska nad Wisłą zapanował obyczaj znad Elby<sup>79</sup> i Sprewy<sup>80</sup>, a lud w miejsce sympatycznej i pięknej zabawy w wieczór świętojański szukał rozrywki i odpoczynku w knajpie przy kuflu browara? Tak zaiste nie prawdziwa cywilizacja walczy z obyczajem cnotliwym, tylko blichtr postępu, złudny pozór oświaty, dziecinny nałóg chwywania się co dzień innych cacek. Ale prawdziwą cywilizację niełatwo zdobywa sobie człowiek, bo tylko z idealnej harmonii między szlachetnym obyczajem a nauką, między sercem a głową płynie czyste źródło mądrości, ten łagodny promień światła, z wolna oświecający ludzkość.

Powrót do zaniedbanych obrzędów jest niepodobny, skoro duch z nich już uleciał. Ale nasz naród słowiański ma prawo, ma powinność do rozrywek, zabaw i widowisk swoich czerpać treść z życia swego domowego, z wiary minionych wieków i fantastycznie odtwarzać obrazy poetyczne z ubiegłej przeszłości i obyczaju praociców. Obrzędy nasze słowiańskie i narodowe nadają się ku temu wybornie, a między nimi piękna uroczystość *Wianków* i *Sobótek*. Zachęcamy do tego z całego serca, z całej duszy.

Jeżewo, dnia 25 maja 1880 r.

<sup>1</sup> „Noc kupalna” – słowiańskie święto związane z letnim przesileniem Słońca. Obchodzone w czasie najkrótszej nocy w roku, co przypada około 21-22 czerwca. W Polsce Kościół katolicki, nie mogąc wykorzystać z obyczajowości, wywodzącej się z wierzeń słowiańskich, corocznych obchodów pogańskiej Sobótki, podjął próbę zasymilowania święta z obrzędowością chrześcijańską. Stąd późniejsza wigilia św. Jana – potocznie zwana też *nocą świętojańską* i posiadająca wówczas wiele zapożyczeń ze święta wcześniejszego – obchodzona w nocy z 23 na 24 czerwca

<sup>2</sup> Mowa o Janie Kochanowskim (1530 – 1584) i wydanym po jego śmierci utworze: *Pieśń Świętojańska o Sobótce* (1586).

<sup>3</sup> W cytowanej przez Glogera strofie występują pewne różnice wobec oryginalnego zapisu Jana Kochanowskiego: w pierwszej linijce oryginału słowo „raka” pisane jest z wielkiej litery – Gloger zapisuje z małej; w ostatniej linijce, Gloger cytuje: „Czarnymlesie” – w oryginalnym zapisie Kochanowskiego nazwa ta zapisana jest oddzielnie: „Czarnym Lesie”: J. Kochanowski, *Pieśń Świętojańska o Sobótce*, [w:] tegoż, *Pieśń Świętojańska o Sobótce. Treny*, wstęp i objaśnienia Henryka Gallego, Warszawa 1916, s. 13.

<sup>4</sup> J. Kochanowski, dz. cyt., s. 13.

<sup>5</sup> Seweryn Goszczyński (1801 – 1876) – pisarz i poeta polskiego romantyzmu – związany z jego czarnym, frenetycznym nurtem. Obok Antoniego Malczewskiego (1793-1826), jeden z czołowych przedstawicieli „szkoły ukraińskiej” w poezji polskiej. Zasiadł również jako autor wierszy patriotycznych; jeden z czołowych członków Koła Sprawy Bożej Andrzeja Tobiańskiego. Autor powieści poetyckiej *Zamek kaniowski* (1828) oraz powieści gotyckiej *Król zamczyska* (1842). W 1834 roku stworzył poemat *Sobótka*, o którym w powyższym tekście wspomina Zygmunt Gloger.

<sup>6</sup> Wincenty Pol, ps. „Janusz” (1807 – 1872) – poeta, geograf. Pierwsze próby literackie Wincenty Pol czynił w okresie młodości – romantyczna poezja i proza, inspirowana m.in. dziełami Johanna Wolfganga Goethego, Friedricha Schillera, George’a G. Byrona, Adama Mickiewicza. Najpopularniejszym utworem Pola, poetyckim opisem odwiedzonych przez niego regionów Polski, jest *Pieśń o ziemi naszej* (1843), na którą powołuje się w powyższym tekście Zygmunt Gloger.

<sup>7</sup> W. Pol, *Pieśń o domu naszym*, [w:] *Wincentego Pola dzieła poetyckie*, Tom III, oprac. J. Sroczyński i M. Wiśniewiecki, Stanisławów 1903, s. 445. W cytacji Gloger opuszcza ostatnie cztery linijki cytowanej strofy: „Dziś nie trzeba macać prądu./ Bo od ładu, aż do ładu./ Stoi Wisła w pełnym brzegu./ Więc i puszcza kryptę w biegu./ Kiedy wody i człek w sile./”; Tamże, s. 446.

<sup>8</sup> W cytowanym fragmencie utworu Wincentego Pola zachowujemy oryginalną ortografię zapisu Zygmunta Glogera.

<sup>9</sup> Oskar Kolberg, wł. Henryk Oskar Kolberg (1814–1890) – badacz, etnograf, folklorysta i kompozytor. Uważany za ojca polskiej etnografii.

<sup>10</sup> Jan Kanty Gregorowicz pseud. Janek z Bielca (1818-1890) – literat, publicysta, redaktor i wydawca pism dla ludu wiejskiego i dzieci; m.in. redaktor naczelny „Zorzy” – tygodnika wydawanego w Warszawie w przerwami w latach 1844–1939, który



był skierowany do mieszkańców wsi; propagował ruch spółdzielczy, zakładanie kas oszczędności i rzemiosło. Wydał m.in.: *Obrazki wiejskie* (4 t., Warszawa 1852), *Zarysy wiejskie* (2 t., 1854).

<sup>11</sup> Wspomniani przez Glogera badacze: Kolberg i Gregorowicz na temat obchodów wigilii świętego Jana piszą w swoich rozprawach: zob. Oskar Kolberg, *Sandomierskie*, [w:] tegoż, *Lud. Jego zwyczaj, sposób życia, mowa, podania, przysłowia, obrzędy, zabawy, pieśni muzyka i tańce*, Tom 2, Warszawa 1865; J. K. Grygorowicz, *Zarysy wiejskiej*, t. 1-2, Warszawa 1886.

<sup>12</sup> Bylica (z łac. *Artemisia vulgaris*) – rodzaj roślin z rodziny astrowatych, liczący 300 gatunków. Występują głównie na obszarach suchych klimatu umiarkowanego Europy, Azji i Ameryki Północnej. Niektóre gatunki tej rośliny są wiecznie zielone, inne okresowo zrzucają liście. Kwiaty zebrane są w drobnych koszyczkach, skupionych groniasto lub wiechowato. Niektóre gatunki dominują na stepach lub półpustyniach, tworząc tzw. pustynie bylicowe. Wiele gatunków bylic to chwasty porastające nieużytki.

<sup>13</sup> O. Kolberg, *Sandomierskie*, [w:] tegoż, *Lud...*, Tom II, s. 113. W cytowanym fragmencie Gloger uwspółcześnia pisownię niektórych wyrazów: w drugiej linijce, pierwszej strofy Gloger pisze „wszystkie strony” – u Kolberga mamy: „wsyćkie”; W trzeciej linijce, pierwszej strofy Gloger cytuje: „A ty Stachu parobeczku sukaj se żony” – Kolberg podaje: „A ty Janku parobecu sukaj se zony”. Zmianie uległa również wersyfikacja pierwszej strofy, która w oryginalnym zapisie Kolberga ma cztery wersy – u Glogera trzy. Wszelkie różnice w zapisie cytowanych przez Glogera pieśni wynikają prawdopodobnie z tego, że nie cytuje on z oryginalnych źródeł. Mimo powoływania się na teksty Kolberga, czy w dalszej części Jana Gregorowicza i Kazimierza Wójcickiego podaje cytowanie z własnego dzieła – *Pieśni ludu*, por. O. Kolberg, *Sandomierskie*, dz. cyt., s. 113 oraz Z. Gloger, *Pieśni ludu*, Kraków 1892, s. 29.

<sup>14</sup> O. Kolberg, dz. cyt., s. 113; w cytowanym fragmencie Gloger uwspółcześnia pisownię niektórych wyrazów: w pierwszej linijce cytowanej strofy pisze: „rączkę mu dała” – u Kolberga mamy: „rączkę mu dała”; „”. Zmianie uległa również wersyfikacja cytowanej strofy, która w oryginalnym zapisie Kolberga ma cztery wersy, a u Glogera trzy. Różnice zachodzącej pomiędzy źródłem w postaci zapisu Kolberga, a cytowanym tutaj fragmentem wynikają, jak w poprzednim przypadku, z faktu cytowania *Pieśni ludu*, a nie bezpośrednio pracy Kolberga; zob. O. Kolberg, dz. cyt., s. 113 oraz Z. Gloger, *Pieśni ludu*, s. 30.

<sup>15</sup> O. Kolberg, dz. cyt., s. 114; w cytowanym fragmencie pieśni zmianie ulega wersyfikacja – oryginalnym zapisie Kolberga cytowana strofa ma cztery wersy a u Glogera trzy. Różnice zachodzą również w zapisie: Gloger pisze: „my ci zonkę naraim/ Hej biały Janie!” – u Kolberga mamy: „ja ci zonkę naraję/ mój biały Janie”; zob. O. Kolberg, dz. cyt., s. 114; w *Pieśniach ludu* Glogera odnajdujemy inny, w stosunku do przedstawionych tu zapis: „Jeżeli się chcesz ożenić,/ To ci zonkę narajemy,/”; zob. O. Kolberg, tamże, s. 114; Z. Gloger, *Pieśni ludu*, s. 29.

<sup>16</sup> Z. Gloger, *Pieśni ludu*, s. 30.

<sup>17</sup> O. Kolberg, dz. cyt., s. 120; w cytowanych tu przez Glogera fragmentach pieśni zachodzą znaczne różnice tak w wersyfikacji, jak i zapisie: w oryginalnym tekście Kolberga cytowana pieśń ma 4 strofy – u Glogera trzy. Wynika to ze scalenia ze sobą treści pierwszej i drugiej strofy oryginału. Kolberg podaje: „Posły dziewczki – prec za górecki,/ wianki rwać;/ wianków nie wyrwały/ snopy potargały – / będą brać!/ I napotkały – dworskiego Wróbla,/ on jedzie;/ on jedzie od matki,/ konik pod nim gładki,/ mój będzie! – z kolei u Glogera mamy następujący zapis: Poszły dziewczki precz za góreczki/ Wianki rwać,/ i napotkały parobka Kazimierza/ On jedzie./ On jedzie od matki,/ Konik pod nim gładki,/ Mój będzie!”; Wszelkie zachodzące w zapisie cytowanego fragmentu różnice wynikają z tego, że sposób zapisu: wersyfikacja i podział na strofy odpowiada oryginalnemu źródłu cytowania (dzieło Kolberga), natomiast różnice w zapisie pewnych wyrazów spowodowane są tym, że Gloger cytuje tekst z własnego zapisu w *Pieśniach ludu*; por. O. Kolberg, dz. cyt., s. 120 oraz Z. Gloger, *Pieśni ludu*, s. 30.

<sup>18</sup> Bukowina – pierwotnie a także i dzisiaj nazwa używana dla określenia połaci ziemi pokrytej lasami bukowymi. Z czasem i znacznie później mianem Bukowiny zaczęto posługiwać się do nazwania nie istniejącego już obszaru leżącego na południowo-zachodnich kresach Rzeczypospolitej Polski za Czeremoszem, a pomiędzy Karpatami Wschodnimi (od zachodu) i środkowym Dnieprem (od wschodu). Mają na uwadze zarysowany w tekście Glogera kontekst, chodzi o pierwotne znaczenie słowa.

<sup>19</sup> Tataraka – roślina pastewna; gatunek gryki, z jej nasion wyrabia się kaszę i mąkę.

<sup>20</sup> O. Kolberg, dz. cyt., s. 116; Gloger cytuje tutaj jedynie pierwszą z czterech części pieśni zmieniając przy tym układ wersyfikacyjny oraz pisownię niektórych wyrazów – w oryginalnym zapisie Kolberga mamy następujący zapis: Oj brzmią wozy, brzmią – po bukowinie,/ nasieję ja tatarski [u Glogera: „tatarszczki”]/ na tej nowinie./ W tej tatarsce – któż tam przebywa? [u Glogera: tatarszczce]/ Oj parobeczek [u Glogera: parobeczek] Janek/ konie pętywa [u Glogera: spętywa]/ Jagusia jego – płoty łamała [u Glogera łamała]/ poglądała nizey, wyzy [u Glogera wyżej, niżej]/ jaz go dojrzała [u Glogera: aż go dojrzała]/ Oj dojrzała go – jego koń kary [u Glogera: jego koń siwy]/ raduj ze się moje serce,/ jedzie mój drogi! [u Glogera: jedzie mój miły]; zob. O. Kolberg, dz. cyt., s. 114.

<sup>21</sup> Kazimierz Władysław Wójcicki (1807–1879) – literat, historyk, badacz. Autor między innymi dzieła *Pieśni ludu Białochrobatow, Mazurów i Rusi znad Bugu (z dołączeniem odpowiednich pieśni ruskich, serbskich, czeskich i słowiańskich)* Warszawa 1836, a także: *Szkice historyczne i z domowego życia niedawno ubiegłej przeszłości*, Kraków 1869. Gloger, który zetknął się z nim podczas studiów, traktował go jako osobisty autorytet.

<sup>22</sup> K. W. Wójcicki, *Pieśni ludu Białochrobatow, Mazurów i Rusi znad Bugu*, Tom I, Warszawa 1836, s. 203; w trzecim wersie przytoczonej tutaj strofy, w oryginalnym zapisie Wójcickiego odnotowujemy odmienny zapis wobec tego, jaki podaje Gloger: „A zapalili sobótkę – leluja!”, zob. tamże, s. 203.

<sup>23</sup> K. W. Wójcicki, dz. cyt., s. 203-204; w oryginalnym zapisie Wójcickiego, udzielana przez dziewczicę odpowiedź nie kończy się frazą „leluja!”, „A cóż rośnie bez korzenia, leluja?! Kamień rośnie bez korzenia./ A cóż kwitnie bez kwiateczka, leluja?! Paproć kwitnie bez kwiateczka./ A cóż gore bez płomienia, leluja?! Cnota gore bez płomienia.” Zob. tamże, s. 203-204.

<sup>24</sup> K. W. Wójcicki, dz. cyt., s. 200; wobec oryginalnego zapisu Wójcickiego w cytowanej przez Glogera strofie znajdziemy następujące różnice: Gloger pisze: „Dzisiaj wieczór krótki,/ zapalny sobótki” – natomiast u Wójcickiego: „Jaze wieczór tenaz krót-

ki./ Hej! zapalmy *sobótki*”; u Glogera: „Hej dziewczki wybrane! Byłem przepasane” – w oryginale: „Dalej dziewczki wyborne./ Byłem w poły przepasane.”, zob., dz. cyt., s. 200. Różnice zachodzące w zapisie pomiędzy powyższym cytowaniem Glogera a oryginalnym zapisem Wójcickiego, wynikają z faktu, iż Gloger cytuje tutaj treść *Pieśni ludu*, a nie bezpośrednio dzieło Wójcickiego; por. K.W. Wójcicki, tamże, oraz Z. Gloger, dz. cyt., s. 31.

<sup>25</sup> Powyższy cytat, jak wynika z zarysowanego przez Glogera kontekstu, pochodzi z dzieła Wójcickiego. Jednakże pomiędzy cytowanym zapisem a oryginałem zachodzi znaczną różnicą. Cytowanego fragmentowi odpowiada za to zapis Glogera w jego *Pieśniach ludu*, stąd przypuszczenie, że cytat ten pochodzi z tego właśnie dzieła; por. K.W. Wójcicki, dz. cyt., s. 197 oraz Z. Gloger, dz. cyt., s. 26.

<sup>26</sup> Bylica biała (z łac. *Artemisia absinthium*) – pospolicie nazywana piołunem, psią rutą, absytem, wermutem, bielimą piołunem, bilicą piołunem. Występuje naturalnie na terenie Europy, Azji oraz Północnej Afryki. Mimo toksycznego działania znajduje wiele zastosowań jako przyprawa lub roślina lecznicza; Najczęściej piołun stosowano dla odstraszenia moli od ubrań a innych owadów od miejsc nocnego spoczynku, w którym to zastosowaniu miał dodatkową zaletę, gdyż wetknięty pod poduszki miał działać usypiająco, Dawniej dodawano wyciągów z piołunu do atramentu, by uchronić bardzo drogie wówczas książki przed myszami i owadami, używany był do barwienia tkanin, m.in. z wełny na żółto; a z dodatkiem soli albo siarczanu żelazowego na różne odcienie zieleni (oliwkowy i seledynowy).

<sup>27</sup> Rosiczka (z łac. *Drosera*) – rodzaj roślin owadożerczych z rodziny roszcinkowatych obejmujący ok. 185 gatunków. Rosiczki wykształcają charakterystyczne liście pułapkowe wyposażone we włoski gruczołowe wydzielające lepłą cieczerwającą dróbne zwierzęta.

<sup>28</sup> Płomyk (z łac. *Phlox paniculata*) – bylina należąca do rodziny wielosłkowatych. Na trwałe wpisała się w krajobraz ogrodów wiejskich. Tworzy obfite, wiewcchowane kwiatostany o kwiatkach barwy białej, różowej, czerwonej i niebieskiej. Kwiaty wydzielają przyjemny, słodkawy zapach.

<sup>29</sup> Dziewanna (z łac. *Verbascum*) – Wiele gatunków dziewanny to rośliny lecznicze lub ozdobne. Niektóre gatunki uprawiane są jako rośliny ozdobne. Ze względu na preferencję gleb słabych, ukuto porzekadło: *Gdzie rośnie dziewanna, tam bez posagu panna.*

<sup>30</sup> Ruta (z łac. *Ruta graveolens*) – Pochodzi z południowo-wschodniej i wschodniej Europy (Bałkany, Bułgaria, Krym), ale rozprzestrzenił się także na afrykańskim wybrzeżu Morza Śródziemnego i w Europie Południowej. Znajduje zastosowanie przede wszystkim w lecznictwie oraz jako roślina ozdobna.

<sup>31</sup> Szałwia (z łac. *Salvia officinalis*) – roślina uprawiana w wielu krajach świata. Jej nazwa pochodzi o łacińskiego *salvus* – zdrowie. Roślina lecznicza. Znana już w starożytności jako roślina lecznicza, a także magiczna. Grecy i Rzymianie stosowali ją jako lekarstwo na ukąszenia węża, problemy ze wzrokiem, utratę pamięci. Stosowana również jako afrodyzjach, roślina kulinarna i ozdobna.

<sup>32</sup> Ziele świętojańskie (z łac. *Hypericum perforatum*) – Wymieniany też pod nazwami: dziurawiec pospolity, świętojańskie ziele, ruta polna, ziele św. Jana, krzyżowe ziele; gatunek rośliny należącej do rodziny dziurawcowatych. Występuje naturalnie w Europie, zachodniej Azji, północnej Afryce. Jedno z najbardziej znanych ziół, szeroko stosowane w ziołolecznictwie. Stosowany również jako roślina dekoracyjna. W dawnych czasach przypisywano dziurawcowi działanie magiczne, wiercono, że roślina chroni przed czartami i złymi czarami.

<sup>33</sup> Zob. A. Radoszkowski, *Kupalnocka, czyli wigilia świętego Jana, u włościan nad Narwią*, „Muzeum Domowe” 1836, nr 25, s. 194-196.

<sup>34</sup> Z. Gloger, *Pieśni ludu*, dz. cyt., s. 20.

<sup>35</sup> Z. Gloger, dz. cyt., s. 25-26.

<sup>36</sup> Tamże, s. 26; Gloger modyfikuje zapis poszczególnych cytowanych wersetów wobec tych zawartych w *Pieśniach ludu*, zob., i por. Z. Gloger, dz. cyt., s. 26.

<sup>37</sup> Aukštaita (lit. *Aukštaitija*) – tak zwana „Litwa właściwa”; kraina historyczna i region etnograficzny na Litwie, na Nizinie Środkowoliteńskiej i Pojezierzu Wileńskim, w dorzeczu górnej i środkowej Wilii, nad Niewiażą, Świętą i Muszą, ze stolicą w Poniewieżu.

<sup>38</sup> Nie udało się zlokalizować źródła pochodzenia cytowanej przez Glogera pieśni. Podobna sytuacja ma miejsce w podanym poniżej fragmencie pieśni górali sanockich. Podany zapis nie występuje w jego dziele *Pieśni ludu*, jak i przywoływanych wcześniej tekstach Kolberga i Wójcickiego. Prawdopodobnie pochodzą z prywatnych notatek Glogera.

<sup>39</sup> Żegota Pauli, właśc. Ignacy Pauli (1814–1895) – historyk, archeolog, bibliotekarz i bibliograf. Badacz polskiej i słowiańskiej kultury ludowej. Jeden z pierwszych polskich etnografów i krajoznawców. Twórca m.in.: *Pieśni ludu polskiego w Galicji* (1838), *Pieśni ludu ruskiego w Galicji* (t. 1–2, Lwów 1839–40), *pór o Morskie Oko* (Kraków 1891), *Wyimki z podróży po Galicji w r. 1831* („Rozmaitości” nr 47–52/1835).

<sup>40</sup> Św. Agrypina (data urodzenia i śmierci nieznana) – rzymianka, która nie chciała wyjść za mąż i całe swoje życie postanowiła poświęcić kościołowi i Chrystusowi. W czasie prześladowań za cesarza Waleriana (253–259) stała przed sądem i mężnie wyznała wiarę w Chrystusa, za co została skazana na śmierć. Ciało świętej przeniesiono do Mineo pod Katanią (Sycylia). Nad jej grobem dokonywały się liczne uzdrowienia. Wspomnienie świętej przypada na 23 czerwca.

<sup>41</sup> Jaskier ostry (*Ranunculus acris*) – roślina z rodziny jaskrowatych. Gatunek wybitnie kosmopolityczny, zasiedlający Europę, Afrykę płn. i Azję, spotykany również w Ameryce. W Polsce gatunek bardzo pospolity na całym obszarze. Znajduje zastosowanie w medycynie ludowej – używany przeciw wypryskom skórnym oraz jako roślina dekoracyjna.

<sup>42</sup> Tadeusz Jerzy Stecki herbu Radwan (1838–1888) – historyk, etnograf i pisarz. Uczestnik powstania styczniowego. Autor m.in. *Starego dworu* (1869).

<sup>43</sup> T. J. Stecki, *Wołyni. Pod względem statystycznym, historycznym i archeologicznym*, T. 1, Lwów 1864, s. 106.

<sup>44</sup> Edward Leopold Rulikowski (1825–1900) – polski historyk, archeolog, etnograf, członek Komisji Antropologicznej Akademii Umiejętności w Krakowie, a także członek Komisji Archeograficznej w Kijowie. Syn Józef Kazimierz Rulikowski (1780–1860) – szlachcic, marszałek Sejmu Królestwa Polskiego. Ważniejsze prace: *Opis powiatu wasylkowskiego pod względem historycznym, obyczajowym i statystycznym* (1853), *Daune drogi i szlaki na prawym brzegu Dniepru* (1878), *Zapiski etnograficzne z Ukrainy* (1879).

<sup>45</sup> Antoni Jaksza-Marćinkowski, ps. „A. Nowosielski” – (1823–1880) – krytyk literacki, etnograf, satyryk, tłumacz i powieściopisarz; autor m.in. *Pamiętników kuratora magazynów* (Warszawa 1858), *Lud ukraiński* (Wilno 1857, 2 tomy).

<sup>46</sup> M. Czarnowska, *Zabytki mitologii sławiańskiej w zwyczajach wiejskiego ludu na Białej Rusi dochowywane*, „Dziennik Wiktoriański” 1817, T.6, nr 34, s. 400.

<sup>47</sup> Eustachy Tyszkiewicz (1814–1873) – archeolog, historyk, kolekcjoner, badacz pradziejów ziem białoruskich i litewskich, działacz społeczny. Konstanty Tyszkiewicz (1806–1868) – habiaba, archeolog i krajoznawca; badacz pradziejów Litwy i południowej Rusi.

<sup>48</sup> E. Tyszkiewicz, *Opisanie powiatu Borysowskiego: pod względem statystycznym, geognostycznym, historycznym, gospodarczym, przemysłowo-handlowym i lekarskim: z dodaniem wiadomości: o obyczajach, śpiewach, przysłowiaach i ubiorach ludu, gusłach, zabobnach i.t.d.*, Wilno 1847.

<sup>49</sup> Łukasz Gołębiowski (1773–1849) – jeden z pierwszych polskich etnografów (badacz tzw. starożytności sławiańskich oraz zwyczajów i obyczajów ludu polskiego), powstaniec kościuszkowski, historyk, bibliotekarz, tłumacz, pamiętnikarz i opiekun zbiorów Biblioteki Poryckiej, członek Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Autor pracy *Lud Polski: jego zwyczaje, zabobony*, Warszawa 1830.

<sup>50</sup> Ł. Gołębiowski, *Gry i zabawy różnych stanów, w kraju całym lub niektórych tylko prowincjach*, Warszawa 1831.

<sup>51</sup> K. W. Wójcicki, *Pieśni ludu...*, dz. cyt., s. 200.

<sup>52</sup> Tamże, s. 201.

<sup>53</sup> Józef Jaroszewicz (1793–1860) – prawnik z wykształcenia. Z zamiłowania historyk i etnograf zajmujący się systematycznymi badaniami nad dziejami Wielkiego Księstwa Litewskiego. Swe liczne prace publikował w ówczesnych periodykach – min. „Dzienniku Warszawskim”, „Zniczu”, „Bibliotece Warszawskiej”, „Birucie”, „Athenaeum”, „Tygodniku Petersburskim”. Najgruntowniejszym dziełem Jaroszewicza był trzytomowy *Obraz Litwy pod względem jej cywilizacji od czasów najdawniejszych do końca XVIII w.*, wydany w Wilnie w 1844–45 r.

<sup>54</sup> J. Jaroszewicz, *Wiadomość o Kupalnicach na Podlasiu*, „Ondyna Dnuskienickich Żródeł. Pismo zbiorowe”, Grodno 1846, zeszyt 1, s. 7–23.

<sup>55</sup> Bielsk – chodzi o Bielsk Podlaski, miasto na Podlasiu, położone na Równinie Bielskiej, nad rzeką Białą, od 1843 roku wchodzące w skład guberni grodzieńskiej, współcześnie – województwo podlaskie.

<sup>56</sup> Orla – dawny ośrodek dóbr Radziwiłłów. Obecnie wieś położona w województwie podlaskim, w powiecie bielskim, w gminie Orla.

<sup>57</sup> Kleszczele – miasto w województwie podlaskim, w powiecie hajnowskim, nad rzeką Nurzec, położone przy granicy z Białorusią. Siedziba gminy miejsko-wiejskiej Kleszczele. Byłe miasto królewskim Korony Królestwa Polskiego<sup>[2]</sup>. Założone z rozkazu króla Zygmunta I Starego i przez kanclerza i wojewodę Wileńskiego Mikołaja Radziwiłła.

<sup>58</sup> Narewka – gmina wiejska w województwie podlaskim, w powiecie hajnowskim. W latach 1975–1998 gmina położona była w województwie białostockim.

<sup>59</sup> Święto Rosy – litewski odpowiednik Nocy Świętojańskiej, określane najbardziej romantycznym świętem. Obchodzone jest w najkrótszą letnią noc, która przypada na 24–25 czerwca. W obchodach tego święta szczególną uwagę poświęca się wodzie i ziołom mającym wpływ na zdrowie i urodę. To również święto miłości, płodności, słońca i księżycy. Na Litwie jest znana legenda, opowiadająca jak to pierwszej wiosny po stworzeniu świata, Księżyc wziął ślub ze Słońcem. Kiedy Słońce po nocy poślubnej wstało i wzniosło się ponad horyzont, Księżyc je opuścił i zdradził z Jutrzenką. Od tamtej pory oba ciała niebieskie są wrogami, którzy nieustannie ze sobą rywalizują i walczą – najbardziej podczas letniego przesilenia, kiedy noc jest najkrótsza, a dzień najdłuższy.

<sup>60</sup> Latopis-wołyński – jeden ze średniowiecznych kodeksów powstałych na Rusi, zawierający kroniki staroruskie. Latopis-wołyński został doprowadzony do roku 1292 i opisuje wydarzenia na przestrzeni lat 1203–1292.

<sup>61</sup> Jazdów (Ujazdów) – historyczny gród i dwór książąt mazowieckich na terenie obecnej Warszawy (Ujazdów). Najstarszy po grodzie Bródno (IX/X w.), powstał prawdopodobnie w XII lub XIII wieku. Gród został zniszczony podczas najazdu Litwinów i Rusinów w 1262 roku, podczas którego zabito księcia mazowieckiego Siemowita I i porwano jego synka Konrada II. Kolejny raz gród został zniszczony w 1282 roku przez księcia płockiego Bolesława II walczącego z księciem czerskim Konradem II.

<sup>62</sup> Antoni Sosnowski (1775–1852) – duchowny unicki, a następnie prawosławny pochodzenia ruskiego.

<sup>63</sup> Michał Fedorowski (1853–1923) – etnograf i folklorysta amator, badacz białoruskiej kultury ludowej. Przyjaciel i współpracownik Zygmunta Glogera. W latach 1875–1877 przeprowadził pod jego kierunkiem badania w Kieleckiem, owocem których była dwutomowa monografia. Od 1877 przebywał na ziemiach białoruskich, gdzie prowadził intensywne badania folklorystyczne. Zebrane tam materiały są dziś uznawane za podstawowe dla etnografii i folklorystyki białoruskiej. Opublikował m.in. *Lud białoruski na Rusi Litewskiej. Materiały do etnografii sławiańskiej zgromadzone w latach 1877–1905* (T. 1–8), *Lud z okolic Żarek, Siewierza i Pilicy*, Warszawa 1888–1889.

<sup>64</sup> Złotoria – w XIX wieku wieś i folwark leżące nad Narwią w guberni łomżyńskiej, powiecie mazowieckim; obecnie wieś w województwie podlaskim, powiecie białostockim.

<sup>65</sup> Nie udało się zlokalizować źródła cytowanej pieśni. Prawdopodobnie pochodzi ona z prywatnych zapisków Zygmunta Glogera.

<sup>66</sup> Kropiewnica-Racibory – wieś położona w województwie podlaskim, w powiecie wysokomazowieckim, w gm inie Kobylin-Borzmy. *Słownik geograficzny Królestwa Polskiego* pod koniec XIX w. wymienia: *Kropiwnicę-Gajki, Kiemozki i Racibory* jako wsie szlacheckie w powiecie *mazowieckim*, gmina Kowalewsczyzna, parafia *Kobylin*.

<sup>67</sup> Wnory (Stare Wnory) – wieś nad rzeką Rokitnicą, w XIX wieku położona w guberni łomżyńskiej, powiecie mazowieckim; obecnie wieś w województwie podlaskim, powiecie wysokomazowieckim.

<sup>68</sup> Grodzkie – zapewne chodzi o Stare Grodzkie – w XIX wieku wieś w guberni łomżyńskiej, powiecie mazowieckim; obecnie w województwie podlaskim, powiecie wysokomazowieckim.

<sup>69</sup> Zob. Z. Gloger, *Dawne grodzisko pod wsiami Wnory i Grodzkie (w Tykońskim)*, „Tygodnik Ilustrowany” 1873, nr 295.

<sup>70</sup> Żale – położone na Podlasiu, na północny wschód od grodziska (W pobliżu wsi Stare Grodzkie nad rzeką Rokitnicą, dopływem Śliny) cmentarzysko z grobami w obstawie kamiennej.

<sup>71</sup> Chlebiotki – położona w województwie mazowieckim, w powiecie nowodworskim, w gminie Nasielsk.

<sup>72</sup> Mężenin – w XIX wieku wieś położona w guberni łomżyńskiej, powiecie łomżyńskim; obecnie w województwie podlaskim, powiecie zambrowskim.

<sup>73</sup> Wizna – była miastem królewskim Korony Królestwa Polskiego. Współcześnie wieś w Polsce położona w województwie podlaskim, w powiecie łomżyńskim, w gm inie Wizna.

<sup>74</sup> O. Kolberg, *Mazowsze*, cz. V, [w:] tegoż. *Dzieła wszystkie*, Tom 28, Wrocław–Poznań 1890, s. 93.

<sup>75</sup> Marcin z Urzędowa (ok. 1500–1573) – ksiądz botanik, lekarz i zielarz. Jako jeden z pierwszych napisał w latach 1543–1553 dzieło, o którym w swoim tekście wspomina Gloger: *Herbarz Polski to jest o przyrodzeniu ziół i drzew rozmaitych i inszych rzeczy do lekarstw należących księgi dwoje*.

<sup>76</sup> Marcin z Urzędowa, *Herbarz polski, to jest o przyrodzeniu ziół i drzew rozmaitych*, drukarnia Łazarzowa, Kraków 1595.

<sup>77</sup> Marcin z Urzędowa, dz. cyt., s. 32; w cytowanym przez Glogera fragmencie pisownia uległa uwspółcześnieniu; zob. i por. dz. cyt., s. 32.

<sup>78</sup> W. Pol, *Pieśni o domu naszym*, dz. cyt., s. 450; w cytowanym przez Glogera fragmencie utworu Pola, w drugiej linijce występuje różnica w zapisie: Gloger podaje: „Czcij dla wielkiej Boga chwały”, natomiast u Pola mamy: „Czci dla wielkiej Boga chwały”; zob. tamże, s. 450.

<sup>79</sup> Elbe – niemieckie określenie na rzekę Łabę, płynącą przez Czechy i Niemcy o długości 1165 kilometrów. Bierze o w Karakonozach, na południe od Łabskiego Szczytu, na wysokości 1387 m n.p.m., w pobliżu polskiej granicy.

<sup>80</sup> Sprewa – rzeka we wschodnich Niemczech (rejon Saksonii i Brandenburgii) o długości 403 kilometrów. Swoje źródła ma na Pogórzu Łużyckim (ok. 430 m n.p.m.).

BIBLIOGRAFIA.  
„KALENDARZ DLA MŁODEGO WIEKU”,  
„Echo” 1880, nr 259, s. 3;  
opublikowano w rubryce „Drobne echa”;  
brak podpisu pod tekstem.

Bibliografia. „Kalendarz dla młodego wieku”. Do liczby kilkudziesięciu kalendarzów drukujących się corocznie w języku polskim przybył w tym roku jeden bardzo pożądany i udatny. Jest nim kalendarz pod powyższym tytułem opracowany przez światłą i doświadczoną nauczycielkę, która nazwiska swego ani liter początkowych położyć na nim nie chciała. Pomysł kalendarza jest prawdziwie szczęśliwy. „Czas to pieniądz”, powiedzieli Amerykanie – my powiedzielibyśmy trochę inaczej: czas jest droższym niż pieniądz, bo strata pieniężna powetowana być może, a w każdym razie jest materialną, gdy czas stracony nie powraca się nigdy, a marnotrawstwo czasu jest wprost niemoralnością. Liczenie się z czasem jest zarówno koniecznym dla wieku późniejszego jak młodzieńczego, którego o wszystkie dni i chwile spożytkowane być powinny dla rozwoju umysłu, serca i ciała. Toteż wychodząc z zasady, że kalendarz jako konieczny pomocnik do licze-

nia czasu znajdować się powinien w liczbie książek każdego dziecka od lat ośmiu, zacna przewodniczka młodzieży stworzyła z niego książkę odpowiednią młodemu wiekowi.

Po właściwej wszystkim kalendarzom części astronomiczno-kościelnej, rozpoczyna część literacką dział poezji, wprowadzie zbyt szczupły, ale z kilku dobranych fragmentów złożony. Stoi tu na czele Wincentego Pola<sup>1</sup> *Złote słowo*, wiersz do młodzieży, dziwnie piękny i na dewizę wydawnictwa odpowiedni, a świadczący, jak wielki poeta jędrnie zapatrywał się na ekonomiczną stronę życia ludzkiego.

Niech praca po ziarnku dokłada do ziarnka,  
 Niech mierzy i liczy i waży,  
 A kiedy poczciwa uzbiera się miarka,  
 Niech miłość tą miarką szafarzy!  
 Wśród burzy żywota, nie wyjdzie bezpieczny  
 Z tej walki, ni wielki, ni mały,  
 Lecz wyjdzie oględny, wytrwale ostrożny,  
 Rozumnie serdeczny i dbały.  
 Więc licz się i z czasem, i z groszem, i z wiekiem itd.<sup>2</sup>

Po poezjach następuje cztery spore i dobrze napisane powiastki, a dalej pouczająca *Wycieczka do Lublina z notatek ucznia gimnazjum*, w której są historyczne wiadomości o grodzie starożytnym i niektóre szczegóły o Kochanowskim, Klonowiczu<sup>3</sup> i Polu. Tego rodzaju opowiadania uważamy za bardzo szczęśliwą formę do popularyzowania krajowej geografii i historii miejscowości. W dalszym ciągu znajdujemy artykuły: *O zmyślności zwierząt*, *Rozmowa ze Stasiem* i *Bój na Kosowym Polu*. W tym ostatnim uderzył nas błąd w pierwszym wierszu popełniony, oto Serbia leży tam „na południe od Rosyi”. Poczet życiorysów zaczyna Jachowicz<sup>4</sup>, po którym następuje August Jeske<sup>5</sup>, Kazimierz Brodziński<sup>6</sup> i *Młodość Kraszewskiego*. Ten ostatni artykuł uważamy także za wyborną formę do zainteresowania młodzieży życiorysami znakomitych ludzi. Po dziale nauk przyrodniczych znajdujemy: rozmaitości, zdarzenia, anegdota historyczne, dowcipy dzieciinne, przysłowia, zdania, myśli, zagadki. Często poruszanie wiadomości historycznych zasługuje na szczególne uznanie. Ze wszystkiego wieje dążność zacna, serdeczna, poczciwa. Toteż kalendarz ze wszech miar młodemu wiekowi polecamy. W zewnętrznej stronie wcale ozdobnego wydawnictwa, obok pięknego druku i papieru uderza dość niedbała korekta.

W tych dniach wyszedł na widok publiczny tomu pierwszego „zeszyt piąty” Encyklopedii wychowawczej<sup>7</sup>.

<sup>1</sup> Wincenty Pol, ps. „Janusz” (1807–1872) – poeta, geograf, kawaler Orderu Virtuti Militari. Pierwsze próby literackie Wincenty Pol czynił w okresie młodzieńczym – romantyczna poezja i proza, inspirowana m.in. dziełami Johanna Wolfganga Goethego, Friedricha Schillera, George’a G. Byrona, Adama Mickiewicza. Najpopularniejszym utworem Pola, poetyckim opisem odwiedzonych przez niego regionów Polski, jest *Pieśń o ziemi naszej* (1843).

<sup>2</sup> W. Pol, *Złote słowo*, [w:] *tegoż, Wincentego Pola dzieła poetyckie*, Tom III, Stanisławów 1903, s. 250. Zygmunt Gloger cytuje tu długą i trzecią, oraz pierwszy wers czwartej strofy wiersza Wincentego Pola.

<sup>3</sup> Chodzi o Sebastiana Fabiana Klonowica (ok. 1545–1602) – poetę i kompozytora, wykładowcę w Akademii Zamojskiej. Stworzył m.in.: *Philtron* (1582) – poemat łaciński, *Roxolania* (1584) – poemat o życiu chłopów na Rusi, *Warek Judaszów to jest zle nabycie majątności* (1600) – rymowany traktat prawniczy.

<sup>4</sup> Chodzi o Stanisława Franciszka Wincentego Rudolfa Jachowicz (1796–1857) – poetę, pedagoga, działacza charytatywnego, czołowego bajkopisarza polski i faktycznego twórcę polskiej literatury dla dzieci. Jego gazety i książki dla dzieci miały nie tylko wychowywać, ale i uczyć: czytania, liczenia, historii. Opublikował m.in.: *Rozmowy mamy z Józją służące za wstęp do wszelkich nauk, a mianowicie do gramatyki, ułożone dla pożytku młodzieży* (1830), *Pisma różne wierszem Stanisława Jachowicza* (1853), *Ćwiczenia pobożne dla dzieci, rozwijające myśli* (1857).

<sup>5</sup> August Adam Jeske (1836–1875) – pedagog i pisarz, znany z cyklu podręczników *ABC, czyli nauka czytania i pisania*.

<sup>6</sup> Kazimierz Brodziński ps.: B.B..., I., K. B., K.B..., K. Uwaga, K. z Kr., (1791 – 1835) – poeta epoki sentymentalizmu, historyk, teoretyk i krytyk literacki, tłumacz, publicysta, uważany za jednego z najwybitniejszych twórców preromantycznych w Polsce. Autor fraszek, poematów i licznych przekładów. Ważniejsze utwory: *Oda w dzień urodzin Napoleona Wielkiego... Dnia 15 sierpnia 1809 roku w Krakowie* (1809), *Piękne sztuki. Scena* (1816), *O klasyczności i romantyczności tudzież o duchu poezji polskiej* (1818).

<sup>7</sup> „Encyklopedia Wychowawcza: Abecadło – Barmicwa” 1881, T. I, wyd. Gebethner i Wolff, Warszawa 1881.

## PRZYCZYNEK DO DZIEJÓW NASZEGO OGRODNICTWA,

„Echo” 1880, nr 263, s. 2;

tekst nie został przypisany konkretnej rubryce;  
podpis pod tekstem: „Z. G.”

Klasztory w pierwszych pięciu wiekach od zaprowadzenia chrześcijaństwa w dawnej Polsce były, jak wiadomo, nie tylko ogniskami życia umysłowego, szkołami i zakładami dobroczynnymi dla całego ogółu okolicznej ludności, ale nadto głównym i jedynym bodźcem i motorem kultury i postępu w kraju naszym. Najważniejszy dziś (obok Kraszewskiego) badacz dziejów cywilizacji naszej, Antoni Małecki<sup>1</sup>, powiada, że każdy klasztor w tej początkowej epoce (rok 1000–1500) bez różnicy, czym się przeważnie trudnił i z jakich pierwiastków się składał, stanowił na całą okolicę potężną dźwignię usiłowań, dzięki którym społeczeństwo surowe, ciemne wchodziło na drogę idealniejszej dążności i postępu. Fundatorzy klasztorów byli tym samym mecenasami oświaty i mieli niepospolite zasługi dla cywilizacji polskiej.

Pomijając to, że w owych wiekach naukami zajmowali się tylko duchowni i że historia ówczesnej naszej cywilizacji jest historią zakonów i duchowieństwa, wiemy, iż między zakonami były i takie, których zadanie, prócz religijnych praktyk, polegało niemal wyłącznie na tym tylko, żeby na przykład zaprowadzić i utrzymywać na wydzielonych sobie obszarach wzorowe gospodarstwo rolne, karczować lasy, osuszać bagna, przeprowadzać drogi, przestrzenie przedtem do niczego niezdatne zamieniać w urodzajną, miodem i mlekiem płynącą okolicę, obsiewać glebę – kulturze dopiero pozyskaną – ziarnem; nieraz jeszcze w kraju nieznanym urządzać na nie coraz nowe osady, z których później nieraz miasta się wytwarzały, zakładać po włościach swoich sady, ogrody, winnice, pielęgnować warzywa, jarzyny, rośliny pastewne, kwiaty, drzewa owocowe wybornego gatunku, o jakich przedtem w całej okolicy mowy nie było, zakładać w obejściu swoim budynki z muru, to jest materiału, który, pierwaj w Polsce prawie nieznanym, w potrzebie mógł się oprzeć i zbrojnej nieprzyjaciół kraju napaści, utrzymywać w tych budynkach najrozmaitsze własne warsztaty rękodzielnicze i tak dalej.

Do takich zakonów należeli Cystersi, którzy posiadali w Polsce piastowskiej 21 opactw i klasztorów męskich i 6 żeńskich, instytucja najprzeciwiejsza dzisiejszym naszym wyobrażeniom, bo pustelnicza, ascetyczna, żyjąca tylko dla ideału wewnętrznej, mniejszej doskonałości, a przecież mimo wszystko w ówczesnych stosunkach niezmiernie pożyteczna dla kraju, któremu wszczepiała wyobrażenia przechodzące poziom jego dawniejszych potrzeb i środków uczynienia im zadość.

Zakonnicy napływający do Polski w wieku XI, XII i XIII z Niemiec, Francji i Włoch, przynosili ze sobą kulturę swoich krajów. Chcąc zbadać, jaka to część dzisiejszych płodów gruntu naszego stanowi naszą własność odwieczną, a co przyswoiliśmy sobie z zagranicy przez ową kulturę klasztorną, musimy uciec się do ich nazw, które w pierwszym wypadku zawierają w sobie pierwiastki mowy starożytnej słowiańskiej, a w drugim są wzięte z mowy tych krajów, z których rośliny przyniesione zostały. Tak więc widzimy, że wszystkie nasze pospolite drzewa, krzewy i zielska mają nazwy swojskie i są też nasze własne. Toż samo rozumieć trzeba i o zbożach, których prawie wszystkie gatunki, z wyjątkiem chyba takich, jak „tatarka”, czyli hreczka<sup>2</sup>, gryka, „kukurydza”, czyli turecka pszenica<sup>3</sup>, „wyka” (*wicke*)<sup>4</sup> i tym podobne, stanowią z dawien dawna nasz własny kult. Za to, co do ogrodowizny, to już ogólna nazwa „włoszczyzny” pokazuje, skąd większą część gatunków jarzyn stołowych do naszego kraju sprowadzono przed wiekami.

Naszymi własnymi warzywami mógł być prędzej jarmurz, rzepa, bób, gorczyca, rzeżucha, koper, czyli kopr (który jest źródłosłowem nazwiska Kopernika)<sup>5</sup>, ćwikła i buraki, brukiew, marchew, dynia i może

czosnek. Lubo brak większej części tych roślin w stanie dzikim naszej flory, także za ich zagranicznym pochodzeniem przemawia. Niezawodnie za to obcego, a mianowicie włoskiego, pochodzenia są następujące: biały groch (zwany niemieckim, szablastym) czyli fasola (*fagiolo*), kapusta (*capuccè*), której nazwę pan Morzycki od kapania rzadkiego bigosu z ust wyprowadza, kalarepa (*cavolo rapa*), kalafior (*cavolo fiore*), sałata (*insalata*), cebula (*cipollo*), selery (*sceleri*), pory (*pori*), pasternak (*pastinaca*), pietruszka (*petrosello*), anyż (*aniso*), kminek (*comino*), kolender (*coriandro*)<sup>6</sup>, karolek (*caro*)<sup>7</sup>, majeran, majeranek (*majorana*), konopie (*cannapa*), szparagi (*sparaga*), karczochy (*carciofo*), szpinak (*spinacci*), melon (*mellone*), pomidory (*pomi d'oro*), nasturcja (*nasturcio*), berberys (*berberi*), lubo ten ostatni krzew dziko u nas rosnący, zwłaszcza nad brzegami Niemna i krajowi naszemu właściwy, musi mieć i swojską jakąś nazwę, której pod ręką nie mamy. Za pośrednictwem Niemców przyszły do nas: ogórki (*gurken*), rzodkiew (*rettig*), redyski (*redicchen*)<sup>8</sup>, chrzan (*krän*), korbal<sup>9</sup> (*kiirbis*) itd.

Podobny stosunek okazałby się także, gdybyśmy zaczęli dociekać, które z kwiatów ogrodowych są nasze własne od wieków, a które przyswojono z zagranicy. Pod względem liczby przeważałby szereg takich, jak stokrotki, bławatki (haber, wasilki)<sup>10</sup>, pierwiosnki (po wielkopolsku kluczyki), słonecznik, gwoździak, rozchodnik, macierzanka, bratek i tym podobne. Ale prawdziwa arystokracja w tym państwie flory, jak róże, centofolie, lilie, rozmaryn i długi szereg podobnych gatunków, są to wszystko przybysze z dalekich krajów, nad Wisłę i Niemen sprowadzone przez zamiłowanych w ogrodnictwie zakonników cudzoziemskich, którzy znajdowali u nas prawdziwie słowiańską gościnność i tak bogate, jak prawie nigdzie w świecie uposażenie klasztorów. Jedną z pobudek do zamiłowania duchowieństwa w kwiatach był poetyczny zwyczaj w Kościele katolickim ubierania nimi świątyni i ołtarzów. Szajnocha przytacza kilka przykładów namiętnego miłośnictwa księży w tym kierunku.

Tak samo rzecz się ma i w sadownictwie, a lubo zastęp prototypowych drzew, takich jak grusza, śliwa, a zwłaszcza jabłoń i wiśnia, wspomniane w najstarszych pieśniach ludu, zaludniał sady pogańskich praojców naszych, to nie podlega wątpliwości, że uszlachetnienie i różnorodność gatunków przynieśli i rozpowszechnili nad Wisłą zakonnicy.

<sup>1</sup> Antoni Małecki (1821–1913) – historyk literatury, historyk-mediewista, językoznawca, filolog klasyczny, heraldyk, dramaturg, rektor Uniwersytetu Lwowskiego, profesor uniwersytetów: Jagiellońskiego, Lwowskiego oraz w Innsbrucku, poseł na Sejm Krajowy Galicji, autor dramatów, licznych prac historycznych i filologicznych, m.in. *Gramatyki historyczno-porównawczej języka polskiego* (Lwów 1879).

<sup>2</sup> Hreczka – regionalnie gryka (roślina uprawna).

<sup>3</sup> Turecka pszenica – dawniej nazwa używana na określenie kukurydzy.

<sup>4</sup> Wyka – roślina zielna występująca na półkuli północnej, w strefie klimatu umiarkowanego. Wiele gatunków to rośliny uprawne, w tym jadalne i pastewne, nieliczne uprawiane są jako rośliny ozdobne. Do gatunków o największym znaczeniu należą bób (wyka bób).

<sup>5</sup> Poczyniona przez Zygmunta Glogera uwaga, jakoby etymologia nazwiska Kopernik związana była z nazwą kopru jest mało prawdopodobna. Badania prowadzone nad pochodzeniem nazwiska polskiego astronoma zwracają uwagę na pogląd, że nazwisko rodziny astronoma pochodzi od wsi tej nazwy (Koperniki) położonej na Śląsku środkowym. Wielu badaczy pochodzenie nazwiska wywodzi również od pracy rzemieślniczej; nazwisko „Kopernik”, podobnie jak przytoczona nazwa wsi były utworzone od funkcjonującego wówczas na Śląsku określenia zawodu – kopernik to hutnik, który zajmował się wydobywaniem i wytopem miedzi.

<sup>6</sup> Kolendra (z łac. *Coriandrum*) – roślina z rodziny selerowatych o zastosowaniu kulinarnym. Kolendrę stosuje się również często jako przybranie do potraw. Suszone owoce kolendry (często nazywane „nasionami”) zazwyczaj stosowane są w postaci zmielonej jako przyprawa.

<sup>7</sup> Karolek (z łac. *caro*) – roślina z rodziny baldaszkowatych znana jako kminek zwyczajny.

<sup>8</sup> Redyki – gwarowe określenie poznańskiego rzodkiew.

<sup>9</sup> Korbal – w gwarze poznańskiej dynia.

<sup>10</sup> Chaber bławatek – jednoroczna roślina z rodziny złożonych występująca w Europie jako pospolity chwast pól uprawnych.

„BIBLIOTECZKA LUDOWA”,  
 „Echo” 1880, nr 272, s. 2-3;  
 artykuł ukazał się jako recenzja serii  
 „Biblioteczka Ludowa” Zygmunta Glogera;  
 podpis pod tekstem: „Wł. P.”

Przed trzema laty ukazały się: *572 krakowiaki zebrane z ust ludu i źródeł drukowanych przez Z. Glogera*<sup>1</sup>. Książeczka ta, szybko w handlu wyczerpana, dała początek innemu wydawnictwu, które pod tytułem „Biblioteczki Ludowej”<sup>2</sup> przedsięwzięła firma Gebethnera i Wolffa<sup>3</sup>. Poczet tej „Biblioteczki” rozpoczęły *Starodawne dumy i pieśni*<sup>4</sup>. Książka o 152 stronicach obejmuje sto kilkanaście klejnotów poezji starodawnej gminnej, a właściwie narodowej, bo, jak słusznie powiedziała „Biblioteka Warszawska”<sup>5</sup>, nic nie może być więcej narodowego nad płody umysłu, który nie wykarmił się ani na literaturze starożytnej Grecji i Rzymu, ani wzorach późniejszych zagranicznych, ale z krwi i kości jest duchem żywiołu miejscowego.

Druga książeczka obejmuje pomnożone wydanie *Krakowiaków*<sup>6</sup>, których znajdujemy w niej 657. Dlaczego nie *tysiąc?* – ktoś zapytać może, kiedy wychodzące we Lwowie, Krakowie, Bochni, Wadowicach i tak dalej, zbiory krakowiaków po tysiąc ich drukują. Otóż trzeba wiedzieć, że wszystkie tamte wydania są tylko aglomeratem<sup>7</sup> wierszy karmelkowych i conceptów garderobianych<sup>8</sup> bez żadnej poważniejszej myśli i najmniejszej krytyki, wydanych nakładem trzeciorzędnych firm. Takich wierszydeł można zebrać łatwo i nowych naklecić choćby dwa tysiące. W Warszawie takie krakowiaki wydawał dotąd Rozbicki<sup>9</sup> i pewien antykwariusz. Tymczasem jednym z wielu poczciwych celów „Biblioteczki Ludowej” jest zrobienie reformy na tej drodze. *Krakowiaki* wchodzące w jej poczet są pierwszym zbiorem wybranym krytycznie pod względem treści i języka, tak wprost z ust ludu krakowskiego, jak z naukowych dzieł etnograficznych. Nie chodziło tu więc o liczbę i dlatego wypadła ona nieparzysta i nieokragła.

Trzecia książeczka<sup>10</sup> mieści w sobie *kujawiaki, mazurki, wyrwasy i dumki pomniejsze w liczbie 180*. Czwarta zawiera dwanaście *Baśni i powieści moralnych*<sup>11</sup>, wybranych przez p. Glogera z całej masy, która bądz krążyła w ustach ludu bądz w zbiorach dawniejszych się przechowała.

Piątą i ostatnią z wydanych książeczek „Biblioteczki Ludowej” są *Gody weselne 394 pieśni i śpiewek weselnych polskich z ust ludu i źródeł etnograficznych drukowanych, zebrał Z. Gloger, Warszawa 1880*. Słusznie o naszych godach weselnych powiedział w swoim studium nad powyższymi pieśniami pan K. Łuczycycki<sup>12</sup>, że są one ustępem z wielkiego dramatu w 394 odsłonach. Duch i treść tych pieśni wywiera na czytelniku głębsze i ożywcze wrażenie, w nich bowiem maluje się naród ze wszystkimi pojęciami etycznomoralnymi, na których wyciśnięte są najcharakterystyczniejsze piętna jego indywidualności. Wysoko etyczną, a zarazem i poetyczną wartością tych pieśni jest już to, że kobiecie wydzielono tutaj pierwszorzędne stanowisko i ona jest bohaterką owego dramatu.

„Biblioteczka Ludowa” opracowywana jest przez Zygmunta Glogera w kilku celach: najprzód ma być treściwym wyborem tego ogromnego materiału, który pod nazwą literatury ludu samorodnej bądz spoczał w mnóstwie dzieł i artykułów etnograficznych dla ogółu nieprzystępnych, bądz żyje jeszcze wśród ludu coraz więcej przez ten lud zapominamy, a przez mędrków wioskowych pomiatany. Biblioteczka więc dla ludzi oświeconych jest podręcznikiem literatury ludu, a dla ludu skarbnicą i strażnicą w dziedzinie czystych i niepokalanych swojskich podstaw jego ducha. Lud bowiem ujrzy w niej sumę własnych pojęć estetycznych, a rodzimych, z krwi i kości słowiańskich; czysty język starodawny i całą własną poezję. To też słusznie „Biblioteka Warszawska” wyraziła się, że dziś właśnie kiedy chodzi o uczciwe, powszechne zasłonienia ludu przed paczącymi się srodze pojęciami o moralności, o prawie własności i przyrodzonych stosunkach



społecznych, kiedy węzły rodzinne słabną, „Biblioteczka Ludowa” jako pokarm swojski, zdrowy, nawracający umysł ku pojęciom estetycznym, ku czystej, zacnej uczuciowości serca i starej miłości Boga i ludzi, spełnić może zacne, ważne zadanie obywatelskie.

Dotychczasowa literatura ludowa pisana przez literatów dla ludu odznaczała się w ogóle duchem zawnym, moralnym, obywatelskim, ale mało była ożywiona serdecznym ciepłem i głębszą znajomością tajemnic życia ludu. Więcej moralizowała, niż ogrzewała, więcej nauczała, niż pociągała. Pod tym wpływem jednostronnym, gdzie on dosięgnął, zauważyliśmy dziwny objaw. Dzieci stawały się moralniejsze, ale zarazem jakieś sztywne i z góry patrzące na dawne zwyczaje domowe, stare pieśni, podania, przysłowia itd. Był to nader ważny powód, dla którego p. Gloger wprowadził do drukowanej literatury ludu całą skarbnicę jego własnych klejnotów, które u młodego pokolenia jako rzeczy drukiem pominięte szły zapomniane w poniewierkę, pogardę i na śmiecie.

Oprócz pięciu książeczek, które wyszły, mają dopełnić „Biblioteczkę Ludową” podobno jeszcze dwie obejmujące gry i zabawy, niektóre zwyczaje, fraszki, zagadki i przypowiadki żartobliwe<sup>13</sup>. Wszystkie sprzedają się oddzielnie, a służyć mogą za najlepszy dla czeladzi i ludu podarek kolendowy.

<sup>1</sup> Z. Gloger, *Krakowiaki, 573 śpiewek, ze źródeł drukowanych i z ust ludu zebrał Zygmunt Gloger*, nakł. Jana Noskowskiego, Warszawa 1877.

<sup>2</sup> „Biblioteczka Ludowa” – Zygmunt Gloger, pragnąc spopularyzować repertuar ludowych pieśni, tańców, baśni, zwyczajów, zagadek i zabaw, postanowił przygotować siedem popularyzujących go, niskobudżetowych tomów, wydanych w ramach serii zatytułowanej „Biblioteczka Ludowa”. Ukazały się kolejno: *Starodawne dumy i pieśni* (1877), *573 Krakowiaki* (1877), *Kujawiaki, mazurki, wyrwasy i dumki pomniejszych* (1879), *Baśnie i opowiesci* (1879), *Gody weselne* (1880), *Zwyczaje doroczne* (1882), *Zabawy, gry, zagadki, żarty i przypowiesci* (1885–1886).

<sup>3</sup> Gebethner i Wolff – założone w 1857 przez Gustawa Adolfa Gebethnera i Augusta Roberta Wolffa przy Krakowskim Przedmieściu w Warszawie przedsiębiorstwo wydawnicze i księgarskie. Istniało do 1950 po czym jego likwidacji dokonały władze komunistyczne. Przedsiębiorstwo wydawało przede wszystkim klasykę literatury polskiej i czasopisma.

<sup>4</sup> Z. Gloger, *Starodawne dumy i pieśni zebrał Zygmunt Gloger*, nakł. Księgarni Gebethnera i Wolffa, druk K. Kowalewskiego, Warszawa 1877, w 16-ce malej, str. III i 152.

<sup>5</sup> „Biblioteka Warszawska” – drukowany i wydawany w Warszawie miesięcznik literacko-naukowy poświęcony naukom, sztukom i przemysłowi. Przeznaczony dla szerszych kręgów czytelnicy; główni redaktorzy: Antoni Szabaniński (1841–1842), Kazimierz Władysław Woycicki (1843–1844 oraz 1850–1879), Józef Kazimierz Plebański (1880–1890), Józef Weysenhoff (1891–1896) i Adam Krasiński (1901–1909); wydawca Stanisław Jan Stąbski (do 1848 roku); do stałych współpracowników czasopisma należeli między innymi: Aleksander Brückner, Władysław Bogusławski, Piotr Chmielowski, Tadeusz Korzon, Edmund Chojecki, a także Henryk Struve; do roku 1876 (założenie „Ateneum”) miesięcznik ten stanowił jedyny periodyk ogólnonaukowy.

<sup>6</sup> Z. Gloger, *Krakowiaki, 657 śpiewek ze źródeł etnograficznych i własnych notat zebrał Zygmunt Gloger*, wydanie drugie pomnożone (Biblioteczka ludowa) nakładem Gebethnera i Wolffa, druk J. Ungra, Warszawa 1879.

<sup>7</sup> Aglomerat – zlepek, zbiór.

<sup>8</sup> Wiersze karmelkowe; koncepty garderobiane – pejoratywne, krytyczne i uszczypliwe określenia na twórczość np. poetycką; utwory pełne egzaltacji, powierzchowności; grafomanie.

<sup>9</sup> Soter Antoni Rozbici hr. Rozmiar (1823–1876) – humorysta i facecjonista powszechnie uważany za grafomana. Pracował m.in. jako kancelista, a także właściciel kawiarni, w której czytał swoje wiersze. Jego twórczość charakteryzuje absurd i nonsens. Autor *Kraina wesołości* (1846), *Spiwy ulubione humorystyczne* (1856). Na temat Sotera Rozbickiego zob. J. Tuwim, J. Dunin, *Życie i sprawy Sotera Rozbickiego, ulubionego trubadura Warszawy i Obywateli Jarmarkowych obdarzonego mianem króla grafomanów polskich, który sam zwał się Pacjentem Filozofii, nieporównanego autora bajek i piosenek...*, Łódź 1980.

<sup>10</sup> Z. Gloger, *Kujawiaki, mazurki, wyrwasy i dumki pomniejszych, ze źródeł etnograficznych i własnych notat zebrał Zygmunt Gloger*, (Biblioteczka ludowa), nakł. Gebethnera i Wolffa, druk J. Ungra, Warszawa 1879.

<sup>11</sup> Z. Gloger, *Baśnie i powiesci, ze etnograficznych i własnych notat zebrał Zygmunt Gloger*, (Biblioteczka ludowa) nakł. Gebethnera i Wolffa, druk J. Ungra, Warszawa 1879.

<sup>12</sup> Zob. K. Łuczycycki, *Gody weselne*, [w:] „Gazeta Warszawska” 1880, nr 239, s. 1; nie udało się ustalić tożsamości autora ani odnaleźć informacji na temat jego osoby.

<sup>13</sup> Wspomniane opracowania zagadek, gier, zabaw i przypowiadek nie ukazały się w ramach „Biblioteczki Ludowej” lecz jako osobne artykuły w czasopismach lub publikacjach książkowych, zob. Z. Gloger, *Skarbczyk. Zabawy, gry, zagadki, żarty i przypowiesci z ust ludu i ze starych książek zebrał Zygmunt Gloger*, Warszawa 1891; *Dawne rebusy i zagadki*, „Przegląd Bibliograficzno-Archeologiczny” 1882, t. III; *Zagadki ludowe znad Narwi i Buga, na pograniczu Mazowsza z Podlasiem, w latach 1865–1880*, „Zbiór wiadomości do antropologii krajowej” 1883, Tom VII; *Ze starych szpargatów ś.p. Karola Antoniego Żery. Fraszki i opowiadania. Wypisał Zygmunt Gloger*, Warszawa 1893.

## SPOD CHOTYŁOWA,

„Echo” 1880, nr 287, s. 3;

tekst ukazał się w rubryce „Drobne echa”;

podpis pod tekstem: „G”.

Spod Chotyłowa<sup>1</sup> piszą do nas:

Kto przejeżdżał Koleją Terespolską<sup>2</sup>, przypomni sobie, że pomiędzy Białą Radziwiłłowską<sup>3</sup> a Terespo-lem<sup>4</sup> istnieje stacja Chotyłów. Kto zaś wysiadał lub wsiadał w Chotyłowie, wie o tym jeszcze lepiej, że na dworcu kolejowym chotyłowskim nie było nigdy oddzielnego pokoju dla pasażerów, którego brak tym więcej czuć się dawał, że w okolicy znajduje się dosyć dworców i porządniejszego towarzystwa. Brak porządniejszego pokoju dla kobiet i surdutowej publiczności nie można powiedzieć, żeby nie przynosił pewnych korzyści. Naprzód tedy zacofanym mieszkańcom zakątka podlaskiego dawał wyobrażenie o dziewiczych okolicach środkowej Ameryki, gdzie wagony i dworce kolejowe, gwoli czystości zasad demokratycznych, są obrzydliwie brudne, bo nie dzielą się na klasy. Dalej, dawał wyborną sposobność do studiów etnograficznych nad ludem, z którym obcowało się w jednej Sali, i do studiów lingwistycznych nad żargonem Żydów piszczackich<sup>5</sup>. Zoologowie mieli tu także gotowe pole badań, a chorzy na piersi, w każdym razie bezpłatną kurację ściśnionym powietrzem.

Niestety, zarząd Drogi Terespolskiej po czternastu latach namysłu postanowił pozbawić inteligencję okoliczną tych wszystkich dobrodziejstw i korzyści, urządzając oddzielny pokój dla pasażerów 1 i 2 klasy. Jakoż w pokoju na ten cel przeznaczonym postawiono jeszcze w lecie *dwa stolki*. Gdyby choć stółek i kanapkę, to byłaby nadzieja, że z czasem pomnoży się ten inwentarz meblowy. Ale dwa stoliki stoją w kącie smutne i osierocone, oczekując od pół roku na zapowiedziane przybycie całego towarzystwa mebli. Meble przybędą niezawodnie, ale chyba wiezione są z innej planety jakiej, bo na ziemi nie ma tak odległego punktu, z którego by nie można w tym czasie dostarczyć kilku sprzętów.

Tymczasem więc, jak słyszeliśmy, kilku obywateli spod Chotyłowa, lękając się, aby na meble nie trzeba było czekać drugie lat czternaście (jak na pokój pasażerski) zamierzyło *pro publico bono* umeblować gościnną izbę, nadsyłając każdy po jakimś sprzęcie: ten da stół, ów kanapę, inny umywalnię lub miednicę, a tamten znowu co innego. Będzie to i w dobrym tonie, bo teraz w wielkim świecie jest modą mieć każdy grat z innej wsi. Wynikną też stąd korzyści wielorakie: rozmaitość zabaw oko i rozerwie nudy oczekujących na pociąg. Turysta i archeolog znajdzie wdzięczne pole do badań, pozna gusta okolicznych mieszkańców i porówna epoki różne i materiały. Statysta wyciągnie wnioski dla społeczeństwa. Nowy stółek zobaczy w starym swoją przyszłość, a stary przypomni sobie lata młodociane. Antropolog, wymierzwszy wklęsłość starych poduszek, oceni objętość ciała minionych pokoleń. I wszyscy będą zadowoleni, a najbardziej Kolej Terespolska, która już nie będzie potrzebowała sprowadzać mebli do Chotyłowa.

<sup>1</sup> Chotyłów – *Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego* wskazuje Chotyłów jako folwark w powiecie białskim, gminie Piszczac, parafii Piszczac. Pod koniec XIX wieku było w nim 13 domostw i 137 mieszkańców, a obszar liczył 1055 morg o położeniu płaskim z glebami pierwszej klasy. Obecnie wieś położona nad rzeką Lutnią, w województwie lubelskim, w powiecie białskim, w gminie Piszczac.

<sup>2</sup> Kolej Warszawsko-Terespolska – otwarta w 1866 jako trzecia linia kolejowa na ziemiach ówczesnego Królestwa Polskiego (po Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej i Warszawsko-Petersburskiej). Łączyła Warszawę z Terespołem (miasto w powiecie lubelskim, na granicy z Białorusią).

<sup>3</sup> Biała Radziwiłłowska – dawna nazwa Białej Podlaskiej, miasta w województwie lubelskim; w I Rzeczypospolitej znajdowała się w województwie brzesko-litewskim; w czasach Glogera – miasto powiatowe guberni siedleckiej.

<sup>4</sup> Terespol – miasto i gmina w województwie lubelskim, w powiecie bialskim; miasto nadgraniczne położone nad Bugiem, w polskiej części Polesia Brzeskiego.

<sup>5</sup> Żydzi piszczaccy – społeczność żydowska żyjąca we wsi Piszczac, położonej na szlaku handlowym z Brześcia Litewskiego do Lublina. W I połowie XIX w. liczba Żydów w Piszczacu wynosiła 495 osób. Zamieszkiwali głównie centrum osady. Utrzymywali się z drobnego handlu i rzemiosła. W mieście działało też kilku żydowskich przedsiębiorców, zajmujących się handlem zbożem na skalę regionalną. Na początku lat 20. XX w. Żydzi stanowili około 36% mieszkańców Piszczaca.

21

W SPRAWIE KONGRESU  
ARCHEOLOGICZNEGO W KRAKOWIE,  
„Echo” 1880, nr 288, s. 3;  
tekst ukazał się w rubryce „Drobne echa”;  
brak podpisu pod tekstem.

Na kongresie archeologiczno-antropologicznym, który odbył się roku 1876 w Peszcie<sup>1</sup>, gdy przyszło do oznaczenia miejscowości następnego zjazdu, który zwykle co lat trzy powtarza się, oczy wszystkich zwrócone były na Kraków. Niektórzy członkowie Akademii Umiejętności życzyli sobie tego bardzo, obliczono kosztta urządzenia wystawy i zjazdu peszteńskiego na 12 000 złotych reńskich, a wydział krajowy lwowski przyrzekł w razie przyjsia zamiaru do skutku udzielić 10 000 złotych reńskich. Kwestia więc materialna nie stała na zawadzie, ale stanęły inne okoliczności wskutek których, pomimo ogólnego życzenia uczonych cudzoziemskich, aby się zjechać w Krakowie, komitet kongresowy zmuszony był przyjąć zaproszenie rządu portugalskiego do Lizbony na rok 1880.

Zjazd Lizboński<sup>2</sup>, jak wiadomo odbył się już we wrześniu i znowu przy wybraniu przyszłej miejscowości zebrania na rok 1883 oczy wszystkich zwróciły się na Kraków. Ale niestety, Akademia Krakowska nie miała na ostatnim kongresie swego reprezentanta i nie było z kim porozumieć się w tym względzie. Rząd włoski zaprosił kongres do Mediolanu, ale zaproszenie to zostało tylko o tyle przyjętym, o ile nie przyjdzie do skutku zjazd w Krakowie.

Że Kraków jest niezmiernie dogodnym i odpowiednim punktem dla kongresu starożytniczego, o tym wiedzą wszyscy. Posiada akademię nauk i dwa bogate muzea starożytności, mnóstwo zabytków archeologicznych w swych murach, a w okolicy ciekawe pieczary troglodytów<sup>3</sup> i olbrzymie stare mogiły. Kraków ma bogate biblioteki i wyborne miejscowości do robienia wycieczek w okolicę, na przykład Ojców<sup>4</sup>, Wieliczka<sup>5</sup> i tym podobne.

Chwila więc obecna jest bardzo ważną. Wszyscy ludzie miłujący dobro nauki zrozumieć ją powinni i zjednoczyć swoje usiłowania, wszystkie pisma poprzeć myśl i zamiar niepospolitej doniosłości. Obawa kosztów nie gra tu żadnej roli – są one bardzo skromne. Uczeni nie lubią zbytków i fajerwerków. Skoro przed laty czterema dawano źródło na te kosztta, dziś nie ma się o co troszczyć, jeżeli stroną materialną zaopiekuje się członek akademii krakowskiej i zarazem minister skarbu Dunajewski<sup>6</sup>. Przede wszystkim leży obowiązek na czcigodnym doktorze Mejerze<sup>7</sup>, który jako prezes akademii i członek izby panów w Wiedniu z łatwością wyjedna, że rząd austriacki w porozumieniu z akademią wyśle zaproszenie do komitetu kongresowego, czego właśnie komitet ten, jak to wiemy z dobrego źródła, oczekiwać czas jakiś będzie, dopóki w ostateczności nie zostanie zmuszony przyjąć zaproszenia do Mediolanu. O ile świat uczony Zachodu jest prawdziwie życzliwym dla Krakowa, o tyle lekceważenie tych jego sympatii byłoby prawdziwie haniebnym.

<sup>1</sup> Peszt – wschodnia, głównie mieszkalna część Budapesztu, zajmująca około 2/3 terytorium całego miasta. Peszt położony jest na lewym brzegu rzeki Dunaj, stanowiącą granicę pomiędzy Budą a Pesztem. Peszt był przez długie wieki niezależnym, samodzielnym miastem. Znaczącym krokiem do połączenia go z Budą było zbudowanie w 1849 pierwszego stałego mostu łańcuchowego łączącego te dwie miejscowości. W 1873 doszło do oficjalnego połączenia obu miast. W dniach 4-11 września w Peszcie odbywał się wspomniany w tekście Międzynarodowy Kongres Antropologiczny i przedhistoryczny-archeologiczny. Posiedzenie odbywało się w gmachu Muzeum Narodowego w sali posiedzeń Izby Magnackiej. Wiceprzewodniczącym Kongresu był polski profesor Józef Łepkowski (1826–1894) – archeolog i historyk, filozof, działacz społeczny, rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego. Jednym z reprezentantów Polski na Kongresie w Peszcie był Jan Nepomucen Sadowski (1814–1897) – archeolog, etnograf i dziennikarz, który opublikował sprawozdanie z przebiegu obiad; zob. *Sprawozdanie z posiedzeń kongresu antropologiczno-archeologicznego w Peszcie*, „Rozprawy i Sprawozdania z Posiedzeń Wydziału Historyczno-Filozoficznego Akademii Umiejętności” 1877, t. VI, Dodatek, s. I–XXVI.

<sup>2</sup> Zjazd Lizboński – dziewiąty Międzynarodowy Kongres Antropologiczny i Przedhistoryczny-archeologiczny, który odbył się jesienią w Lizbonie w 1880 roku. Kongres poświęcony był zagadnieniu istnienia człowieka w trzeciorzędzie. Polskimi uczestnikami byli: Adolf Pawiński (1840–1896) – historyk, archiwista, docent Szkoły Głównej Warszawskiej i profesor historii powszechnej Cesarskiego Uniwersytetu Warszawskiego. Członek Akademii Umiejętności. W 1876 roku został członkiem Moskiewskiego Towarzystwa Archeologicznego; Jan Zawisza (1822–1887) – archeolog amator, który jako jeden z pierwszych badał i opisywał jaskinie znajdujące się w okolicach rodzinnego Ojcowa. Autor pracy *Poszukiwania archeologiczne w Polsce: 1877, 1878, 1879*, Warszawa 1879.

<sup>3</sup> Troglodyta – człowiek jaskiniowy; ograniczony, nieokrzesany.

<sup>4</sup> Ojców – wieś położona w województwie małopolskim, w powiecie krakowskim, w gminie Skała. Znajduje się na terenie Wyżyny Krakowsko-Częstochowskiej, w Dolinie Prądnika, na Szlaku Orlich Gniazd.

<sup>5</sup> Wieliczka – miasto położone w środkowej części województwie małopolskim, w powiecie wielickim. Miejscowość rozwijała się od XIII w. jako ośrodek wydobywczy – kopalnia soli. Obecnie pełni funkcję turystyczną.

<sup>6</sup> Julian Antoni Dunajewski (1821–1907) – ekonomista polski, profesor i rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego, działacz państwowy. W latach: 1880–1891 minister skarbu Austrii. Zajmował się teorią budżetu państwowego, finansami, myślą ekonomiczną w dobie Odrodzenia oraz prawem administracyjnym. Opublikował: *Wykład ekonomii politycznej* (1935), *Ziemia i kredyt. Studjum ekonomiczne* (1869), *Mowy* (1914).

<sup>7</sup> Józef Mejer (1808–1899) – polski lekarz, przyrodnik, antropolog, profesor i rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego, prezes Towarzystwa Naukowego Krakowskiego, pierwszy prezes Akademii Umiejętności w Krakowie. Jego zainteresowania naukowe obejmowały przede wszystkim antropologię i fizjologię. Jako pierwszy wykładał w Polsce antropologię. Ogłosił szereg prac naukowych, także z przyrodoznawstwa: *Charakterystyka fizyczna ludności galicyjskiej* (1877, z Izydorem Kopernickim), *Literatura fizjografii ziemi polskiej* (1862), *Przegląd potworów rybich* (1841).

## 22

### PAMIĄTKI PO CZARNIECKIM,

„Echo” 1880, nr 289, s. 2;

tekst ukazał się jako oddzielny artykuł,

podpis pod tekstem: „Ks. War.”

Zbliżająca się w styczniu dwóchsetna szesnasta rocznica zgonu nieśmiertelnego bohatera spod Monasterzysk<sup>1</sup>, Warkł<sup>2</sup>, Chojnic<sup>3</sup>, Połonki<sup>4</sup>, wyspy Alsen<sup>5</sup> i setki innych miejsc nasunęła nam pod pióro podanie wiadomości o niektórych pamiątkach, przechowujących się w kraju naszym po mężu, który stał się wielkim „nie z soli ani z roli, lecz z tego, co boli”<sup>6</sup>, to jest z serca i krwi przelanej.

Bóg odmówił Czarnieckiemu syna. Oręż jego okrył się tak wielką sławą, że żaden wnuk po mieczu nie dźwignąłby go z równym zaszczytem, byłby tylko karłem wobec wielkiego ojca lub dziada. A więc może i lepiej, że krew przeszła na kądziel, na niewiastę, która jako kapłanka przy ognisku cnót pradziadowych, nieporównanej świętości wzorem być zdołała.

Stefan Czarniecki z żony swojej Zofii Kobierzyckiej [ok. 1620–1671]<sup>7</sup> miał dwie córki: Aleksandrę Katarzynę, która poszła za Jana Klemensa Branickiego<sup>8</sup>, marszałka nadwornego koronnego z czasów króla Jana Kazimierza i Konstancję, która poślubiła Opalińskiego<sup>9</sup>, wojewodę podlaskiego. Pierwsza wniosła w dom Branickich starostwo tykocińskie z Białymstokiem, darowane Czarnieckiemu na dziedzictwo przez Rzeczpospolitą, i dlatego Jaksowie, czyli Gryfowie Branicy, którzy byli najstarszą rodziną historyczną w Krakowskim, przenieśli się odtąd na Podlasie, gdzie do zupełnego wygaśnięcia linii męskiej trzy pokolenia ich mieszało, a mianowicie zięć Czarnieckiego, Jan Klemens, syn tego Jana, noszący imię bohaterskiego dziada, Stefan<sup>10</sup>, wojewoda podlaski i prawnuk Czarnieckiego, znowu Jan Klemens<sup>11</sup>, hetman wielki koronny, a pierwaj kasztelan krakowski i stąd zwany „panem krakowskim”, ożeniony w starości z Izabellą Poniatowską<sup>12</sup>, siostrą króla, a zmarły bezpotomnie w czasach konfederacji barskiej.

Ten ostatni Jaksów Branickich potomek mieczowy wystawił pradziadowi swemu po kądzieli w latach 1752–1761 (bliższej daty nie mamy) w Tykocinie piękny pomnik na obszernym placu przed okazałym kościołem, także przez siebie fundowanym<sup>13</sup>.

Przez zamążpójście Aleksandry Czarnieckiej za Branickiego wraz z Tykocinem dostały się Branickim i pamiętki po wojowniku, który cudami niezrównanej waleczności rozsławił po całej Europie imię swoje. W liczbie tych relikwii, którymi się skarbiec białostocki szczycił, dominowały: nalewka i czara przez króla duńskiego Fryderyka III za oswobodzenie kilku prowincji duńskich od Szwedów Czarnieckiemu w upominku dane, tudzież srebra domowe Karola Gustawa, które Czarniecki na królu szwedzkim zdobył.

Pamiętki powyższe po wygaśnięciu domu Branickich dostały się drogą spadku, wraz z dobrami tykocińskimi Potockim z linii tak zwanej prymasowskiej, a mianowicie panu Piotrowi<sup>14</sup>, staroście szczyrzeckiemu i synom jego Janowi<sup>15</sup> i Feliksowi<sup>16</sup>. Feliks Potocki posiadał srebra króla szwedzkiego, a Jan dary króla duńskiego.

Czcigodny miłośnik pamiętek narodowych, Eustachy hrabia Tyszkiewicz<sup>17</sup>, chcąc uczcić niejako dwóchsetną rocznicę zwycięstwa, wydał w dwóch tekstach, polskim i francuskim, z pięknymi chromolitografiami Fajansa<sup>18</sup>, rzadką już dziś publikację pod nazwą: *Karola X Gustawa króla szwedzkiego trofea i sprzęty stołu, zdobyte przez Stefana Czarnieckiego w 1656 roku*. Wilno, r. 1856.

Historycy szwedzcy zapisali, że Czarniecki, kasztelan kijowski, regimentarz wojsk koronnych, napadłszy niespodzianie oddział wojsk szwedzkich nad rzeką Sanem, zdobył bagaże króla Karola Gustawa. Historycy zaś polscy – że wysłany przez Czarnieckiego rotmistrz Szandarowski<sup>19</sup> tak nagle zaskoczył samego króla, siadającego do stołu, w domu plebana wsi Rudnik w Sandomierskim, że *proporzec, szarfę królewską i srebro stołowe*, odbieżane w popłochu, jako zdobycz wojenną zabrał i odwiózł swojemu wodzowi. Sam Czarniecki w liście pisanym dnia 18 marca 1656 roku do księdza Alnpeka<sup>20</sup>, kanonika przemyskiego, wspomina, iż „wozy i ciężary, które wówczas na most (na Sanie pod Jarosławiem) zdążyły, w oczach samego króla w ręce naszych wpadły, w tej zdobyczy znalazło się i srebro stołowe królewskie”<sup>21</sup>. Jerzy Lubomirski w liście znowu do królowej donosi, że „najznaczniesze jednak natarcie było pod Rudnikami, a nawet w Rudnikach sam król szwedzki byłby naszym wpadł w ręce, gdyby straż tylna, cokolwiek się nie spóźniła”<sup>22</sup>.

W publikacji Tyszkiewicza podane są w chromolitografiach cztery przedmioty zdobyte, a mianowicie: 1) Proporzec królewski z białego jedwabnego adamaszku, złotem haftowany, z głoskami C. G. R. S., oznaczającymi: „*Carolus Gustavus Rex Sueciae*”. Przy głosce R. znajduje się plama od krwi. 2) Szarfa królewska na morelowej kitajce srebrem haftowana, 4 łokcie i 16 cali długa. 3) Dwa talerze srebrne z cyframi królewskimi, na których Czarniecki rad zawsze później jadał. 4) Odgrzewacz srebrny w kształcie ozdobnej wazy, z wkładanym wewnątrz żelaznym kociołkiem, a zewnątrz z cyframi i herbem Gustawa Adolfa<sup>23</sup>.

Wszystkie powyższe pamiętki znajdowały się w majątku Roś<sup>24</sup> w guberni grodzieńskiej u pani Niesiołowskiej<sup>25</sup> i dziś zapewne znajdują się tamże u dziedzica Rosi hrabiego Stefana Potockiego, który jest wnukiem po Janie, bracie Feliksa Potockiego, jednego z sukcesorów Branickich.

Wspomnieliśmy powyżej, iż ten pan Jan Potocki, dziedzic dawniej Tykocina, sukcesor i po kądzieli potomek Branickich i Czarnieckiego, posiadał cenniejsze jeszcze pamiętki, bo nalewkę i czarę daną w upominku przez króla duńskiego bohaterowi polskiemu. Gdy roku 1860 w nieocenionych *Wzorach sztuki średniowiecznej* Przędziecki z Rastawieckim<sup>26</sup> zabytki te podali, czara była własnością książąt Czartoryskich i znajdowała się w Paryżu, a dzban, czyli nalewka, przeszła dziedzictwem wraz z połową dóbr tyko-

cińskich na jedną z córek hrabiego Jana Potockiego. Są to naczynia z kryształu górnego, ozdobnie i kosztownie oprawione w srebro wyzlacane, kamieniami drogimi sadzone. Przedmioty te wyrobione w wieku XVI obok wartości pamiątkowej, mają wysoką wartość artystyczną jako dzieła sztuki, mianowicie zaś nalewka. Artyzmem odznaczają się nie tylko części metalowe, ale i kryształowe, z wielkich brył tego twardego kamienia kunsztownie wyszlifowane, które dziś u miłośników w zachodniej Europie do bajecznych cen doszły. Obecnie czara znajduje się w zbiorze księcia Władysława Czartoryskiego w Krakowie, a nalewka jest własnością pana Zygmunta Glogera w Tykocińskim.

Oryginalny akt nadania starostwa tykocińskiego na dziedzictwo Czarnieckiemu istnieje obecnie w rękę pana Aleksandra Rostworowskiego<sup>27</sup>, który jest po kądzieli wnukiem Jana Potockiego i dziedzicem Stelmachowa<sup>28</sup>, będącego częścią dóbr tykocińskich w gubernii łomżyńskiej. Pan Zygmunt Gloger w Jezewie<sup>29</sup> (które także należało kiedyś do Tykocina i Stefana Czarnieckiego) posiada w swoich zbiorach inne jeszcze pamiątki po nieśmiertelnym wojowniku, a mianowicie portret bohatera, który jako malowidło z wieku XVII, pochodzące z galerii białostockiej Branickich, był niewątpliwie własnością Aleksandry Branickiej córki Czarnieckiego. Podług tego portretu wykonany został w zeszłym wieku istniejący dotąd pomnik w Tykocinie, którego widok podała „Księga świata”<sup>30</sup>, „Album Augustowskie”<sup>31</sup> i „Tygodnik Ilustrowany”<sup>32</sup> (r. 1863, nr 208). Gdy ogromna galeria obrazów i archiwum Branickich rozpieczętowały się w okolicy Białegostoku, jeszcze ojciec pana Zygmunta Glogera zdołał ocalić pewną ilość malowideł i papierów. W liczbie pierwszych był ów portret, w drugich rozmaite dyplomy i nadania Branickich, począwszy od zięcia Czarnieckiego. Tu znalazły się także dokumenty z własnoręcznymi autografami bohatera. Podpisywał się Czarniecki, a nie Czarnecki, jak mylnie ktoś pisownię taką chciał wprowadzić. Z dokumentów owych widać, że zasłużonym w bojach weteranom rozdawał ziemię własną dla zapewnienia im bytu w starości.

Bohater nie został pochowany w Tykocinie, gdzie posiadał majątek magnacki, ale w rodzinnej Czarnicy w Kieleckim<sup>33</sup>, która była szlacheckim gniazdem jego rodu. W czasie wojny roku 1794 grób został otworzony i czaszka roztrzaskana; szczątki jej złożono tylko do trumny. W niewiadomości o tym wypadku w lat kilkanaście później od zakrytiana miejscowego nabyto dla Czartoryskich do Puław (Nowej Aleksandrii) całą czaszkę, oczywiście nie Czarnieckiego. W roku 1843 pan Karol Bejer<sup>34</sup>, młody wówczas archeolog, do Czarnicy przybywszy, oglądał w miejscowym kościele portret Czarnieckiego na koniu, ciekawe stare dywany zdobyte ongi przez wodza i otrzymał na miejscu wyjętą z grobu kość z ręki, która dźwigała sławny niegdyś oręż i buzdycan regimentarski<sup>35</sup>, szczątek z czaszki roztrzaskanej, szczątek z kolczugi<sup>36</sup>, kawałek materii brunatnej i gwóźdź z trumny Czarnieckiego. Towarzystwo Rolnicze dla zabezpieczenia resztek zwłok sprawiło w roku 1860 nową trumnę. Przedmioty, które otrzymał w roku 1843 pan Bejer, a mianowicie kość z ręki, głowy, gwóźdź z trumny i szczątek kolczugi (z wyjątkiem brunatnej materii), pielęgnuje obecnie w swoich zbiorach Zygmunt Gloger w Jezewie.

<sup>1</sup> Monasterzyska – miasto położone na Ukrainie, w obwodzie tarnopolskim, siedziba rejonu monasterzyskiego. Do 1945 roku położone było w Polsce, w województwie tarnopolskim, w powiecie buczackim, siedziba gminy Monasterzyska. W lutym 1653 odbyła się bitwa o Monasterzyska podczas powstania Chmielnickiego, w której udział brał Stefan Czarniecki.

<sup>2</sup> Warka – miasto położone nad rzeką Pilicą, w województwie mazowieckim, w powiecie grójeckim, siedziba gminy miejskowiejskiej Warka. Dawniej miasto królewskie Korony Królestwa Polskiego.

<sup>3</sup> Chojnice – miasto położone na Pomorzu Gdańskim, w województwie pomorskim na pograniczu regionów: w zachodniej części Borów Tucholskich, w południowej części Kaszub oraz w północnej części Kujawy, w pasie Pojezierza Południowopomorskiego.

<sup>4</sup> Połonki – wieś na Białorusi w obwodzie brzeskim w rejonie baranowickim, W roku 1660 pod Połonką miało miejsce starcie zbrojne podczas wojny polsko-rosyjskiej 1654–1667. W bitwie tej wojska Rzeczypospolitej pod dowództwem hetmana wielkiego litewskiego Pawła Jana Sapiehy i wojewody ruskiego Stefana Czarnieckiego pokonały wojska rosyjskie dowodzone przez Iwana Chowańskiego.

<sup>5</sup> Wyspa Als (w Polsce funkcjonuje także niemiecka nazwa Alsen, którą posługuje się Gloger) – wyspa położona w Danii, w cieśninie Mały Belt, między Półwyspem Jutlandzkim a wyspą Fionia. Jej powierzchnia wynosi 312 kilometrów kwadratowych. Zamieszkująca ją ludność zajmuje się sadownictwem oraz hodowlą bydła i trzody chlewnej. W czasie II wojny północnej w 1658 roku wylądowała tu jazda dowodzona przez Stefana Czarnieckiego. Wydarzenie to zostało upamiętnione w *Mazurku Dąbrowskiego*.

<sup>6</sup> Słowa te Czarniecki ponoć wypowiedział w trakcie posiedzenia senatu podczas trwania wojny ze Szwedami: „Jam nie urósł ani z żup solnych, ani z szerokiej roli. Miały one być aluzją do źródeł potęgi magnatów i hetmanów zarazem, żup solnych Lubo-

mirskich i majątków rolnych Potockich, w odróżnieniu od Czarnieckiego, który określił swoją pozycję poprzez działania bojowe, odwagę, poświęcenie. Słowa Czarnieckiego zapisały się w tradycji w nieco innej wersji: „Jam nie z soli ani z roli, ale z tego, co mnie boli, wyrosłem”.

<sup>7</sup> Przyp. Red.; nie udało się ustalić szczegółowych informacji na temat żony Stefana Czarnieckiego. Wiadomo, że urodziła mu dwie córki i znacząco pomogła w powiększeniu rodzowego majątku.

<sup>8</sup> Jan Klemens Branicki (ok. 1624–1673) – podstoli wielki koronny od 1658, stolnik wielki koronny od 1660, marszałek nadworny koronny od 1662, marszałek Trybunału Głównego Koronnego w 1661 roku, starosta chęciński, sądecki, stopnicki, bielski, brański, ratneński i krośnieński, ojciec Stefana Mikołaja Branickiego. Dzięki małżeństwu z córką hetmana Stefana Czarnieckiego – Aleksandrą objął we władanie Białystok i starostwo tykocińskie na Podlasiu

<sup>9</sup> Prawdopodobnie Jan Piotr Opaliński (1601–1665) – podkomorzy koronny, wojewoda podlaski i kaliski. Odznaczył się w walkach z Turkami i Szwedami. Brał udział w bitwie pod Chocimiem. Walczył z Kozakami. Należał do korpusu Stefana Czarnieckiego i odbył z nim kampanię szlezwicko-duńską 1657 roku

<sup>10</sup> Stefan Mikołaj Branicki (ok. 1640–1709) – stolnik wielki koronny od 1688, wojewoda podlaski od 1703, starosta stopnicki, bielski, brański (1683), ratneński i krośnieński (1673), syn Jana Klemensa Branickiego (marszałka nadwornego koronnego) i Aleksandry Katarzyny Czarnieckiej, córki Stefana Czarnieckiego. W 1692 roku uzyskał prawa miejskie dla Białegostoku od króla Jana III Sobieskiego i wybudował tam na miejscu istniejącego dworu obronnego barokowy pałac.

<sup>11</sup> Jan Klemens Branicki (1689–1771) – miecznik wielki koronny, hetman polny koronny (1735–1752), hetman wielki koronny (1752), kasztelan krakowski, wojewoda krakowski od 1746, chorąży wielki koronny w latach 1724–1746, starosta brański, jeden z największych polskich magnatów XVIII w. Właściciel 12 miast, 257 wsi i 17 pałaców. Ostatni męski przedstawiciel rodu Branickich herbu Gryf.

<sup>12</sup> Izabella Elżbieta Poniatowska (1730–1808) – siostra króla Stanisława Augusta Poniatowskiego. Żona Jana Klemensa Branickiego. Odegrała ogromną rolę w rozwoju Białegostoku. To jej zawdzięcza miasto powstanie pierwszych szkół. Otaczała opieką finansową pensję dla córek urzędników dworskich, szkołę parafialną, szkołę paziów, Szkołę Podwydziałową Zgromadzenia Akademickiego założoną w 1777 roku przez Komisję Edukacji Narodowej. Zob. M. Jurkowska, *Biblioteka Izabeli z Poniatowskich Branickiej (1772–1808) w Białymstoku*, „Bibliotekarz Podlaski” 2000, nr 1 (XXVIII); *Mecenat artystyczny Branickich*, red. M. Olesiewicz, B. M. Puchalska-Dąbrowska, Białystok 2004; A. Oleńska, *Jan Klemens Branicki: Sarmata nowoczesny. Kreowanie wizerunku poprzez sztukę*, Warszawa 2011.

<sup>13</sup> Na temat pomnika Stefana Czarnieckiego w Tykocinie pisze Zygmunt Gloger w swoim debiutanckim artykule opublikowanym w „Tygodniku Ilustrowanym”; zob. i por. *Pomnik Stefana Czarnieckiego w Tykocinie*, [w:] „Tygodnik Ilustrowany” 1863, nr 208; na temat debiutanckiego artykułu Glogera zob. J. Ławski, *Pozytywiści, Gloger, Orzeszkowa, Baliński: przełamywanie traumy*, [w:] *Pozytywiści warszawscy. „Przegląd Tygodniowy” 1866–1876. Seria I, Studia. Rewizje. Konteksty*, wstęp i red. A. Janicka, Białystok 2015.

<sup>14</sup> Piotr Franciszek Potocki herbu Pilawa (1745–1829) – starosta szczyrzycki, poseł, generał major wojsk koronnych, szef regimentu Potockich. Był członkiem przysiężenia, przygotowującego wybuch powstania kościuszkowskiego. Uczestniczył w konfederacji barskiej głównie jako polityk. Po upadku ruchu emigrował do Niemiec, później wrócił do kraju i uzyskał przebaczenie króla.

<sup>15</sup> Jan Alojzy Potocki herbu Pilawa (1776–1854) – syn Piotra Franciszka Potockiego, dziedzic dóbr Stelmachowo i Tykocin po Piotrowej Potockiej, spadkobierczyni Jana Klemensa Branickiego.

<sup>16</sup> Feliks Potocki herbu Pilawa (1779–1811) – pułkownik Pułku 4 Piechoty Księstwa Warszawskiego. Syn Piotra Franciszka i Krystyny Potockiej. Był członkiem loży masonskiej Świątyni Izys w 1811 roku. W 1810 zorganizował spisek republikański w Księstwie Warszawskim, mający na celu obalenie rządów napoleońskich.

<sup>17</sup> Eustachy Tyszkiewicz (1814–1873) – polski archeolog, historyk, kolekcjoner, badacz padziejow ziem białoruskich i litewskich, działacz społeczny.

<sup>18</sup> Maksymilian Fajans (1825–1890) – litograf, fotograf i rysownik żydowskiego pochodzenia, właściciel zakładu litograficzno-fotograficznego w Warszawie, nagadzany m.in. na Międzynarodowej Wystawie Fotograficznej zorganizowanej w 1865 w Berlinie i w 1873 na Wystawie Wiedeńskiej.

<sup>19</sup> Teodor Szandarowski herbu Sas (Szandorowski) (data urodzenia i śmierci nieznana) – pułkownik wojsk królewskich, rotmistrz pancerny u Stefana Czarnieckiego. Uczestnik bitwy pod Warką w dniu 7 czerwca 1656 roku, Sanem w 1656 roku, kampanii na Ukrainie w roku 1660 (dowodził w armii koronnej chorągwią husarii liczącej 60 koni); Postać jest wymieniona u Henryka Sienkiewicza w trylogii *Potop* jako rotmistrz jazdy u Dymitra Wiśniowieckiego.

<sup>20</sup> Gloger popełnia w tym miejscu błąd i przekręca nazwisko wspomnianego kanonika. Chodzi o ks. Fryderyka Alembka (1598–1672) – Gloger nazwisko zapisuje „Alnpeka” – teologa, filozofa, kanonika, wikariusza, dziekana przemyskiego.

<sup>21</sup> E. Tyszkiewicz, *Karola X. Gustawa króla szwedzkiego trofea i sprzęty stołu zdobyte przez Stefana Czarnieckiego w 1656 roku*, Wilno 1856, s. 10.

<sup>22</sup> Tamże, s. 13.

<sup>23</sup> Zob. tamże, plansze I-IV, pomiędzy stronami 8-9.

<sup>24</sup> Roś – według *Słownika geograficznego Królestwa Polskiego* dobra położone nad rzeką Rossa (lewy dopływ Niemna) w guberni grodzieńskiej, powiat wołkowski; obecnie miasteczko położona w zachodniej części Białorusi. Zarówno miasteczko jak i otaczające je dobra początkowo były własnością rodu Chodkiewiczów. Z czasem przeszły w ręce Potockich, co jednocześnie podniosło rangę Rosi – Piotr Franciszek Potocki tytułował się „panem na Tykocinie, Boćkach i Rosi”. Potoccy władali Rosią do roku 1910, do śmierci Stefana hrabiego Potockiego.

<sup>25</sup> Pani Niesiołowska – właściwie Zofia Aleksandra (data urodzin i śmierci nieznana); żona Feliksa Potockiego, a po jego śmierci Ksawerego Niesiołowskiego. Z drugiego małżeństwa tytułowana jako Ksawerowa Niesiołowska; zarządzała dobrami Roś po śmierci Stefana hrabiego Potockiego.

<sup>26</sup> E. Rastawiecki, A. Przedziecki, *Wzory sztuki średniowiecznej i z epoki Odrodzenia po koniec wieku XVII w dawnej Polsce*, druk. J. Unger, Warszawa 1858.

<sup>27</sup> Aleksander Kalikst Adam Rostworowski (1858–1929) – zarządca majątku Stelmachowi i Tykocin w spadku po Adamie Andrzeju Wiktorze Rostworowskim i Leonii Potockiej.

<sup>28</sup> Stelmachowi – w czasach Glogera był to folwark leżący w granicach powiatu mazowieckiego; współcześnie jest to wieś w województwie podlaskim, powiecie białostockim, gmina Tykocin.

<sup>29</sup> Jezewo – w XIX wieku wieś i folwark w guberni łomżyńskiej, powiecie mazowieckim, współcześnie wieś w województwie podlaskim, w powiecie białostockim; w 1859 roku folwark z okolicznymi gruntami zakupił Jan Gloger, ojciec Zygmunta, syn gospodarował dobrami od 1870.

<sup>30</sup> „Księga Świata” – wychodzące od roku 1851 pismo z dziedziny nauk przyrodniczych, historii krajów i ludów, geografii, podróży, odkryć i wynalazków, ekonomii uzupełnione kolorowymi rycinami i drzeworytami. Pismo ukazywało się nakładem księgarni F. Merzbacha, a jego głównym redaktorem do 1859 roku był Ludwik Jenike. Po nim pismo przejął Hipolit Skimborowicz.

<sup>31</sup> „Album: Augustowskie” – wydany przez Alojzego Musierowicza w 1858 roku w litografii Fajansa, złożony z sześciu rycin album ukazujący ziemie obwodu łomżyńskiego.

<sup>32</sup> „Tygodnik Ilustrowany” – wydawane w Warszawie ilustrowane czasopismo kulturalno-społeczne o wysokich ambicjach historycznych i literackich; założony w 1859 roku przez Jozefa Ungra, który w połowie 1882 roku odsprzedał go spółce Adolfa Pawińskiego, Ludwika Jenikego oraz firmie „Gebethner i Wolff”. Faktycznym kierownikiem pisma był wtedy Wincenty Korotyński i to dzięki niemu pismo stało się rejestratorem i komentatorem spraw bieżących; od 1898 roku kierownikiem literackim pisma został Ignacy Matuszewski (do 1907); w okresie dwudziestolecia międzywojennego redakcja pisma zmieniała się wielokrotnie (redaktorami byli wtedy: Artur Oppman, Stanisław Lam i Zdzisław Dębicki)

<sup>33</sup> Czarnca – wieś położona w województwie świętokrzyskim, w powiecie włoszczowskim, w gminie Włoszczowa. Rodowe gniazdo rodziny Czarnieckich. Nazwa miejscowości pochodzi imienia Czarnko lub od czarnych lasów otaczających miejscowość. Ostatnim właścicielem dóbr ziemskich w Czarnicy był, urodzony i pochowany tam Stefan Czarniecki, hetman polny koronny.

<sup>34</sup> Karol Adolf Bejer (1818–1877) – fotograf, numizmatyk, archeolog amator; pierwszy zawodowy fotograf w Warszawie, zwany „ojcem polskiej fotografii”. Fotografował mieszkańców Warszawy i osoby przybyłe z całego kraju, przedstawiciele różnych środowisk, głównie inteligencji i burżuazji, rzadziej ziemiaństwa i chłopstwa.

<sup>35</sup> Buzdygan – broń obuchowa z metalową głowicą osadzoną na trzonku. Zastosowany w tekście przymiotnik „regimentarski” nie jest określeniem odmiany buzdygana lecz sprawuje symboliczną funkcję podkreślającą rangę dowódcy, od regimentarz – dowódca większej grupy wojsk lub zastępca hetmana.

<sup>36</sup> Kolczuga – pancerz; rodzaj zbroi wykonanej z gęstej plecionki z drobnych kółek (najczęściej stalowych).

## 23

(O KOŚCI STEFANA CZARNIECKIEGO),

„Echo” 1881, nr 2, s. 3;

opublikowano w rubryce „Drobne echa”;

podpis pod tekstem: „Zygmunt Gloger”.

(Nadesłane)<sup>1</sup> Szanowny Redaktorze! W artykule drukowanym w 289 numerze „Echa”: *Pamiętki po Czarnieckim*<sup>2</sup>, pomiędzy przedmiotami, które znajdują się w moim zbiorze, wymieniona jest kość z ręki wielkiego wojownika<sup>3</sup>. Otóż winienem tu wiadomość powyższą sprostować, objaśniając, że kość posiadana przeze mnie, a przywieziona roku 1853 z Czarnicy<sup>4</sup> do Warszawy przez Karola Bejera<sup>5</sup>, nie pochodzi z ręki, ale z nogi i jest jedną z kości goleniowych zwaną z anatomii, jeżeli się nie mylę, *fibula*<sup>6</sup>. Szczątek powyższy zwłok Czarnieckiego, jak również niewielki ułamek z jego czaszki, która rozbita została w roku 1794, pragnąłbym kiedyś, we właściwej chwili, złożyć do grobu w Czarnicy, uważając mój zbiór prywatny, jakkolwiek wiele innych pamiątek po Czarnieckim i sukcesorach<sup>7</sup> jego obejmujący, za mniej stosowne



miejsce do przechowywania prochów wielkich ludzi, którzy należą przede wszystkim do siebie, a potem do całego narodu, nigdy zaś do pojedynczego zbieracza.

Jeżewo, dnia 30 grudnia 1880 r.

<sup>1</sup> Dopisek redakcji „Echa”.

<sup>2</sup> Zob. artykuł Glogera: *Pamiętki po Stefanie Czarnieckim*, „Echo” 1887, nr 23, s. 318-620 w niniejszym tomie.

<sup>3</sup> Stefan Czarniecki (1599–1665) – polski hetman polny koronny (do 1665 roku), oboźny wielki koronny i kasztelan kijowski (od 1652); zasłynął zwycięskimi walkami z wojskiem Karola X Gustawa podczas potopu szwedzkiego (1655).

<sup>4</sup> Czarnca – wieś położona pomiędzy Kielcami a Częstochową; w czasach Glogera w powiecie włoszczowskim guberni kieleckiej Królestwa Polskiego; z tej wsi wywodzi się ród Czarnieckich herbu Łódzia, do którego należał Stefan Czarniecki.

<sup>5</sup> Karol Adolf Beyer (1818–1877) – polski fotograf, numizmatyk, autor portretów fotograficznych wielu znanych postaci z kręgu literatury, kultury, polityki etc. Pierwszy zawodowy fotograf w Warszawie.

<sup>6</sup> Kość strzałkowa, strzałka (łac. *fibula*) – kość długa występująca po stronie bocznej goleni.

<sup>7</sup> Sukcesor – spadkobierca.

## 24

### ZWIERZĘTA PRZED SĄDEM,

„Echo” 1881, nr 3, s. 3;

opublikowano w oddzielnej rubryce;

podpis pod tekstem „G”.

Przed kilkoma laty pewien profesor, w pewnym naukowym piśmie warszawskim, podał dosyć naiwny artykuł o wzrastającej z upływem wieków inteligencji psów. Artykuł ten miał popierać teorię Darwina<sup>1</sup>, do którego jednak sam Darwin pewnie by się nie przyznał. Do artykułu powyższego natchnęły autora psy, pokazywane w Warszawie przez jakiegoś szarlatana, który zaręczał, że zwierzęta te umieją czytać.

Niestety podobnie pozytywnych dowodów ludzkiej inteligencji u zwierząt nie brak i w dawnych czasach. Cóż dziwnego, że w dziewiętnastym wieku pisano o nauce psiego czytania, kiedy już w XV i XVI wieku zwierzęta procesowały się. Ciekawych kilka wiadomości pod tym względem, które z kronik średniowiecznych i dokumentów powtórzył „Przyrodnik” lwowski<sup>2</sup>, zamieszczany poniżej.

I tak na przykład Steller<sup>3</sup> w kronice szwajcarskiej pisze, że w roku 1479 wytoczono przed sądem w Lozannie<sup>4</sup> proces przeciwko „pędrakom”<sup>5</sup> i skazano je na wygnanie.

W roku 1487, wyrokiem z dnia 10 czerwca, Piotr de Vos, podsędek<sup>6</sup> lennictwa Belle we Flandrii<sup>7</sup>, rozkazał oprawcy w Yperu wbić na pal świnię za pokąsanie małego dziecka pana Mateusza Ciex w Meteren<sup>8</sup>.

W latach 1522–1530, w okolicy Autun<sup>9</sup>, wedle opowiadania dziejopisa dla Thon groził głód skutkiem pojawienia się bardzo wielkiej ilości szczurów. Oskarżono i zawezwano je przed sąd, a gdy mimo dwukrotnego odczytania zapowzu szczury się nie stawiły na termin, naznaczono im obrońcę z urzędu, w osobie pana adwokata de Chassaneus, który z całą gorliwością zajął się swymi klientami. Wyczerpał on cały zasób sztuki adwokackiej w odwlekaniu terminu, usprawiedliwiał niestawiających się przed sądem to daleką podróżą i złym stanem dróg, to znowu grozącymi im niebezpieczeństwem ze strony czyhających kotów i innych nieprzyjaciół szczurzego rodu. Gdy wreszcie, mimo wykretów, przyjąć już miało do ferowania wyroku, starał się wykazać niesprawiedliwość ogólnego wytępienia szczurów i żądał wyłączenia niewinnej młodzi i niedołążnych starców, którzy nie mogą być przyczyną klęski. Jaki zapadł wyrok w tej sprawie, dziejopis nie podaje.

Dnia 15 maja 1555 roku trybunał miasta Leyden<sup>10</sup>, w przytomności wszystkich ławników, wydał wyrok na konfiskatę majątku i śmierć przez powieszenie. Skazanym był pies, należący do pana Jana van de Poel, a tymczasowo osadzony w więzieniu, gdzie go jednakowoż, przynajmniej wedle zaręczeń oskarżyciela, nie brano na tortury, ani nawet nie okuto w kajdany. Zbrodniarz zawinił srodze, chcąc bowiem wydrzeć kawał mięsa zjadającemu je dziecku swego pana, skaleczył je w „drugi palec prawej ręki” i tak je przestraszył, że dziecko w kilka dni później umarło. Zbrodniarza psa, który miał na imię „Profetie”, powieszono na szubienicy, na placu przeznaczonym do tego rodzaju egzekucji, a to, jak opiewał wyrok, „innym psom i każdemu na przestroagę”. Dobra zaś i posiadłości zbrodniarza, „gdyby je miał”, polecono zabrać w drodze konfiskaty.

Szczegóły powyższe wskazują tylko do jakiego stopnia ludzie tracą niekiedy zdrowy rozsądek, a jakkolwiek w każdym narodzie przytrafiały się rozmaite nedorzecznosci, to przecież nic podobnego nie spotykamy u nas. Żaden pies, sznur ani karaluch nie był nigdy procesowany w Polsce, ani na śmierć w sądach polskich skazywany. Zdrowy, praktyczny rozsądek, ten tak zwany u gminu „chłopski rozum” kierował wszystkimi czynnościami praocjów naszych, stojąc na straży przeciw dziwactwom i śmiesznościom. Ciemnota na całym świecie miała swoje zabobony i ma dotąd. U nas zabobony te o tyle pobłaźliwiej sędzić trzeba, że prawie wszystkie przychodziły z Zachodu, od ludów przodujących całemu światu w cywilizacji. Dowodów na to mamy więcej niż potrzeba. W dziełach botaniczno-lekarskich polskich z XVI wieku około 50 roślin posiada własności magiczne. Ale przesady te są żywcem wzięte z Pliniusza<sup>11</sup> lub przetłumaczone z zielników niemieckich i francuskich. W roku 1620 Sebastian Śleszkowski<sup>12</sup> przetłumaczył z francuskiego „Tajemnice Redmontana medyka i filozofia”, dzieło pełne najgrubszych zabobonów, lekarstw na czary i tym podobne.

Mniej wyda się dziwnym, że do zeszłego wieku sądzono czarownice u nas, gdy sądzono je do tegoż czasu u najoświecześniejszych narodów zachodniej Europy. Potępiać za to ludzkość ówczesną i przeszłość narodu, mierząc dzisiejszym łokciem pojęcia przeszłości, byłby to śmieszny idiotyzm w krytyce historycznej. Słynny „Młot na czarownice”<sup>13</sup> jest dziełem Spreugera<sup>14</sup> tłumaczonym z łaciny na polski (Kraków 1614)<sup>15</sup>. Ludziom gruntowniej rzeczy badającym wiadomo jest dzisiaj, że sądenie czarownic nie płynęło z zabobonnej miary dawnych prawodawców naszych, ale miało swoją podstawę dosyć pozytywną w czasach, w których czarodziejstwo było rozpowszechnionym rzemiosłem ludzi złych i szarlatanów. W dziełku „The-saurus Magicus”<sup>16</sup> (Kraków 1637) autor wykląda czarnoksiężstwo, które, jak sam o sobie powiada, od lat 37 praktykuje. W roku 1728 wytoczony był w Krakowie ciekawy proces przeciw niejakiemu Kazimierzowi Kamińskiemu<sup>17</sup>, który faktycznie zapisał duszę diabłu. Cyrograf przedstawiony był sądowi i do akt procesowych wszyty. Dotąd znachodzą się po wsiach baby, które celem zjednania sobie pomocy złego ducha czynią dlań tajemnie pewne ofiary, a powodowane chciwością lub zemstą, używają środków szkodliwych względem innych ludzi, co pociąga dziś także i zawsze pociągać będzie pewne kary sądowe i policyjne. O ludzi niezabobonnych bardzo trudno. Nawet ci, co powiadają, że w nic nie wierzą, są także zabobonni. Zabobonna ich jest bezwyznaniowość, często więcej namiętna niż krańcowy fanatyzm religijny.

Lekarstwem na te wszystkie choroby ducha jest miłość chrześcijańska. Bez niej świat staje się piekłem a człowiek szatanem. Z nią świat w raj się przemienia, a człowiek w anioła.

*Sapienti sat*<sup>8</sup>.

<sup>1</sup> Karol Darwin (1809–1882) – angielski przyrodnik, twórca teorii ewolucji, zgodnie z którą wszelkie gatunki pochodzą od wcześniejszych form; autor m.in. rozprawy *O pochodzeniu człowieka*, tł. L. Masłowski, Lwów 1875.

<sup>2</sup> Prawdopodobnie chodzi o Aleksandra Zawadzkiego (1798–1863) – biolog, profesor Uniwersytetu Lwowskiego. Wyklądał botanikę i fizykę. Badał i opisywał florę okolic Lwowa. W latach 1854–1868 studiował ewolucję gatunków. Współpracował z Gregorem Mendlem (1822–1884). Był członkiem wielu towarzystw naukowych, redaktorem lwowskich czasopism (*Rozmaitości*, *Mnemosyna*).

<sup>3</sup> Steller, Mateusz Ciex, Piotr de Vos, de Chassaneus, Jan van de Poel – nie udało się ustalić tożsamości wymienionych w tekście osób.

<sup>4</sup> Lozanna – miasto położone w Szwajcarii (w jej francuskojęzycznej części) nad brzegiem Jeziora Genewskiego. Miejscowość leży w samym środku regionu słynącego z produkcji wina.

<sup>5</sup> Pędiak – typ larwy żyjący w glebie, w kale zwierząt roślinożernych lub w próchniejącym drewnie. Pędraki żyjące w glebie żerują na korzeniach wielu roślin, przez co często są traktowane jako szkodniki.

<sup>6</sup> Podśędek – w dawnej Polsce urzędnik sądu dworskiego księcia.

<sup>7</sup> Flandria – kraina historyczno-geograficzna położona na terenie Belgii, Francji i Holandii, wzdłuż wybrzeża Morza Północnego. Od starożytności zasiedlona przez plemiona Celtów, następnie część imperium rzymskiego. Począwszy od III wieku zasiedlana przez plemiona germańskie, głównie Franków i Fryzów. Zamieszkała obecnie przez Flamandów posługujących się językiem niderlandzkim i jego odmianą, językiem flamandzkim.

<sup>8</sup> Meteren – wieś holenderska położona w prowincji Gelderland.

<sup>9</sup> Autun – miejscowość i gmina we Francji, w regionie Burgundia-Franche-Comté, w departamencie Saona i Loara.

<sup>10</sup> Leyden – miasto i gmina w Holandii, w prowincji Holandia Południowa, położone nad Starym Renem. Miasto tworzy aglomerację z jego przedmieściami Oegstgeest, Leiderdorp, Voorschoten.

<sup>11</sup> Pliniusz Starszy (23 r. n.e. – 79 n.e.) – właściwie Gaius Plinius Secundus, historyk i pisarz rzymski. Autor *Historii naturalnej*, dzieła o wiedzy i wyobrażeniach czasów rzymskich.

<sup>12</sup> Sebastian Śleszkowski – doktor medycyny, absolwent Akademii Krakowskiej, nadworny lekarz króla Zygmunta III Wazy; autor m.in. dwóch antysemickich i paramedycznych dzieł: *Odkrycie zrad, złośliwych ceremoniałów, tajemnych rad, praktyk szkodliwych Rzeczypospolitej, i straszliwych zamysłów Żydowskich* (Brunsbega 1621) oraz *O ustrzeżeniu i leczeniu morowego powietrza* (Kalisz 1623). *Aleksego Pedemontana Tajemnice* to szesnastowieczny włoski receptariusz, zawierający recepty i przepisy na leki, przepisy na kosmetyki i substancje zapachowe.

<sup>13</sup> „Młot na czarownice” (*Malleus Maleficarum*) – traktat na temat magii, spisany przez dominikańskiego inkwizytora Heinricha Kramera w prawdopodobnej współpracy z innym inkwizytorem, Jacobem Sprengere. Opublikowany po raz pierwszy w 1487 roku. Znany jako podręcznik łowców czarownic. Treść książki podzielona jest na trzy części. Pierwsza dowodzi, że magia rzeczywiście istnieje, druga opisuje jej formy, a trzecia – sposoby wykrywania, sądzenia i pozbywania się wiedzy.

<sup>14</sup> Jakob Sprenger (pomiędzy 1435 a 1438–1495) – niemiecki duchowny katolicki, dominikanin, inkwizytor. Był przedstawicielem zreformowanego odłamu zakonu dominikanów (obserwantów). Uczestniczył w reformie konwentów w Kolonii (1464) i Frankfurcie (1474). Sławę zyskał jako domniemany współautor (wraz z Heinrichem Kramerem) *Młota na czarownice* (1486). Nowsze badania zakwestionowały jednak jego udział w powstaniu dzieła. Prawdopodobnie Kramier posłużył się jego nazwiskiem w sposób nieuprawniony.

<sup>15</sup> W Polsce *Młot na czarownice* wydano w 1614 roku w Krakowie. Przekładu i modyfikacji dzieła dokonał prawnik krakowski Stanisław Ząbkowic. Współczesne polskie wydania *Młota* są jedynie transkrypcjami lub uwspółcześnieniami tłumaczenia Ząbkowica. Jak dotąd na język polski nie została przetłumaczona pierwsza i trzecia część *Młota*.

<sup>16</sup> *Thesaurus Magicus domesticus* (1637) – dzieło nieznanego autora zawierające wykład z czarnoksięstwa. Zdanie, w którym Zygmunt Gloger wspomina powyższe dzieło, pochodzi z *Encyklopedii staropolskiej*; zob. Z. Gloger, *Encyklopedia staropolska ilustrowana*, tom I, Warszawa 1972, s. 268.

<sup>17</sup> Kazimierz Kamiński – nie udało się ustalić tożsamości tej osoby. Kazimierz Kamiński pojawia się w rozdziale *Czary i czarownice* w pierwszym tomie *Encyklopedii staropolskiej*: „W «Bibliotece Warszawskiej» (z kwietnia roku 1844) znajduje się opis ciekawego procesu w roku 1728 przeciw Kazimierzowi Kamińskiemu, który faktycznie zapisał duszę swoją diabłu. Cyrograf ten przedstawiony był w oryginale sądowi krakowskiemu”; zob. tamże, s. 268. Przypadek procesu Kamińskiego został także przywołany w dziele Juliana Tuwima *Czary i czarty polskie oraz Wypisy czarnoksiężskie i Czarna msza*, Warszawa 2010.

<sup>18</sup> *Dictum sapienti sat* – łacińskie przysłowie: mądrej głowie dość po słowie.

DIABEŁ POLSKI,  
„Echo” 1881, nr 10, s. 2;  
opublikowano w oddzielnej rubryce;  
podpis pod tekstem: „Z. G.”

Wiara w diabła była powszechną całej ludzkości, tylko każdy lud inaczej go nazywa, inaczej go sobie wyobraża. U ludów białoskórych diabeł jest czarny, u negrów<sup>1</sup> biały. Diabeł polski nosi się kusoc<sup>2</sup> z nie-

miecka, ma kapelusze trójkątny, harcap<sup>3</sup>, fraczek, pończochy, a bodaj i pantofle. Przeciwnie diabeł niemiecki, przebiera się czasem w kontusz<sup>4</sup>.

Pan Józef Bizouard<sup>5</sup>, uczony adwokat francuski, wydał przed kilkunastu laty w Paryżu obszerne dzieło o stosunkach człowieka z diabłem, pod tytułem: *Des rapports de l'homme avec le demon, essai historique et philosophique*<sup>6</sup>. Nad dziełem tym pracował całe życie i w sześciu wielkich tomach zawarł owoc swoich badań, sięgających czasów najdawniejszych, a doprowadzonych aż do naszych, od magii kapłanów pogańskich do magnetyzmu zwierzęcego<sup>7</sup> i spirytyzmu<sup>8</sup>. Mówi autor o działaniach złego ducha w Polce, a w księdze 25 o zjawiskach osobliwszej katalepsji<sup>9</sup> obserwowanych w Wilnie przez doktorów Franka<sup>10</sup>, Śniadeckiego<sup>11</sup> i Niskowskiego<sup>12</sup>. Jest to dzieło niezmiernie pracowite i wszechstronnie dokonane. Przyznajemy się jednak otwarcie, że nie mając tu zamiaru kreślić traktatu mitologiczno-psychologicznego, ale tylko naszkicować charakterystykę diabła polskiego, wziętą z życia, nie czerpaliliśmy wiadomości naszych z pana Bizouard i przez okulary francuskie diabła polskiego nie będziemy opisywali.

Diabeł polski miał od wieków kilkanaście uprzywilejowanych nazwisk. Jan Borawski, pastor protestancki za czasów Zygmunta III<sup>13</sup>, w dziełku swoim *Sejm piekiełny* wydanym w roku 1607 wyprowadza na scenę diabłów mających nazwiska takie, pod jakimi ludowi naszemu wówczas znani byli, więc: *Smółka, Rogalec, Latawiec, Asmodeusz, Lelek, Przechera, Klekot* i *Paskuda*. Lud nasz diabła przesiadującego w lasach, gdzie mieszkaniem jego są stare wypróchniałe i uschłe drzewa nazywa *borowcem* albo *borownikiem*. W podaniach litewskich *chochlikiem* zowie się psotny, wesół diabełek, który ani zbyt zły, ani zawzięty, lubi tylko ciągle figle płać ludziom. Ubrany po niemiecku, na szczycie wież i gałęziach drzew skacze i tańczy. Podróżnych sprowadza z drogi i błąka, śpiących w drodze budzi nagle, pijanych wprowadza do błota, a gdy głęboko zagręzną, śmieje się szyderczo i przeraźliwie. Ulubioną dlań rozrywką jest drażnić młode dziewczęta i gospodynie, przywodząc je do kłótni, gniewu i przekleństw. Wiele powieści tego rodzaju krąży pomiędzy ludem litewskim i polskim. Stąd Juliusz Słowacki wprowadził Chochlika do *Balladyny*<sup>14</sup>.

Na błotach i bagnach wśród oczeretów<sup>15</sup> i łoży<sup>16</sup>, przy starych młynach, groblach<sup>17</sup> i w starych wierzbach, siedlisko ma ulubione *Boruta*. Boruta, mieszkaniiec błot łączyckich<sup>18</sup>, w zwaliskach zamku łączyckiego pilnuje skarbów, które tam w lochach zachowali książęta mazowieccy. Straszyl on przechodniów i podróżnych, puszczał im tuman w oczy i tak otumanionych wprowadzał w trzęsawiska. Kiedy po drugiej stronie tych błot budowano przed wiekami słynny kościół „Tumem” zwany, Boruta przypadł, pochwycił za węgiel<sup>19</sup> granitowy z lewej strony, chcąc świątynię pańską obalić. Ale nie miał na to siły, zostawił więc tylko ślady palców dotąd widome na granicie. Lubił przybywać do gospody przebrany po polsku za szlachcica i hulał z gośćmi ochoczo, rąbał się dzielnie i przepijał najtęższych główaczy<sup>20</sup> łączyckich. Ale od czasu, gdy go pewien śmiały „piskorz”<sup>21</sup> wyzwiał na rękę, a zrobiwszy krzyż święty szablą, obciął porządnie i wypłazował<sup>22</sup>, skrył się pohańbiony i zawstydzony do lochów zamku i zaprzestał się na świecie pokazywać.

W pojęciach ludu naszego diabeł dlatego płać figle, aby ludzi doprowadzać do przekleństw, które on sobie zapisuje. Rzecz zgubioną np. zaraz diabeł przysiadła<sup>23</sup>; dlatego niełatwo ją znaleźć. Przy szukaniu, żeby diabła odpędzić mówić trzeba, żegnając się przy tym: „Oddaj diabłu zgubę, bo ci łeb oskubię”. Diabeł wiecznie czyhający na duszę korzysta z każdego zapomnienia się i najniewinniejszych nałogów ludzkich. Tak np. kto w czasie spożywania wili<sup>24</sup> Bożego Narodzenia nogą pod stołem huśta, ten diabła na niej huśta.

W zapusty za każdą parą tańczy w karczmie diabeł. Inni utrzymują, że płąsa on na czele taneczników. Aby go zobaczyć, trzeba wszystką odzież na sobie przewlec na opak albo patrzeć przez dziurę od sęka w desce pochodzącej z trumny. Lecz trzeba być przy tym bardzo ostrożnym i nie patrzeć długo, aby się nie stało tak jak jednemu parobkowi, który patrząc pomienionym sposobem, widział wprawdzie wszystkich diabłów, nawet tego, który na piecu zapisywał tańczących zapustników, lecz skoro diabeł spostrzegł, iż się im przypatruje parobek, skoczył na niego z pazurami i tak go zadarł, że trzeciego dnia z bólu i strachu ciekawiec umarł. Indziej utrzymują, że diabła tańczącego na przodzie przed innymi, ksiądz widzieć może, musi jednak patrzeć przez kość z głowy zmarłego niewinnego dziecięcia, w której jest otwór oczny. Zaś we wtorek zapustny, czyli ostatni, stoi diabeł za drzwiami karczmy i zapisuje wychodzących po północy.

Więscy skrzypkowie także miewają niekiedy z diabłem współnictwo. Niektórzy mniemają, że mianowicie każdy lepszy skrzypek ma diabła do pomocy.

Gdyby nie przeżegnać ogniska po spaleniu stosu *sobótki*, diabeł może swoją sobótkę zapalić przeniosłszy ogień na wioskę.

Diabeł dzierżawił niegdyś wszystkie młyny i dopiero święty Marcin, chcąc ludzi z tego monopolu wy-swobodzić, wziął od diabłów w arendę<sup>25</sup> te młyny do czasu, aż wszystkie igły, czyli kolki z drzew iglastych opadną. Diabeł myślał, że z nadejściem zimy drzewa iglaste ogołocą się tak samo, jak liściowe. Gdy się zawiódł, pobiegł obrywać igły, lecz napotkawszy na drzewach krzyże (gałązki jodły rozrastające się na podobieństwo krzyża), uciekł, zrzekając się młynów. Odtąd młyny nie należą do diabła, a młynarze w dzień świętego Marcina nie miały na tę pamiątkę.

Widzimy z tego, że diabeł polski jest dosyć głupi i że tak zwany „chłopski rozum” zawsze go pokonywa. Mamy też nie mało dykteryjek, w których chłop okpił diabła. Sam Twardowski<sup>26</sup> umiał się doskonale szatanowi wykręcać.

Lecz nic dziwnego, że dokazał tego przebiegły kmięć lub uczony czarnoksiężnik, gdy raz nawet baba wywiódła diabła w pole. Oto, jak stara opowieść mówi, pewna baba ugodziła się z diabłem, że będą na spółkę gospodarować. Razem więc w polu i ogrodzie orali, sieli, sadzili. Gdy nadeszła jesień, mówi mu baba: dzielmy się po połowie, raz ty weźmiesz z góry, a ja z dołu, drugi raz ja z góry, a ty z dołu, żeby było sprawiedliwie. Dobrze – odrzekł szatan – i poszli zbierać proso. Baba powiada, że zacznie z góry i zebrała ziarno, a diabeł wyrwał korzenie. Poszli potem do ziemniaków. Baba wzięła z dołu co najlepszego, a diabeł suche badyle. Na drugi rok diabeł mówi: będziemy sieli co innego, bom źle wyszedł na twoim prosię i kartoflach. Więc nasieli kapusty. I znowu gdy przyszła jesień, baba do diabła mówi: nie smakowały ci badyle kartoflane, bierzże swoją połowę z dołu. Baba główki ładuje na wóz – a diabeł, pocąc się, wyrwa korzenie i głąby. Poznawszy się, że został oszukany, rozgniewał się zły duch i począł głąbami ciskać w babę. „Kiedy tak to się bijmy!” – rzeknie baba i stanąwszy za gęstym płotem<sup>27</sup>, i pochwyciła za ożóg<sup>28</sup>, a diabłu podała widły, mówiąc: „masz dwa końce u widel to mi za każdym razem dwie rany możesz zadać, a ja tobie jedną”. Co diabeł kolnie przez płot, to widły zatrzymają się w chruście, a diabeł myśli, że w babie, a baba za każdym razem co sunie ożogiem, to w diabie dziurę zrobi, że aż smoła trysnie. Szatan, zwyciężony w pojedynku, widząc że rady sobie z polską babą nie da, wyrzekł się spółki i drapnął<sup>29</sup>.

<sup>1</sup> „...u negrów” – u czarnoskórych.

<sup>2</sup> Kuso – w przykrótkich ubraniach.

<sup>3</sup> Harcab bądź harcab – warkocz noszony przez mężczyzn w XVIII wieku, zwykle jako część peruki; również noszony przez żołnierzy dla ochrony szyi przed uderzeniem.

<sup>4</sup> Kontusz – staropolski wierzchni strój męski, długa suknia zapinana z przodu, z rozciętymi rękawami.

<sup>5</sup> Joseph Bizouard (ur. 1797) – francuski adwokat, zajmujący się także historią i filozofią, autor pracy *Des rapports de l'homme avec le demon. Essai historique et philosophique*, t. 1-6, Paris 1863–1864. W oryginalnej pisowni błąd w nazwisku: „Bizonard”.

<sup>6</sup> Zob. przypis powyżej; „Joseph Bizouard”.

<sup>7</sup> Magnetyzm zwierzęcy – kluczowe zjawisko w teorii Franza Antona Mesmera (1734–1815), nazywanej od jego nazwiska mesmeryzmem. Zgodnie z tą koncepcją każda żywa istota posiada fluid, za pomocą którego wprawiona osoba potrafi oddziaływać na innych, leczyć ich choroby poprzez dotyk lub z niewielkiego dystansu. W szerszym znaczeniu idea magnetyzmu odnosiła się do możliwości oddziaływania, współodczuwania z ludźmi na odległość, zakładała istnienie siły łączącej wszystkie organizmy żywe.

<sup>8</sup> Spirytyzm – tu w szerokim znaczeniu: wiarę w istnienie duchów i w to, że można nawiązać z nimi kontakt (np. za pośrednictwem mediów).

<sup>9</sup> Katalepsja – zeszywnienie mięśni, odjętwienie całego ciała spowodowane przez różne czynniki takie, jak: histeria, choroba etc. Dawniej wierzono, że stan katalepsji może być związany z zajęciem ciała przez złego ducha lub innymi zjawiskami nadprzyrodzonymi.

<sup>10</sup> Joseph Frank (1771–1842) – austriacki lekarz, higienista, epidemiolog, syn Johanna Petera Franka (1745–1821), z którym przybył na Uniwersytet Wileński w 1804 roku, gdzie wykładał i prowadził badania z zakresu patologii.

<sup>11</sup> Jędrzej (Andrzej) Śniadecki (1768–1838) – lekarz, biolog, chemik, filozof i publicysta, brat Jana Śniadeckiego, autor dzieła *Początki Chemii Stosowanej Do Terazniejszego Tey Umiejętności Stanu Dla Pozytku Uczniow I Słuchaczow Ułożone Y Za Wzór Lekcji Akademickich Słuzyc Maiące* (tomy I–II, Wilno 1800). W oryginalnej pisowni: Śniadecki.

<sup>12</sup> Jan Fryderyk Niszkowski (1774–1816) – lekarz, profesor chirurgii na Uniwersytecie Wileńskim.

<sup>13</sup> Jan Borawski (XVI–XVII w.) – polski kaznodzieja ewangelicki, pastor kościoła brodnickiego, autor dzieła *Seym piekielny straszliwy i examen xięcia piekielnego, albo słuchanie liczby czartów, co który zrobił na świecie, za te lata od strącenia ich z nieba, aż do dnia sądnego*, [b.m.] 1607. Drugie wydanie: Gdańsk 1621, z dopiskiem: *Teatrum Diabolorum*.

<sup>14</sup> Zob. wydanie: J. Słowacki, *Balladyna*, w: tegoż, *Dzieła wszystkie*, pod red. J. Kleinera, t. IV, Wrocław 1953. Chochlik jest jedną z postaci fantastycznych występujących w *Balladynie*, wraz ze Skierką służy Goplanie, nimfie jeziora Gopło.

<sup>15</sup> Oczeret – roślina z rodziny turzycowatych (*Cyperaceae*) rosnąca przy brzegach rzek, jezior oraz na bagnach.

<sup>16</sup> Łozy – inaczej: zarośla wierzbowe.

<sup>17</sup> Grobla – wał ziemny, usypany dla spiętrzenia wody w rzece.

<sup>18</sup> Łęczyca – w XIX w. miasto powiatowe guberni kaliskiej w Królestwie Polskim, współcześnie w woj. łódzkim.

<sup>19</sup> Węgieł – miejsce zetknięcia się dwóch ścian budynku.

<sup>20</sup> Głowacz – mądry, rozumny człowiek, tu: człowiek niełatwo tracący trzeźwość umysłu.

<sup>21</sup> Piskorz (w oryginale: „piskórz”) – dawniej żartobliwe określenie ubogiego szlachcica, także określenie szlachcica z okolic Łęczycy.

<sup>22</sup> Wyplazować – dawniej: wybić, wychłostać kogoś płazem (płaską, szeroką stroną) szabli lub szpady.

<sup>23</sup> Przysiada – tu: siada na niej, „nakrywa ogonem”, ukrywa ją.

<sup>24</sup> Wilia – czyli: Wigilia, w znaczeniu: dzień poprzedzający Boże Narodzenie albo uczta przypadająca na ten dzień.

<sup>25</sup> „...w arendę” – w dzierżawę.

<sup>26</sup> Pan Twardowski, Mistrz Twardowski – postać szlachcica polskiego, znajdującego się na sztukach czarnoksiężskich, który, wedle podania, zaprzedał duszę diabłu; bohater wielu podań i utworów literackich. Zob. A. Smaróń, *Twardowski – niechciany „polski Faust”. Koncepcje postaci w literaturze polskiej XIX i pierwszej połowy XX wieku*, „Ruch Literacki” 1995, nr 5, s. 573-591; *Postacie i motywy faustyczne w literaturze polskiej. Materiały Ogólnopolskiej Konferencji Naukowej Białystok 23-26 października 1997 r.*, red. H. Krukowska i J. Ławski, t. 1: Białystok 1999, t. 2: Białystok 2001.

<sup>27</sup> „...i stanąwszy za gęstym płotem” – charakterystyczne dla kresowej polszczyzny użycie imiesłowu w funkcji czasownika: „i stanęła...”

<sup>28</sup> Ożóg – kij do poprawiania ognia w piecu.

<sup>29</sup> Drapnął – uciekł.

## 26

### Z BIAŁOSTOCKIEGO,

„Echo” 1881, nr 174, s. 3;

opublikowano w rubryce „Drobne echa”;

brak podpisu pod tekstem.

Piszą do nas z Białostockiego:

Kłęska pożarów nie pominęła i stron naszych. Przed kilku tygodniami duża i zamożna wieś Bagno w okolicy Knyszyna<sup>1</sup>, podpalona została z kilku stron i spłonęła prawie do szczytu. Kto spełnił ten zbrodni czy zamach, urzędownie<sup>2</sup> nie wiadomo, ale chodzą pogłoski, że najczęściej podpalają złodzieje koni, mszcząc się na mieszkańcach, przez których zostali schwyceni, zbici lub oddani w ręce policji. Zdarza się nawet, że złodzieje niszczą ogniem tych gospodarzy, którzy mają piękne konie, ale tak dobrze pilnują, że ich ukraść nie można. Postrach zapalaki daje takie poszanowanie u nas złodziejom, że ci chodzą sobie najbezpieczniej publicznie, przechwalają się ze swego rzemiosła, zapraszają się na poczęstunki do wieśniaków i wybierają od nich daniny w pieniądzu, zbożu i warzywie, po które jeżdżą wozami od wsi do wsi. Gdyby w Białymstoku wychodziło jakie pismo ilustrowane, niewątpliwie znakomitości złodziejskie nie miałyby nic przeciwko podaniu swoich portretów i życiorysów.

Mówiąc o wszelkiego rodzaju zbrodniczych zamachach na cudzą własność, zakończyć musimy wzmianką o kradzieży, której ofiarą stała się niedawno w Białymstoku pani D., wdowa i matka licznej rodziny. Czy złodzieje działali pod wpływem odezwy socjalistowskiej, zachęcanej do odbierania pieniędzy kapitalistom – tego na pewno nie wiemy. To tylko donieść możemy, że matce dźwigającej bardzo liczne interesy swej rodziny zabrano w biały dzień z mieszkania pięć tysięcy rubli, podobno nie będące nawet jej

własnością. Niestety nikt nawet nie ma nadziei, żeby się kradzież ta wykryła, bo zdarzenia takie nie leżą w zwyczaju pomienionego miasta.

---

<sup>1</sup> Bagno (wieś), Knyszyn (miasto) – miejscowości w XIX wieku leżące w guberni grodzieńskiej, powiecie białostockim, współcześnie w województwie podlaskim, powiecie monieckim.

<sup>2</sup> Urzędownie – tzn. oficjalnie.

27

Z ŁOMŻYŃSKIEGO  
(O JUBILEUSZU KS. BRZÓZKI),  
„Echo” 1881, nr 267, s. 3;  
opublikowano w rubryce: „Echa bieżące”;  
brak podpisu pod tekstem.

Piszą do nas z powiatu łomżyńskiego:

W Zawadach<sup>1</sup>, wsi parafialnej naszego powiatu, odbyła się w dniu 15 listopada rzadka uroczystość sekundycyj<sup>2</sup> kapłańskich. Ksiądz Stanisław Brzózka<sup>3</sup> w dniu swoich imienin obchodził 50. jubileusz wyświęcenia. Na uroczystość tę zebrało się okoliczne duchowieństwo, obywatelstwo i kilka tysięcy ludu wiejskiego. Ksiądz Brzózka jest proboszczem w Zawadach od roku 1839, zatem większa połowa zgromadzonych otrzymała z rąk jego chrzest święty. Uboga, niebielona i słomą kryta, ale zawsze gościnna i pięknym ogródkiem owocowym otoczona plebania, zaroila się od rana niebывалым tętnem życia. Ceremonia zaczęła się od serdecznej przemowy, którą w domu miał do gospodarza ksiądz kanonik Potocki. Następnie udano się do kościoła, który nie zdołał pomieścić wiernych. Tu sędziwy jubilat odprawił Mszę świętą w asystencji wybranych spośród duchowieństwa: subdiakona, tak bowiem każe stary zwyczaj. Podczas nabożeństwa miał przemowę z ambony przybyły z Łomży<sup>4</sup> prowincjał Ojców Kapucynów ksiądz Anicety (Sierakowski)<sup>5</sup>, kaznodzieja znany szerokiemu komunału publiczności naszej. Mowa jego względnie do rzadkiej uroczystości, wypowiedziana z serdecznym nastrojem, płynąca spokojnie z głębi zacnej duszy i światłego umysłu, a pełna wrażeń prostych ale wzniosłych i poetycznych, wywarła na obecnych bardzo silne wrażenie. Po cząwszy od mówcy, aż do jubilata łzy zakręciły się wszystkim w oku i przypomniały się nam dawniejsze czasy, kiedy nad wymową kościelną więcej niż dzisiaj duchowieństwo pracowało. Po skończonym nabożeństwie nastąpiło tak zwane ściskanie głów, to jest błogosławieństwo, które jubilat wszystkim obecnym, ale każdemu z osobna udzielił. Znużony i rozrzuwniony do głębi starzec, powrócił następnie na plebanie, gdzie przyjmował gościnnie kilkadziesiąt osób, które mu długich lat zdrowia i pomyślności winszowały. W czasie tego przyjęcia zajmował przy stole pierwsze miejsce, posadzony pomiędzy najstarszym z duchowieństwa. Duchowni i ziemianie ofiarowali księdzu Brzózce na pamiątkę jego jubileuszu wspaniale oprawny mszał, na którego pierwszej karcie złożyli wszyscy swoje podpisy. Jubilat zawsze gościnnie, otwarty, serdeczny, łagodnego charakteru, bezinteresowny i do spokojnego zacisza wiejskiego przywiązany kapłan, pomimo 74 lat wieku, trzyma się czerstwo i zdrowo.

Majątek Zawady, należący niegdyś do Szczawińskich<sup>6</sup>, a później do Suchodolskich<sup>7</sup>, przeszedł był później, w części rozparcelowany, w obce posiadanie, ale szczęśliwie dostał się znowu w ręce nowego kollaru<sup>8</sup> Polaka i chrześcijanina.

<sup>1</sup> Zawady – w XIX wieku wieś położona w guberni grodzieńskiej, powiecie białostockim, współcześnie w województwie podlaskim, powiecie białostockim.

<sup>2</sup> Sekundycja (z łac. *secunda missa* – druga msza) – nazwa mszy odprawianej w kościele katolickim przez kapłana w pięćdziesiątą rocznicę przyjęcia święceń kapłańskich. Sekundycją określa się również wszelkie uroczystości związane z dniem złotego jubileuszu kapłańskiego lub sam jubileusz.

<sup>3</sup> Ks. Stanisław Brzóska, ks. Kanonik Potocki – nie udało się znaleźć informacji innych niż te, które podaje Gloger.

<sup>4</sup> Łomża – miasto na prawach powiatu w północno-wschodniej Polsce, w województwie podlaskim, nad rzeką Narew. W XIX wieku powiat i gmina Łomża.

<sup>5</sup> Ksiądz Anicet (data urodzi i śmierci nieznana) – właściwie Władysław Bolesław Sierakowski; duchowny, członek zakonu kapucynów w Łomży. Po święceniach przyjął imię Anicet. Represjonowany przez władze carskie za czynną pomoc powstańcom styczniowym.

<sup>6</sup> Szczawińscy herbu Prawda – ród drobnej szlachty wywodzący się z kręgu rodzinnego kasztelana plockiego, Sasina Lelek ze Szczawina herbu Prawdzic (ok. 1410 – ok. 1463). Szczawińscy wzięli swą nazwę od majątności Szczawina, wraz z przyległościami i wsią Włoszczanowem.

<sup>7</sup> Suchodolscy herbu Janina – ród szlachecki wywodzący się z miejscowości Suchodoły (powiat krasnostawski). Protoplastą rodu był Maciej Suchodolski (1360 – data śmierci nieznana) sędzia ziemski lubelski, starosta lubelski i chełmski.

<sup>8</sup> Kollator – posiadacz beneficjum; osoba otrzymująca w nagrodę za swoje zasługi majątek ziemski lub inne dobra.

## 28

ZNAD BUGA,  
„Echo” 1882, nr 63, s. 3;  
opublikowano w rubryce: „Echa z prowincji”;  
podpis pod tekstem: „BZ.”.

W sprawie szpitali wiejskich zamieściło „Echo” dwa godne zaznaczenia artykuły w numerach 268 i 278 z roku zeszłego<sup>1</sup>. Artykuły te podnoszą potrzebę założenia szpitali po gminach i utrzymania ich kosztem gmin. Zaiste jest to przedmiot ważny i kwestia paląca. Z ogólnej bowiem liczby chorych na wsi wielki procent umiera wskutek braku pomocy lekarskiej z jednej strony, a najszkodliwszych zabobonów leczniczych i niehigienicznego zachowania z drugiej. Włościanin nasz prawie nigdy nie posyła po lekarza, bo mu trzeba zapłacić kilka rubli, a nieraz drugie tyle za lekarstwa w aptece, które, podług dzisiejszej taksy rządowej, są niesłychanie drogie, trzy do czterech razy droższe niż w sąsiednich Prusach lub Austrii. Baby zaś wiejskie leczą darmo i dla chorego znoszą specyfiki gratis. Zaradzić złemu mógłby tylko szpital gminny z felczerm, szarytką i przyjeżdżającym z miasta co parę dni doktorem. Myśl to zresztą nienowa. Od lat kilkuset przy wszystkich kościołach parafialnych w naszym kraju istniały i prawie wszędzie istnieją dotąd domu zwane „szpitalami”, w których znajdowali przytułek starcy i kaleki, do utrzymania porządku w świątyni używani i z dobroczynnych ofiar parafian żyjący. Autor w numerze 278 mówiąc o funduszach na utrzymanie szpitali gminnych projektuje, żeby na przykład każdy gospodarz pierwszej zamożności płacił rocznie rs. 1 kop. 50, średniej zamożności kop. 75, a służący i wyrobnik kop. 30. Za zupełnie biednych koszta szpitalne powinna ponosić gmina. Dalej mówi korespondent, iż „wszystko to nie są rzeczy do przeprowadzenia trudne i tylko potrzeba, aby ktoś z inteligencji miejscowej dał impuls”.

Podzielając najzupełniej potrzebę założenia szpitali gminnych, nie zgadzamy się tylko na to, żeby to miały być rzeczy nietrudne do przeprowadzenia, ale przeciwnie, znajdujemy je bardzo trudne przy najlepszej woli inteligencji (o której wątpić nie powinniśmy mając w kraju pewną liczbę szpitali utrzymywanych wyłącznie kosztem właścicieli ziemskich, na przykład w Wyrozębach kosztem Dernałowiczów<sup>2</sup>, w Sterdyni<sup>3</sup>



i tak dalej, oraz wielu felczerów w dobrach prywatnych na przykład Patrykozy<sup>4</sup> itd.). Pomijamy to, że kosztta zbudowania szpitala, choćby najskromniejszego, przewyższyłyby znacznie sumę oznaczoną przez korespondenta (rs. 400), pomijamy pewne uprzedzenie, które lud wiejski ma do każdego szpitala, pomijamy trudność administrowania zakładu przy dzisiejszych stosunkach gminnych. Są to rzeczy poniekąd możliwe do zwalczenia. Ale pominąć nie możemy szkopułu, którym jest rozkład kosztów utrzymania zakładu z felczerem, nieodzowną szarytką, apteczką i doktorem wizytującym. Wiadomo, że wszystkie rozkłady opłat gminnych uchwalone być muszą przez większość na zebraniach gminnych i że tę większość absolutnie stanowią wszędzie włościanie kilkadziesiąt razy liczniejsi od większych posiadaczy. Bywając nieraz w kilku okolicach na zebraniach gminnych, widzę zawsze, że przy każdym wniosku postawionym przez kogokolwiek obywatela, mającym cel filantropijny względem włościan, ale wymagającym pewnych kosztów, powstaje najprzód w zebraniu burza opozycji i stanowcze veto włościan, a jeżeli wniosek zostaje przyjęty, to ogół włościan głosuje zawsze za rozkładem kosztów na morgi i większością uchwałę przeprowadza. Wiadomo zaś, jak dalece zasada powyższa nie ma logicznej i ekonomicznej podstawy tam, gdzie własność faktyczna nie jest rozsegregowana, gdzie tytularnym dziedzicem jest dwór, a *de facto* korzyści z majątku otrzymują wierzyciele, a przede wszystkim posiadający służebności włościanie, którzy mają z tych obszarów korzyści: opału, budulcu, ściółki, pastewnika i grodzby<sup>5</sup>, a przed udziałem w opłacie z tych przestrzeni są zasłonięci, takowa spada ze wszystkimi ciężarami na tytularnego właściciela. Zasada taka prowadzi do absurdów, o których daje się nieraz słyszeć. Powiadano nam na przykład o parafii, w której składka na organy do kościoła została rozłożona na morgi. Gdzie indziej płacą w ten sposób na sądy gminne. W takiej gminie wypadło raz, że włościanin, który całe życie robił szkody, bił i procesował, płacił na sąd gminny 10 kop. rocznie, a dziedzic, który, nie bijąc się ani robiąc nikomu szkody, nie był powodem do żadnej sprawy, tylko dostarczał temu włościaninowi pastewnika, budulcu, grodzby i opału, nadto na gruntach obarczonych służebnościami nie mógł ani zamienić trzypółówki na płodozmian, ani wykrudować<sup>6</sup> rozległych nieużytków, płacił na tenże sąd gminny rocznie rs. 60. Nadmienić wypada i o tym, że stan włościański uwolniony jest od wielu opłat skarbowych lub skalę onych ma zmniejszoną (na przykład znacznie niższa dla włościan stopa rządowego ubezpieczenia nieruchomości od ognia). Podymne zostanie wkrótce dla włościan niższe, a na dwory podwyższone. Wszystko to może być bardzo piękne, ale nie idzie zatem, żeby dwory mogły przyjmować nowe ciężary i zobowiązania, którym mogą nie podołać.

Nie przeczymy, że 1500 szpitali wiejskich w tyluż gminach Królestwa jest potrzebnych i dwory wezmą udział w ich utrzymaniu, ale pierwej potrzeba rozdzielić i uregulować własność ziemską i pozwolić tym sposobem na podniesienie kultury na przestrzeniach służebnościami dziś obciążonych.

Popierając w zasadzie projekt dwukrotnie podjęty przez pismo wasze, dla wprowadzenia go w życie pragnę właśnie, ażeby przez rozstrzygnięcie zasadniczej kwestii posunąć go o krok wielki naprzód – lecz gdyby raz kwestia rozmiaru opłaty była rozstrzygnięta, niezawodnie projekt sam popchnięty został naprzód, a każdy z większych i mniejszych właścicieli starałby się widzieć go jak najprędzej w życiu zastosowanym.

<sup>1</sup> Zob. Ks. W. Gurzyński, *Listy ze wsi. W sprawie zdrowia ludu wiejskiego*, „Echo” 1881, nr 268, s. 1-2; Wielisław, *W kwestii szpitali wiejskich*, „Echo” 1881, nr 278, s. 3.

<sup>2</sup> Wyróżęby – w XIX wieku były to dwie wsie położone w powiecie sokołowskim, gminie Wyróżęby; właścicielem majątku był wówczas Tadeusz Demałowicz (1794–1862), odkupując go w 1858 roku od Jana Pawła Markowskiego. Współcześnie Wyróżęby to gmina, której siedzibą jest miejscowość Wyróżęby-Konaty, leżąca w powiecie sokołowskim województwa mazowieckiego.

<sup>3</sup> Sterdyń – w czasach Glogera była to osada miejska i dobra w powiecie sokołowskim, gmina Sterdyń; leżała nad rzeką Buczynką, dopływie Bugu; współcześnie wieś położona w województwie mazowieckim, powiecie sokołowskim.

<sup>4</sup> Patrykozy – wieś i folwark w czasach Glogera leżące w powiecie sokołowskim, gminie Kowiczy; współcześnie wieś w województwie mazowieckim, powiecie sokołowskim, gminie Bielany.

<sup>5</sup> Grodzba – drewno przeznaczone na ogrodzenie; fragmenty płotu, sztachety.

<sup>6</sup> Krudować – usuwać korzenie drzew, karczować.